KRAJOBRAZ BEZ TUSKA
Kiedy polityka wydorośleje, zrobi miejsce dla kobiet

FILM „DWÓCH PAPIEŻY”
Netflix wyspowiadał Benedykta i Franciszka

KS. MICHAŁ HELLER
Demony życia i przyszłość nauki

PAPRODZIAD
Muzyczna Liga Ochrony Przyrody

Kraków 8 grudnia 2019 nr 49 (3674) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl



KS. TOMÁŠ HALÍK

Wiara od nowa

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Relacja z wręczenia

Nagrody Nobla w dziedzinie literatury

Oldze Tokarczuk



10 grudnia
godz. 15.30–18.00
wrocławski Rynek

W programie:

– możliwość opieczętowania książek Olgi Tokarczuk specjalnie przygotowanym na tę okazję exlibrisem

– ciepła herbata i kawa

– konkursy z nagrodami

„Dzisiaj we Wrocławiu nie ma już pustych miejsc pozostałych po usuniętych gruzach. To miasto po wojnie zostało ufundowane na wielkim historycznym paradoksie: obwołane twierdzą i skazane na zagładę przez swoich niemieckich obrońców, zostało z miłością odbudowane rękami przybyszów, imigrantów, nowych osiedleńców".

Olga Tokarczuk

Wrocław miasto spotkań

KS. ADAM

Boniecki: *Myśli na nowy (kościelny) rok*



O Adwencie pięknie i głęboko napisał już w poprzednim numerze nasz teolog Piotr Sikora. Jednak nawet on nad jedną intrygującą kwestią przeszedł do porządku dziennego – chodzi o odrębność kalendarza kościelnego i świeckiego. Dlaczego nie próbowano zsynchronizować liczenia czasu tak, żeby rozpoczęcie obu następowało w tym samym momencie? Przecież kalendarzowy rok świecki i tak jest jakoś religijny, jako że się odwołuje do chrześcijaństwa. Rok (świecki) 2020 będzie dla wszystkich rokiem liczonym od narodzenia Chrystusa, czego nie zmienia fakt, że liczonym błędnie, bo mnich, któremu ok. roku 500 papież Jan I polecił obliczyć datę Bożego Narodzenia, się pomylił. To jednak nie tłumaczy tego wysunięcia początku roku kościelnego o miesiąc przed świecki.

Historia powstawania kościelnego kalendarza (kościelnych kalendarzy) jest dość zawiła i w znacznym stopniu techniczna. Jednak już sama różnica dat rozpoczęcia roku i sposobów ich przeżywania ma swoją niebagatelną wymowę.

Choćby to, że na zakończenie roku kościelnego nie ma „sylwestra", nie świętuje się „odchodzenia" roku starego. Kalendarz kościelny, oparty na historii życia Chrystusa (narodzenie, dzieciństwo, ziemska wędrówka, męka, zmartwychwstanie, wniebowstąpienie, zesłanie Ducha Świętego), jest wychylony ku przyszłości. Charakterystyczna jest pieśń śpiewana w pierwszą niedzielę roku kościelnego, zawierająca wezwanie: „Idźmy z radością na spotkanie Pana".

Rok świecki to odchodzenie. Owszem, idziemy ku przyszłości, ale za sobą zostawiamy dzieciństwo, młodość, wiek dojrzały, by wreszcie odejść, zejść ze sceny. Jeszcze ewentualnie na jakiś czas pozostać w pamięci (może ktoś będzie obchodził rocznice naszego zejścia), ale w miarę upływających lat i tak zatoniemy w niepamięci. Nowy Rok (świecki) o tym przypomina, budzi w nas świadomość przemijania. Podejrzewam nawet, że sylwestrowe szaleństwa są rodzajem anestezji, mającej łagodzić wynikające z tego ból i trwogę.

Rok kościelny rozpoczyna się medytacją nad zapowiedzią końca świata (Mt 24). Jednak zapowiedziane w Piśmie, poprzedzające koniec katastrofy nie mają być powodem lęku. Wprost przeciwnie: „Noc się posunęła, a przybliżył się dzień". Koniec świata oznacza wyzwolenie z udręk doczesności i początek takiego sposobu istnienia, do jakiego tęskni ludzkie serce.

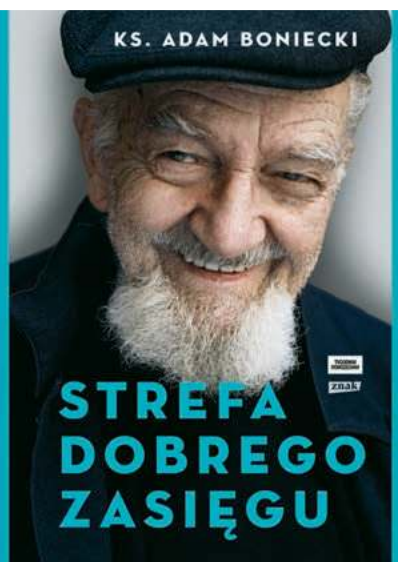
Dwa są rodzaje końca świata: kosmiczny i niewyobrażalny, oraz ten zarezerwowany dla każdego z nas, o którym mówi Księga Koheleta: „I kręcić się już będą po ulicy płaczki; zanim się przerwie srebrny sznur i stłucze się czara złota, i dzban się rozbije u źródła, i w studnię kołowrót złamany wpadnie". Te poetyckie obrazy naszej śmierci u Koheleta kończy wyznanie wiary: „i wróci się proch do ziemi, tak jak nią był, a duch powróci do Boga, który go dał".

Tak więc kościelny rok zawsze nas prowadzi drogą nadziei. Nasz czas się wyczerpuje, ale prowadzi nas do wieczności, dla której człowiek jest stworzony. Kiedy w Rzymie zorganizowano obchody urodzinowe Jana Pawła II, on dziękował za przypomnienie, że jest coraz bardziej młody, bo coraz bliższy swoich narodzin... do nowego życia w niebie.

Całe życie człowieka wierzącego jest, a w każdym razie powinno być oczekiwaniem, adwentem. Jest (powinno być) przeciwieństwem nostalgicznego spoglądania w przeszłość. „Nie wspominajcie wydarzeń minionych, nie roztrząsajcie w myśli dawnych rzeczy. Oto Ja dokonuję rzeczy nowej: pojawia się właśnie" (Iz 43, 18-19).

I tak od nowego roku kościelnego doszliśmy, jak przystało w Adwencie, do najistotniejszej kwestii: kim jest człowiek? Czy wyszedł z nicości, by wśród bezsensu i chaosu przedzierać się ku nicości, walcząc o wolność, której nie ma (parafraza Sartre'a), czy kimś, kto swoim istnieniem i tęsknotą mówi do Boga jak Augustyn: „Stworzyłeś nas bowiem jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie". ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim towarzyszące premierze książki

„STREFA DOBREGO ZASIĘGU"

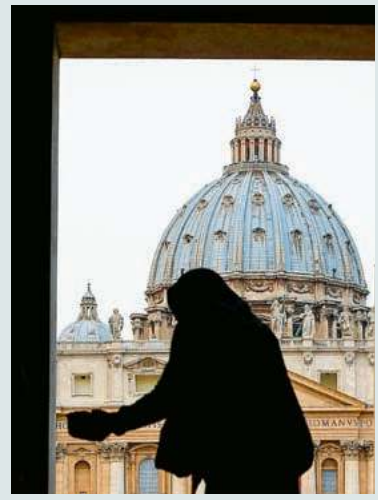
prowadzenie: Katarzyna Kubisiowska
czwartek, 12 grudnia, godz. 18
Kino Kosmos, ul. Sokolska 66 w KATOWICACH

Bezpłatne wejściówki dostępne na dwie godziny przed spotkaniem.
Przed wydarzeniem będzie można kupić książki ks. Adama i wydawnictwa „Tygodnika Powszechnego"

ZAPRASZAJĄ: TYGODNIK POWSZECHNY · TP KlubTygodnika.pl · 60 znak

24 Koguty zsiadają z koni
KLAUS BACHMANN
Rezygnacja Donalda Tuska ze startu w wyborach prezydenckich może wyleczyć nas z obezwładniającej tęsknoty za politycznym mesjaszem.





36 Kasa Watykanu – ostatnia bitwa
LUIGI ACCATTOLI
Nie jest prawdą, że Watykan stoi na skraju bankructwa. Prawdą jest, że jego reformy ekonomiczne się nie powiodły. Choć pojawiły się znaki nadziei.

46 Uciec od przeznaczenia
PIOTR BERNARDYN
Najlepsze, co może spotkać Hongkong – i co mieści się w granicach realności – to przedłużenie okresu ochronnego przed ostateczną asymilacją z Chinami.





64 Demony życia
MICHAŁ HELLER
Pojęcie informacji będzie kluczowym elementem nowej fizyki. Takiej, która wyjaśni fenomen życia. Jej cień może już nawet widać na horyzoncie.



68 Najlepsi tracą wszelką wiarę
ANTHONY MCCARTEN, SCENARZYSTA FILMU „DWÓCH PAPIEŻY”:
To wykraczało poza wszelkie granice. Pisać dialogi dla papieży? Żyjących? Co ja wiem? Ale taka jest przecież moja praca – jestem specjalistą od bezczelności.



84 Broń masowego wrażenia
ADAM ROBIŃSKI ROZMAWIA Z WŁODKIEM DEMBOWSKIM „PAPRODZIADEM”
Na osiedlu wołali na mnie Liga Ochrony Przyrody. Kiedy ktoś deptał mrówki, wzywałem milicję.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER // DAN KITWOOD / GETTY IMAGES // ART-TOWER / PIXABAY // AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA // PETER MOUNTAIN / NETFLIX // PIOTR BERNARDYN

6 Najwyższa izba kompromitacji
ANDRZEJ STANKIEWICZ: *Kariera Mariana Banasia dowodem słabości państwa PiS*

7-12 Wiadomości / Komentarze

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

24 Koguty zsiadają z koni
KLAUS BACHMANN

28 Deklaracja buntu
ADAM ROBIŃSKI *przybliża działania Extinction Rebellion w Polsce*

30 Demokracja w budowie
ROZMOWA Z MIKOŁAJEM LEWICKIM

■ ■ MEDAL ŚW. JERZEGO 2019

34 Popiół na sercu
BARBARA ENGELKING: *„Moje posłanie jest między zmarłymi”*

■ ■ WIARA

36 Kasa Watykanu – ostatnia bitwa
LUIGI ACCATTOLI

40 Misje, nie komisje
BARTOSZ HLEBOWICZ *o nowej konstytucji Watykanu*

42 Maaasa cierpliwości
JAN RYBICKI Z PANAMY

■ ■ ŚWIAT

46 Uciec od przeznaczenia
PIOTR BERNARDYN

50 Jeszcze żyje Ukraina
FOTOREPORTAŻ JUSTYNY MIELNIKIEWICZ

TEMAT TYGODNIKA



GRAŻYNA MAKARA

14 Popołudnie chrześcijaństwa
KS. TOMÁŠ HALÍK

Wielu ludzi opuszcza Kościół nie dlatego, że opuszcza Chrystusa, lecz dlatego, że Go w Kościele nie znajduje.

Sekularyzacja nie jest końcem chrześcijaństwa, tylko jego głęboką transformacją.

Uważam, że za 20 lat Kościół będzie bardziej zróżnicowany.

■ FELIETONY ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER **45** SZYMON HOŁOWNIA **57** WOJCIECH BONOWICZ **82** JAN KLATA **83** PAWEŁ BRAVO **90** STANISŁAW MANCEWICZ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: KS. TOMÁŠ HALÍK
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

53 Gilotyna nad „Skałą”
KATARZYNA MOŁONIEWICZ: *Gibraltar po brexicie*

■ ■ HISTORIA

60 Wódz, który nie sprostał wyzwaniu
TADEUSZ A. OLSZAŃSKI: *Symon Petlura i jego ostatnia próba ratowania ukraińskiej państwowości*

■ ■ NAUKA

64 Demony życia
MICHAŁ HELLER

■ ■ KULTURA

68 Najlepsi tracą wszelką wiarę
ROZMOWA Z ANTHONYM MCCARTENEM

72 Podpalacz jako strażak
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *James Baldwin, pierwszy wspólny pisarz czarnej i białej Ameryki*

75 Idzie młodość
PIOTR KOSIEWSKI: *Co pozostało po Grupie Krakowskiej?*

78 Morskie opowieści
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „The Lighthouse”*

82 Nieśmiały demon
LEKTOR *o powieści „Miłość głupca” Jun'ichirō Tanizakiego*

■ ■ ZMYSŁY

84 Broń masowego wrażenia
ROZMOWA Z WŁODKIEM DEMBOWSKIM „PAPRODZIADEM”

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Podkast Powszechny
Medal Św. Jerzego 2019 otrzymali **PROF. BARBARA ENGELKING** i **KS. TOMÁŠ HALÍK** – zapraszamy do wysłuchania przemówień laureatów oraz laudacji ks. Adama Bonieckiego i Michała Okońskiego: **tygodnikpowszechny.pl/podkast** oraz w **Spotify, iTunes i Lectonie**

Woś się jeży
W Berlinie na naszych oczach dzieje się historia. Czy uda się uznać „mieszkanie po przystępnej cenie” za prawo człowieka? – **RAFAŁ WOŚ** *przypomina, że w Polsce „mieszkaniowy wyzysk” jest nie mniej dotkliwy.* **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**



OBRAZ TYGODNIA



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

NAJWYŻSZA IZBA KOMPROMITACJI

Trudno ocenić, co bardziej pogrąża państwo PiS: czy to, jak powoływano szefa NIK, czy to, jak się go próbuje – na razie bez skutku – wyrzucić.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Prezes NIK Marian Banaś w drodze na posiedzenie Komisji do spraw Kontroli Państwowej. Warszawa, 27 listopada 2019 r.

Wpis nie jest wielką tajemnicą to, że istnieje pewien zasób stanowisk państwowych, którymi Jarosław Kaczyński się nie interesuje. Poniżej prezesowskich radarów w administracji, spółkach państwowych czy dyplomacji hasają więc, upychając swoich ludzi, niższej rangi partyjni bossowie.

Ale jest zasób stanowisk szczególnych, zarezerwowanych do wyłącznej decyzji prezesa. Jedną z pereł w tej koronie jest posada szefa Najwyższej Izby Kontroli – z racji dawnej prezesury Lecha Kaczyńskiego dla jego brata to stanowisko szczególne.

A zatem nie ma cienia wątpliwości, że decyzję o powierzeniu NIK Marianowi Banasiowi podjął osobiście prezes.

Podjął ją, gdy już było wiadomo, że wokół Banasia zaczyna nieprzyjemnie pachnieć. Wszak pierwsze informacje o jego podejrzanym majątku pojawiły się ponad rok temu. Sprawa trafiła do CBA. Nie przeszkodziło to Banasiowi zostać ministrem finansów w czerwcu tego roku. Potem był wybór przez Sejm na szefa NIK pod koniec sierpnia. Posłowie opozycji dopytywali zresztą wówczas o kontrolę CBA, przestrzegając PiS, że sam może sobie napytać biedy.

Napytał. Przy czym punktem zwrotnym był reportaż telewizji TVN z końca września, pokazujący sutenerskie interesy gangsterów w kamienicy Banasia. Dopiero wówczas służby na poważnie wzięły się za szefa NIK. Efektem są doniesienia do prokuratury, w których mowa o ukrywaniu majątku oraz nieudokumentowanych źródłach dochodu. W dodatku okazało się, że PiS, dumny wcześniej ze ścigającego mafie VAT-owskie urzędnika, nie wiedział, że mafia VAT-owska działała w Ministerstwie Finansów. Stworzyli ją dyrektorzy skarbówki, podwładni Pancernego Mariana.

Czy bez materiału w TVN agenci Mariusza Kamińskiego znaleźliby coś na Banasia? Pamiętać należy, że Banaś to zaufany człowiek Kamińskiego, a działania CBA w tej sprawie zdumiewają. Jak to możliwe, że służby antykorupcyjne przez wiele miesięcy – do reportażu TVN – nie znalazły nic, a po reportażu ekspresowo udokumentowały podejrzane przelewy i lewe dochody?

Dziś Kamiński gasi pożar, którego zarzewia sam miesiącami w zadziwiający sposób nie chciał zauważyć. To zresztą on uczestniczył w minionym tygodniu wraz z Kaczyńskim w spotkaniu z Banasiem, na którym – w imieniu własnym? partii? państwa? – zażądali od niego dymisji. Taka przynajmniej jest oficjalna wersja, element kampanii odcinania się od Banasia. Z drugiej jednak strony, dzień przed tym sabatem PiS przydzielił Banasiowi na jego wniosek zastępców. Polityków PiS, rzecz jasna.

Charakterystyczne jest też to, że do tej pory partia rządząca nie zrobiła w praktyce nic, żeby Banasia odwołać. Liderzy PiS mówią co prawda publicznie o „planie B" na wypadek, gdyby Banaś ostatecznie dymisji odmówił. To zmiana ustawy o NIK albo i konstytucji, by móc usuwać prezesa. Tylko z jakiego powodu? O tym już nie mówią. Banaś jest publicznie skompromitowany, ale prawnie wciąż niewinny. Jak zapisać w prawie usuwanie takiego prezesa NIK?

Zapowiedzi zmian w prawie to raczej element presji na Banasia, by wszystko załatwić w rodzinie. By odszedł po dobroci, może – jak się plotkuje – negocjując przy okazji pakiet ochronny dla siebie i swego zatrudnionego w państwowym banku syna.

Tak jak nominacje Banasia kolejno na szefa skarbówki, ministra finansów i szefa NIK są drastycznym przykładem patologii systemu obsady najważniejszych stanowisk przez PiS, tak próby jego odwołania tylko tę patologię pogłębiają. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Ciemne energie i latający dywan



MONIKA OCHĘDOWSKA

Dość litości dla przemocowych gości!" – krzyczeli protestujący przeciwko spotkaniu z Romanem Polańskim studenci łódzkiej filmówki. Mimo że reżyser w ostatnim momencie odwołał wizytę na swojej macierzystej uczelni, nie obyło się bez przepychanek, zdewastowania jego odznaczenia w Alei Gwiazd oraz interwencji policji.

Nie poszło wyłącznie o sprawę Samanthy Geimer – kilka tygodni temu o napaść seksualną oskarżyła Polańskiego piąta już kobieta, aktorka i fotografka Valentine Monnier. Kiedy studenci poprosili rektora Szkoły Filmowej Mariusza Grzegorzka o anulowanie spotkań ze słynnym absolwentem i doktorem *honoris causa* uczelni, ten określił ich stanowisko jako „epatowanie podnieconą, ciemną energią".

W obronie studentów stanęła reporterka Justyna Kopińska. A potem ujawniła, że naciskano, by zmieniła zdanie, co tylko zaostrzyło nastroje. W sieci pojawiły się dziesiątki wypowiedzi osób ze środowiska filmowego, które, broniąc twórczości Polańskiego (przez nikogo zresztą niekwestionowanej), zwracały uwagę nie tylko na profity, jakie wspólnie z rodzicami miały czerpać z kontaktów z reżyserem „wyrośnięte nastolatki", ale także na ich „moralne zepsucie".

Gdy po jednej stronie stają najważniejsi gracze w filmowym biznesie, a po drugiej – oskarżające ich o molestowanie kobiety, w cieniu pozostaje zwykle trzeci bohater historii: zmowa milczenia, zamiatanie pod dywan spraw, o których w Hollywood wiedział każdy – pisali dwa lata temu, w związku ze sprawą Harveya Weinsteina, rodzimi krytycy. Jak się okazuje, miejsca pod dywanem jest wciąż sporo. Szczególnie kiedy sprawa nie dotyczy producenta filmowego zza oceanu, lecz „naszego kolegi i mistrza". Zmowa milczenia staje się wówczas – wedle słów Grzegorzka – „skomplikowanym, pulsującym zjawiskiem", a wyznania kobiet – „rozdygotanym doniesieniem medialnym". ©℗

Śmierć bezdomnych: NFZ zawiadamia prokuraturę

– TO PRZEŁOMOWY MOMENT. Utwierdzający mnie w przekonaniu, że walka miała sens. Że mała organizacja nie jest bez szans w zderzeniu z systemem. Gdy ochrona zdrowia skrzywdzi kogoś z domem i rodziną, zawsze ktoś się wstawi za krzywdzonym. Osoby w kryzysie bezdomności zwykle nikogo takiego nie mają – tak Adriana Porowska, szefowa Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, komentuje urzędniczy finał historii, którą nagłośniła (także na łamach „TP") w maju tego roku.

W marcu warszawski Szpital Praski przyjął na SOR dwóch mężczyzn. Nazajutrz zostali wypisani do noclegowni. Wkrótce obaj zmarli. „Zlekceważono stan zdrowia panów, wykonując podstawowe czynności i pozbywając się ich (...) Nie wierzę, że zrobiono wszystko, co w ludzkiej mocy, by im pomóc" – mówiła wtedy Porowska. Wspierana przez rzecznika praw obywatelskich, o historii powiadomiła m.in. władze miasta, ministerstwo i mazowiecki NFZ. Właśnie ten ostatni poinformował o efektach kontroli w Szpitalu Praskim – wynikają z niej m.in. poważne braki w dokumentacji – a także o zgłoszeniu sprawy do organów ścigania. „Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga prowadzi śledztwo w sprawie tzw. błędów medycznych, polegających na umyślnym narażeniu na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia i zdrowia (...) przez niewłaściwą diagnostykę oraz nieudzielenie pomocy medycznej i w konsekwencji nieumyślne spowodowanie śmierci" – potwierdza rzecznik prokuratury Marcin Saduś.

Niezależnie od dalszych rozstrzygnięć (nie postawiono jeszcze nikomu zarzutów) organizacje pomocowe alarmują: osoby w kryzysie bezdomności są w systemie ochrony zdrowia wykluczane, poniżane, a ze szpitali wypisuje się ich do noclegowni, zamiast do specjalistycznych schronisk, których brakuje.

– Wierzę, że po kontroli i decyzji NFZ już żaden szpital nie zlekceważy chorej osoby bezdomnej – komentuje Porowska. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Recenzja prokuratorska



DARIUSZ KOSIŃSKI

Decyzja prokuratury katowickiej, która umorzyła śledztwo w sprawie demonstracji nacjonalistów wieszających portrety europosłów PO „na konstrukcjach przypominających szubienice", wprawiła mnie w zaskakująco dobry nastrój. Od kilku lat usiłuję uprawiać i propagować performatykę – niszową dziedzinę akademicką, zajmującą się badaniem różnego rodzaju, niekoniecznie artystycznych, przedstawień. Przekonany, że tworzą one nasz świat współczesny i rządzą nami, usiłuję namawiać kogo się da, by zająć się nimi poważnie, choćby dla rozpoznania naszej wspólnoty. Przebić się z tym niełatwo, a tu nagle takie wsparcie!

Według prokuratury nie można powieszenia portretów potraktować jako przypadku stosowania gróźb bezprawnych z powodu przynależności politycznej, ponieważ „będąca elementem happeningu inscenizacja (...) miała charakter symboliczny, nawiązujący do historycznych wydarzeń z XVIII wieku, a utrwalonych na obrazie Jana Piotra Norblina". Prawie nie wierzyłem własnym oczom, bo przykładem obrazu „Wieszanie zdrajców" Norblina, ukazującym prawnie skuteczne wykonanie wyroku śmierci *in effigie*, czyli na wizerunku, posługuję się, wyjaśniając studentom sprawczą moc „surogacji". Czy to znaczy, że wkrótce zaczniemy prowadzić na zlecenie ministra Ziobry seminaria o polskich inscenizacjach i happeningach?

Po chwili zdałem sobie jednak sprawę, że prokuratorskie uzasadnienie dowodzi, iż przedstawień nie traktuje się poważnie nawet w kraju, który w 2010 r. przeżył wielką tragedię będącą wynikiem rywalizacji na spektakle społeczne i jest rządzony przez ugrupowanie, zawdzięczające wiarygodność i poparcie właśnie comiesięcznym inscenizacjom. Teoretycznie powinniśmy wiedzieć najlepiej, że performans zabija. Ale dopóki na scenę nie upadnie kolejne ciało powalone ciosem nożownika, nadal będziemy sobie opowiadać uspokajające bajędy, że to tylko „happening". Skoro przypomniano Norblina, to może warto też przypomnieć słowa współczesnego mu biskupa: „dla was to igraszka, nam chodzi o życie". ©

KRAJ W SKRÓCIE

O SĄDACH
Przed sądami w kilkudziesięciu miastach i przed Ministerstwem Sprawiedliwości protestowano po odwołaniu przez Zbigniewa Ziobrę olsztyńskiego sędziego Pawła Juszczyszyna, który wcześniej zażądał od Kancelarii Sejmu ujawnienia list poparcia dla kandydatów do nowej Krajowej Rady Sądownictwa.

O KLIMACIE
W kilkunastu miastach w Polsce odbyły się także młodzieżowe strajki klimatyczne, co miało jeszcze jeden dodatkowy walor: ruch na powietrzu. Z badań WHO wynika bowiem, że niemal 80 proc. nastolatków nie jest wystarczająco aktywnych fizycznie, w szczególności nie uprawia sportu w wymiarze zalecanym dla prawidłowego rozwoju.

O SPORCIE
Dyscyplinę sportu warto wybierać starannie. Kiedy w satyrycznej audycji TVP dyskutowano o pomyśle powstania w Szczecinie tęczowego ronda, a jeden z prowadzących zaproponował „pójście krok dalej" i zmianę nazwy miejscowego klubu piłkarskiego z Pogoni Szczecin na Pogoń Homo, „w obronie godności" szczecińskiego zespołu stanęli politycy PiS: Joachim Brudziński i Paweł Szefernaker.

O NIEPICIU
Brak aktywności fizycznej uderza także w osoby starsze. W Milczu (woj. dolnośląskie) szef gminnej komisji rozwiązywania problemów alkoholowych zamiast pójść na spacer, postanowił wsiąść do samochodu i został zatrzymany przez policję, a po badaniu alkomatem okazało się, że miał ponad promil alkoholu w wydychanym powietrzu.

Polska będzie mniej pomagać

NA PRZEDWYBORCZYCH, kosztownych dla państwa obietnicach wcześniejszych emerytur czy 500 plus dla pierwszego dziecka stracą ofiary wojen i katastrof naturalnych za granicą. Powołując się na brak pieniędzy, Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie rozpisało konkursu na projekty z zakresu pomocy humanitarnej w 2020 r. i o prawie jedną trzecią zmniejszyło kwotę przeznaczoną na pomoc rozwojową. Jako członek Unii Europejskiej i ONZ Polska będzie uczestniczyć wyłącznie w tzw. pomocy wielostronnej (1,88 mld zł w 2018 r., ok. 68 proc. całego naszego wsparcia). Innymi słowy: będziemy pomagać tylko tam, gdzie musimy – a nie sami z siebie.

Pierwsi mogą to odczuć potrzebujący: uchodźcy syryjscy, którym Polacy finansują mieszkania w Libanie i Jordanii, pacjenci klinik w irackim Kurdystanie czy ofiary wojny na Ukrainie. Na funduszach publicznych polega większość organizacji pomocowych; decyzja MSZ utrudni im budowanie silniejszej pozycji za granicą i opóźni korzystanie z innych źródeł finansowania. Spadnie też prestiż i wizerunek Polski. Uśmiechnięta czerwona buźka – logo programu „Polska Pomoc" – to coś więcej niż naklejki na namiotach uchodźców i sprzęcie medycznym; w wielu miejscach świata ułatwiała też dotąd pracę naszym dyplomatom.



PMM

Podczas ubiegłotygodniowego posiedzenia Rady Programowej Współpracy Rozwojowej przy MSZ wszyscy przedstawiciele organizacji pozarządowych opowiedzieli się przeciw przyjęciu tak okrojonego programu pomocy na rok 2020, przegłosowali ich jednak politycy i urzędnicy. Po rekonstrukcji rządu premier nie powołał kolejnego ministra ds. pomocy humanitarnej. Wszystko to dzieje się pomimo opinii większości Polaków – aż 79 proc. badanych uznaje, że powinniśmy pomagać państwom rozwijającym się; zapytani dlaczego, wskazują najczęściej na moralny obowiązek i rewanż za pomoc, którą sami kiedyś otrzymali z zagranicy (sondaż OBOP dla MSZ, 2018 r.). ©℗ MARCIN ŻYŁA

RDC POLSKIE RADIO

DAGMARA ROMANOWSKA, która rozmawia ze scenarzystą filmu „Dwóch papieży" (s.68), będzie gościć u Grzegorza Chlasty w środę 4 grudnia o godzinie 7.35 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie



AHMAD AL-RUBAYE / AFP / EAST NEWS

W IRAKU ZNÓW NIESPOKOJNIE. Nawet 400 osób mogło już zginąć w Bagdadzie i innych miastach kraju, gdzie od 1 października trwają tłumne demonstracje przeciw bezrobociu, korupcji i rosnącym wpływom z zagranicy. W minioną niedzielę parlament przyjął dymisję premiera Adela Abdula Mahdiego; nie uspokoi to raczej protestujących, rozczarowanych całą rządzącą klasą polityczną. Bunt – znajdujący też wyraz w licznych muralach, jakie w tych dniach powstają w Bagdadzie (na zdjęciu) – to głównie sprawa ludzi młodych. Coraz częściej porównuje się go do „arabskiej wiosny". ©℗ ŻYM

Zielone początki Ursuli von der Leyen



PAWEŁ BRAVO

Pierwszy swój roboczy dzień na stanowisku przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen spędzi nie w szklanym pałacu w Brukseli (gdzie kazała urządzić proste pomieszczenie noclegowe obok gabinetu, aby podkreślić swoją osobistą skromność i zamiar całkowitego oddania się pracy), lecz w Madrycie – tam właśnie zaczyna się konferencja klimatyczna COP25. To oczywiście przypadek – jej Komisja miała już działać od miesiąca, były jednak spore problemy z uzgodnieniem interesów głównych krajów (zwłaszcza Francji) i partii, które musiały poprzeć jej ekipę w Parlamencie Europejskim. Ale jeśli to nawet przypadek, to znamienny: od samego początku procesu nominacji von der Leyen obiecywała wszak szybkie przedstawienie „europejskiego Zielonego Ładu", czyli szerokiego i ambitnego pakietu przepisów i programów związanych z uczynieniem Europy mniej uciążliwą dla środowiska, w którym żyją obywatele 27 państw.

Rangę sprawy oddaje fakt, że odpowiadać ma za to pierwszy w hierarchii wiceszef KE Frans Timmermans. Jeszcze przed końcem konferencji COP odbędzie się szczyt Rady Europejskiej, na którym ma przedstawić pierwszy zarys tego „Ładu", a szefowie rządów krajów członkowskich znów spróbują uchwalić zobowiązanie osiągnięcia neutralności klimatycznej Unii do 2050 r. W czerwcu taki plan zawetowała m.in. Polska. Zmiana stanowiska Warszawy jest powiązana z zapewnieniem dodatkowych środków dla polskiej gospodarki, której szybkie „zazielenienie" może grozić wstrząsem.

Wszystko jeszcze jest w fazie uzgodnień (nowe władze będą m.in. dopinać nową perspektywę budżetową), ale warto zauważyć, że Komisja pod rządami von der Leyen proponuje właśnie wyraźne rozmycie programu wsparcia kosztów transformacji dla regionów górniczych – a to oznacza, że Śląsk będzie miał więcej konkurentów w walce o środki. ©℗

Noblowski wybielacz

10 GRUDNIA przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze stanie laureatka Pokojowej Nagrody Nobla Aung San Suu Kyi. Powód? Oskarżenie o ludobójstwo na muzułmańskich Rohingach, którego jesienią 2017 r. dopuściła się birmańska armia, formalnie podporządkowana rządowi, w którym pani Suu Kyi jest ministrem spraw zagranicznych.

Noblistka ma przekonać światową opinię publiczną, że wygnanie z domów ok. 740 tys. Rohingów, spalenie ponad 350 wsi, wreszcie masowe gwałty i mordy (śmierć poniosło co najmniej 25 tys. osób) były jedynie operacją antyterrorystyczną. Generałowie, którzy wciąż mają decydujący głos w kluczowych sprawach birmańskiej polityki, mogą w tej kwestii liczyć na lojalność Suu Kyi, która w przeszłości udowodniła, że podobnie jak wojskowi nie uważa Rohingów za obywateli Birmy. Ale czy autorytet noblistki, uhonorowanej także Złotym Medalem Kongresu USA i Nagrodą Sacharowa, wystarczy do przekonania sędziów i obserwatorów, że czarne jest białe? ©℗ MAREK RABIJ

Przed wyborami Trump pozuje na obrońcę żołnierzy

PRZETASOWANIE W AMERYKAŃSKIEJ MARYNARCE wojennej: w wyniku sporu na linii Biały Dom–Pentagon, na wniosek sekretarza obrony dymisję złożył sekretarz US Navy Richard Spencer. Powód: skandal wokół członka elitarnej jednostki Navy SEALs.

O Edwardzie Gallagherze, skazanym za pozowanie do zdjęcia z ciałem zabitego w Iraku członka ISIS, zrobiło się głośno za sprawą Donalda Trumpa. W połowie listopada prezydent skorzystał z prawa łaski i zdecydował, że żołnierz może przejść w stan spoczynku w stopniu starszego bosmana (posiadał go przed procesem). Skrytykował go za to m.in. właśnie Richard Spencer. Jego zdaniem, pomimo ułaskawienia, komisja marynarki wojennej powinna zdecydować, czy Gallagher zachowa prawo do noszenia odznaki Navy SEALs.

Wbrew krytyce Pentagonu Trump ułaskawił również oskarżonych o przestępstwa wojenne w Afganistanie porucznika Clinta Lorance'a i majora Mathew Golsteyna. Podczas wiecu wyborczego na Florydzie w minionym tygodniu Trump tłumaczył, że „zawsze będzie bronił naszych wielkich żołnierzy". Jak przekonywał, działając w strachu przed więzieniem wojskowi nie mogą wciąż myśleć: „A co jeśli popełnię błąd?". Nowym sekretarzem marynarki, wojennej został dotychczasowy ambasador USA w Norwegii i emerytowany kontradmirał Kenneth Braithwaite.

© MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO

Dwa listy, dwa skandale



EDWARD AUGUSTYN

Abp Stanisław Gądecki opublikował w sobotę list pasterski, w którym przeprasza wiernych za zgorszenie, jakiego dopuścił się jego poprzednik, abp Juliusz Paetz. Na te słowa czekaliśmy – zwłaszcza osoby pokrzywdzone – 17 lat. Abp Paetz nigdy się na nie nie zdobył. Dwa tygodnie po jego śmierci padły z ust następcy. Czemu tak późno?

Abp Gądecki wyjaśnia, że Watykan, który w 2002 r. badał zarzuty wobec abp. Paetza, nie upublicznił wyników dochodzenia. Dodaje, że procedury postępowania przeciwko biskupom papież ogłosił dopiero w maju tego roku. Wcześniej – warto przypomnieć, choć abp Gądecki o tym nie pisze – sprawy takie utrzymywane były w tajemnicy, trudne było samo złożenie skargi na biskupa. Jana Pawła II o sprawie Paetza udało się poinformować po dwóch latach prób, dzięki pomocy Wandy Półtawskiej, przyjaciółki papieża. Byłego metropolitę Watykan potraktował łagodnie – gdy Paetz podał się do dymisji, zabroniono mu głoszenia kazań i przewodniczenia uroczystościom, pozwolono pozostać w Poznaniu. Dopiero w 2013 r. karę rozszerzono o zakaz uczestniczenia w publicznych nabożeństwach.

W podobnej sprawie trzy dni wcześniej list do wiernych wystosował bp Mark Brennan z diecezji Wheeling-Charleston (USA). Także jego poprzednik, bp Michael Bransfield, molestował kleryków, a w dodatku marnotrawił kościelne fundusze. W lipcu został odwołany. Watykan zakazał mu uczestnictwa w publicznych uroczystościach i mieszkania na terenie diecezji. Ale nowy ordynariusz poszedł dalej – poinformował wiernych, że pozbawia Bransfielda biskupiej emerytury i przysługującego mu ubezpieczenia, odmawia prawa do pochówku w grobowcu biskupów, nakazuje przeprosić skrzywdzone osoby i wszystkich wiernych, oddać służbowy samochód, a do diecezjalnej kasy zwrócić 736 tys. dolarów wydanych na prywatne cele.

Listy biskupów Brennana i Gądeckiego pokazują, jak długą drogę przeszedł Kościół powszechny w ciągu ostatnich 20 lat. A także – jak długą ten polski musi jeszcze przejść. ©℗



OCSO.ORG

Biskup w habicie

BELGIJSKI TRAPISTA O. LODE VAN HECKE przyjmie w lutym sakrę biskupią i obejmie diecezję Gandawy – zdecydował papież Franciszek. Zakonnik był w przeszłości m.in. kierownikiem przyklasztornego browaru w Notre-Dame d'Orval, produkującego słynne piwo Orval: mocno goryczkowe, chmielone z dodatkiem szałwii.

To druga w ostatnim czasie nominacja biskupia trapisty. W 2020 r. diecezję Trondheim w Norwegii obejmie o. Erik Varden (trapistą jest też emerytowany biskup kongijski 83-letni Eduard Mununu Kasiala).

Nowy trend w Kościele? Te decyzje nie dziwią o. Szymona Hiżyckiego, opata klasztoru benedyktynów w Tyńcu. – W kościele starożytnym biskupami mogli być wyłącznie mnisi, bywało tak też często w łacińskim Kościele średniowiecznym, np. XI-wieczny biskup krakowski Aron był benedyktynem – mówi o. Hiżycki. – W Niemczech czy Szwajcarii ta tradycja nadal funkcjonuje, trzeba też wspomnieć bł. Alfreda Ildefonsa Schustera, arcybiskupa Mediolanu z lat 1929-54. Nie mówiłbym więc, że obserwujemy jakiś szczególny powrót do tradycji.

Mnisi nie kojarzą się wprawdzie z duszpasterstwem, ale to stereotyp. – Zawsze się nim w jakimś zakresie zajmowali, przecież podczas chrystianizacji Galii, Brytanii, krajów germańskich czy słowiańskich misjonarze wyruszali właśnie z klasztorów – przypomina opat. – Znam Erika Vardena, to człowiek wielkiej kultury, ogromnej wiedzy, znający chyba 10 języków, otwarty i ciepły. Na pewno świetnie przygotowany do działania w społeczeństwie, w którym żyje. Klasztor to dobra szkoła, bo do funkcjonowania w nim niezbędna jest umiejętność dialogu, znalezienia mostu do drugiego człowieka – wskazuje o. Hiżycki. – Życie monastyczne jest wbrew pozorom dynamiczne i łączy wiele charyzmatów. W Tyńcu mamy braci żyjących głównie za klauzurą, ale mamy też o. Leona Knabita.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Papież: świat bez broni jądrowej jest możliwy

FRANCISZEK PRZECIWNIKIEM ATOMU? W Tokio, podczas spotkania z ofiarami trzęsienia ziemi, tsunami oraz najpoważniejszej od Czarnobyla awarii elektrowni atomowej w Fukuszimie (2011), papież przypomniał apele japońskich biskupów o zamknięcie wszystkich reaktorów i ostrzegł, aby w polityce energetycznej nie podejmować „decyzji czysto samolubnych".

Jeszcze większe emocje wzbudziła jego wizyta w Nagasaki, gdzie w 1945 r., po wybuchu drugiej (i jak dotąd ostatniej) bomby atomowej użytej podczas wojny, zginęło 74 tys. ludzi. Tu Franciszek poszedł o krok dalej niż poprzednicy – wezwał nie tylko do niestosowania, ale i rezygnacji z posiadania przez państwa broni atomowej. Wydawane na nią pieniądze nazwał „obrazą dla niebios". „Nasz świat jest naznaczony perwersyjną dychotomią, która próbuje zapewnić stabilność i pokój poprzez fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Poczucie oparte na mentalności strachu i nieufności" – mówił.



VATICAN MEDIA

Hiroszima, listopad 2019 r.

Wezwanie wydaje się naiwne i nikt go, rzecz jasna, nie posłucha. Watykan – od lat będący w czołówce państw działających na rzecz rozbrojenia nuklearnego – odnosi jednak inne sukcesy w dziedzinie rozbrojenia: przewodził kampanii przeciw używaniu min przeciwpiechotnych (wprowadzono ich zakaz), obecnie lobbuje zaś za ograniczeniami dotyczącymi broni autonomicznej, czyli samodzielnie podejmującej decyzje o zabiciu przeciwnika. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Nowe zasady spisywania protokołu przedślubnego

OD CZERWCA PRZYSZŁEGO ROKU obowiązywać będą w Polsce nowe zasady przeprowadzania rozmów z narzeczonymi przed zawarciem małżeństwa. Spisywanie protokołu ma rozpocząć wspólna modlitwa i złożenie przysięgi przez narzeczonych, że będą mówić prawdę. Kanoniści tłumaczą, że ma to podkreślić znaczenie tego aktu. W dokumencie pojawiły się szczegółowe wytyczne na temat procedury postępowania w sytuacjach nietypowych – np. ślub z osobą innego wyznania lub niewierzącą, a także zasady, jak postępować w przypadku, kiedy któreś z narzeczonych było już wcześniej w małżeństwie cywilnym lub w konkubinacie z inną osobą, zwłaszcza gdy posiada z tych związków dzieci (chodzi o wywiązywanie się z obowiązków wobec nich). „Szczególną ostrożność należy wykazać, gdyby któreś z narzeczonych poddało się zabiegowi tzw. »zmiany płci«" – wówczas zgodę na ślub wydaje Kongregacja Nauki Wiary.

Dokument określa, że to parafia, w której para bierze ślub, ma obowiązek spisania protokołu. Dotychczas czasem dochodziło do nieporozumień między proboszczami w sytuacji, gdy narzeczeni decydowali się na wybór innej parafii niż własna. Nie powinno się też brać ślubu w miejscu innym niż kościół czy kaplica, bez poważnej przyczyny, której nie mogą stanowić racje natury komercyjnej czy ekstrawagancja. ©℗ ASK

X + Y = Jan Paweł II

„KRAKOWSKA MATEMATYKA" to konkurs organizowany w małopolskich podstawówkach przez Stowarzyszenie Nauczycieli Matematyki. Każda edycja ma temat przewodni: w tym roku to życie Karola Wojtyły. Uczniowie mierzyli się z 13 zadaniami: od prostych („Za uchwałą ustanawiającą rok 2020 Rokiem Świętego Jana Pawła II głosowało 417 posłów, przeciw było 4, nikt nie wstrzymał się od głosu. Ilu posłów było nieobecnych tego dnia, jeśli wiadomo, że wszystkich posłów jest 460?") do wymagających nieco większej sprawności w operowaniu liczbami („Jan Paweł II wspominał, że po maturze poszedł z kolegami na ciastka, czyli słynne kremówki. Zwykle za wszystkie kremówki płacił ten, kto zjadł ich najmniej. Karol zjadł wtedy więcej niż 10 kremówek, ale nie wygrał ani nie przegrał. Kolega, który wygrał, zjadł mniej niż 20 kremówek. Ile kremówek zjadł wtedy Karol, a ile zwycięzca? Wiemy, że zwycięzca zjadł o 4 kremówki więcej od Karola, a obaj razem zjedli więcej niż 26, ale mniej niż 30"). Na deser należało obliczyć obwód tacy, na której leżały kremówki. ©℗ MACIEJ MÜLLER

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

UNIŻENIE

„W Jezusie Ojciec dał nam brata, który wychodzi, by nas szukać, kiedy jesteśmy zdezorientowani i zatracamy kierunek; wiernego przyjaciela, który jest zawsze blisko nas; dał nam swego Syna, który nam przebacza i podnosi nas z grzechu" – napisał Franciszek w liście apostolskim „Admirabile signum" poświęconym symbolice żłóbka, który „wzbudza tyle zadziwienia i nas wzrusza (...) dlatego, że ukazuje czułość Boga. On, Stwórca wszechświata, uniża się do naszej małości".



JAVIER CORBALAN / AP / EAST NEWS

ŚLEDZTWO

Oskarżony o molestowanie seksualne kleryków i mobbing bp Gustavo Zanchetta zgłosił się na wezwanie argentyńskiej prokuratury. W ostatnich dwóch latach, po niespodziewanej rezygnacji z kierowania diecezją Oranu, przebywał w Watykanie zatrudniony w Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej. Śledczy grozili wystawieniem międzynarodowego listu gończego, jeśli do 28 listopada Zanchetta nie przyjechałby na przesłuchanie.

PASTERKA

Zmarła Tatiana Jaroszyńska, teolożka, katechetka, historyczka sztuki, zasłużona dla popularyzacji w Polsce Katechezy Dobrego Pasterza – metody pracy z dziećmi w wieku 3-12 lat, opracowanej w Rzymie w połowie XX w., obecnie stosowanej na całym świecie. Zakłada ona, że dziecko ma szczególny potencjał do nawiązania trwałej relacji z Bogiem. Tatiana Jaroszyńska poza pracą z dziećmi m.in. prowadziła warsztaty dla katechetów.

Dziwny przypadek Pana T.



KALINA BŁAŻEJOWSKA

25 GRUDNIA DO KIN WEJDZIE FILM „PAN T.": opowieść o ekscentrycznym warszawskim literacie, który samotnie zmaga się ze stalinowskim reżimem. A do tego nosi się jak bikiniarz, pisze dziennik i romansuje z maturzystką. Brzmi znajomo, przynajmniej dla czytelników „Dziennika 1954" Leopolda Tyrmanda. Ale w filmie nazwisko pisarza nie pada, producent zaś „zaprzecza wyraźnie fałszywej tezie, że film odnosi się do Leopolda Tyrmanda".

Oświadczenie jest efektem opisanego przez Onet sporu między synem autora Matthew Tyrmandem a twórcami „Pana T.", przy udziale Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. W skrócie: scenarzysta Andrzej Gołda, który w 2007 r. wygrał konkurs PISF na film biograficzny o Tyrmandzie, zapewnia, że „Dziennik 1954" posłużył ledwie jako inspiracja do autorskiej fabuły („ograniczał naszą wyobraźnię i to, co chcemy tym filmem powiedzieć o Polsce stalinowskiej"). Reżyser Marcin Krzyształowicz twierdzi, że główny bohater to *everyman*, który najbardziej przypomina Sławomira Mrożka. Matthew Tyrmand straszy pozwem za naruszenie praw autorskich i dóbr osobistych. Wreszcie dyrektor PISF, który zablokował wypłatę trzymilionowej dotacji, tłumaczy, że nie mógł ryzykować naruszenia ustawy o finansach publicznych. Jeśli sprawa trafi do sądu, może to być przełomowy dla branży filmowej proces.

W rozmowie z Onetem reżyser oskarża spadkobiercę o „skłonność do kasowania (wszelkich) inicjatyw", chciwość i chęć zarobku na cudzej pracy. Nie wiem, czy to prawda; wiem, że Maciej Pieprzyca miał reżyserować „Tyrmanda 1954" (pierwotny scenariusz Gołdy), a Xawery Żuławski „Złego" i że słuch po tych projektach zaginął.

Tymczasem legenda Tyrmanda aż prosi się o film, i to niekoniecznie o ekranizację „Dziennika". W tej biografii jest o wiele więcej: brawurowa ucieczka przed Holokaustem i szalona ucieczka z gomułkowskiej Polski, zachwyt i gorycz emigracji, małżeństwa i zdrady, późne ojcostwo i przedwczesna śmierć. Geniusz i kompleksy, wielkość i śmieszność. Byłoby szkoda, gdyby taki potencjał zmarnował się przez kłótnie o paragrafy i pieniądze. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

OFICJALNIE
Piotr Gliński skierował do związków zawodowych Muzeum Narodowego w Warszawie oraz ogólnopolskich stowarzyszeń muzealniczych pismo, w którym prosi o zaopiniowanie zamiaru odwołania aktualnego dyrektora muzeum Jerzego Miziołka. Po rozpatrzeniu ich opinii minister podejmie decyzję.

NIEFORMALNIE
W oczekiwaniu na zmianę dyrektora stołecznego muzeum obserwowaliśmy nieoczekiwane zmiany nazw warszawskich ulic. Ul. Topniejących Lodowców czy skwer im. Grety Thunberg przed siedzibą Ministerstwa Ochrony Środowiska – to tylko dwie propozycje grupy działaczy ekologicznych narzucone mieszkańcom Warszawy w nocy z czwartku na piątek, dokładnie kilkanaście godzin po tym, jak klimatyczna rezolucja Parlamentu Europejskiego spotkała się z aprobatą jedynie 6 europosłów i europosłanek z Polski.

NIEJASNO
„Przemienne powtarzanie rzeczowników żeńskich i męskich" (np. europosłowie i europosłanki) „jest znakiem tego, że mówiący czują potrzebę zwiększenia widoczności kobiet w języku i tekstach" – zaopiniowała Rada Języka Polskiego. „Nie ma jednak potrzeby używania konstrukcji typu Polki i Polacy, studenci i studentki w każdym tekście i zdaniu, ponieważ formy męskie mogą odnosić się do obu płci".

GŁOŚNO
W Szanghaju odbędzie się koncert muzyki z polskich gier komputerowych. W prestiżowej sali Shanghai Oriental Arts Centre (ShOAC) wystąpi Ningbo Symphony Orchestra pod batutą Roberta Kurdybachy, przy udziale zespołów Percival, Atom String Quartet i zaproszonych muzyków.



FRANCO BANFI / STEVE BLOOM IMAGE

NOCNE ŻYCIE OCEANU. Każdej doby miliony morskich stworzeń – takich, jak ta kałamarnica Humboldta – przemierzają setki metrów na powierzchnię, gdzie po zmroku żywią się planktonem. Krótko przed wschodem słońca wracają w spowite mrokiem głębiny, by kryć się tam przed drapieżnikami. Te regularne ruchy oceanicznej biomasy znane są naukowcom od 200 lat. Ostatnio, dzięki obserwacjom satelitarnym, dowiedzieliśmy się jednak, że czas migracji uzależniony jest od przejrzystości wody, a jej intensywność – od produktywności danego obszaru. ©℗ ŁK

Jak zregenerować serce

WSKUTEK OGRANICZENIA DOPŁYWU KRWI do serca dochodzi do zawału – czyli obumierania – jego mięśni. Atak serca stanowi poważny problem medyczny: jest przyczyną 14 proc. zgonów na całym świecie i ogromnych kosztów leczenia milionów pacjentów, którym udało się przeżyć. Nadzieje na odbudowanie zniszczeń w sercu powodowanych zawałem wiązano z terapiami wykorzystującymi komórki macierzyste, które mogą się przekształcić w dowolne inne komórki. Podejmowane dotąd próby kliniczne dawały pewien efekt terapeutyczny, choć nie znano dokładnego mechanizmu, który by za niego odpowiadał.

Ronald Vagnozzi i współpracownicy postanowili zbadać ten mechanizm. Jak opisują w „Nature", w eksperymencie przeprowadzonym na myszach za regenerację mięśnia sercowego odpowiadało nie różnicowanie się komórek macierzystych w komórki serca, ale wzbudzenie przez nie reakcji obronnej pewnych komórek układu odpornościowego – tzw. makrofagów, które są odpowiedzialne m.in. za zwalczanie drobnoustrojów.

Taki sam efekt terapeutyczny uzyskano, gdy zamiast komórek macierzystych myszom po zawale serca podano zymosan, który prowadzi do stanu zapalnego – i podobnej reakcji obronnej z udziałem makrofagów. Stłumienie działania makrofagów w obu przypadkach udaremniało terapię.

Wyniki tego eksperymentu stawiają pod znakiem zapytania sens wielu terapii wykorzystujących komórki macierzyste – których pozyskiwanie jest bardzo kosztowne. © MICHAŁ ŚWIĄTEK

Do zobaczenia w 2077

ELON MUSK – po śmierci Steve'a Jobsa jedyny wizjoner globalnego kalibru, nawet jeśli bywa to wizjonerstwo czysto marketingowe – znów trafił na czołówki gazet i portali. Tym razem za sprawą tesli cybertruck. Elektryczny pick-up w kraju, gdzie tego typu samochodów sprzedaje się najwięcej, wydawał się oczywistością. By zyskać zainteresowanie, trzeba więc było czegoś więcej. I tutaj do akcji wkroczyli Polacy.

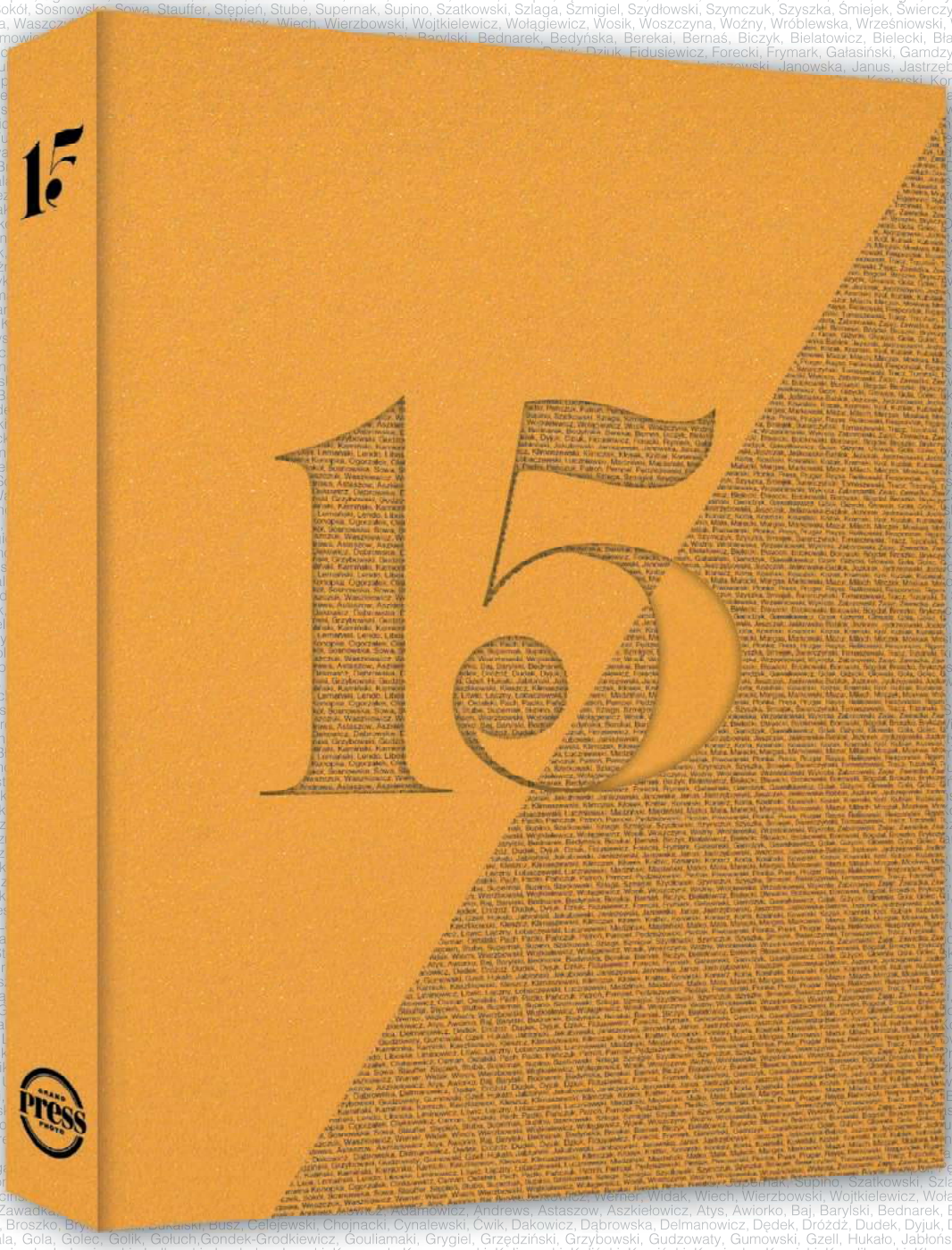
Auto zaprezentowano w Los Angeles w cyberpunkowej estetyce, a liternictwo nazwy modelu bliźniaczo przypomina logo wyczekiwanej na całym świecie gry „Cyberpunk 2077" polskiego studia CD Projekt RED. Szybko pojawiły się spekulacje o współpracy Muska i CD Projektu, które sprawnie pogłębiła twitterowa wymiana między założycielem Tesli a oficjalnym kontem gry („Do zobaczenia w 2077!" – napisał Musk). Zapewne cybertruck – pojazd o futurystycznej stylistyce – pojawi się w grze.



TESLA / MATERIAŁY PRASOWE

Tą współpracą Polacy wkraczają do ligi najmocniejszych marek, potwierdzając zasłużone miejsce na liście 50 najciekawszych firm świata, których rozwój warto obserwować w 2020 r., ogłoszonej przed miesiącem przez Bloomberg – jedno z najbardziej wpływowych mediów biznesowych. CD Projekt znajduje się na niej wśród takich firm jak Facebook, Motorola, Netflix, Samsung czy Siemens. Doczekaliśmy się „polskiej Nokii"? PATRYK STANIK ©℗

REKLAMA



15 lat konkursu Grand Press Photo

661 zdjęć 111 fotografów w jubileuszowym wydaniu książki fotograficznej

W SPRZEDAŻY OD 10 GRUDNIA NA PRESS.PL

Partnerzy albumu

AGORA SA · allegro · POLSKA PRESS GRUPA · Provident · ZAIKS · antalis Just ask Antalis · em · EUROGRAPHIC GROUP · DIGIPRINT · hp Indigo Division

TEMAT TYGODNIKA



POPOŁUDNIE CHRZEŚCIJAŃSTWA

KS. TOMÁŠ HALÍK, TEOLOG I DUSZPASTERZ:

Wielu ludzi opuszcza Kościół nie dlatego, że opuszcza Chrystusa, lecz dlatego, że Go w Kościele nie znajduje.



GRAŻYNA MAKARA

Ks. Tomáš Halík w towarzystwie Piotra Sikory (za gołębiem) i Artura Sporniaka na Plantach, Kraków, 23 listopada 2019 r.

PIOTR SIKORA, ARTUR SPORNIAK: Jak Ksiądz wyobraża sobie Kościół za 20 lat?

KS. TOMÁŠ HALÍK: W Europie chrześcijaństwo zapewne nie będzie masowe, tyle że Jezus nigdy nie obiecywał, że będzie. Musi być otwarte na wszystkich, nie może stać się ezoterycznym, okultystycznym klubem – ale Jezus mówił, że to wąska droga, którą nie idzie wielu. Chrześcijan przyrównał do soli. Soli nie musi być dużo. Czasem mam poczucie, że w niektórych środowiskach jest jej za dużo.

Ważne, by sól nie straciła smaku. Kiedyś przed świętami zaproszono mnie do radia. Redaktorka powiedziała: „Idą święta, niech ksiądz powie coś słodkiego". Odpowiedziałem: „Niestety nie mogę. Chrześcijanie nie są cukrem, ale solą ziemi". Nie lubię przesłodzonego chrześcijaństwa. Także w relacjach wewnątrz Kościoła. Gdy pytają mnie o stosunek do biskupów, mówię, że jest jak kawa: mocny, gorący, ale nie przesłodzony.

A patrząc globalnie?

Uważam, że za 20 lat Kościół będzie bardziej zróżnicowany. W pierwszym tysiącleciu istniało znacznie więcej form chrześcijaństwa – germańskie, italskie, celtyckie, greckie, syryjskie. Po rozejściu się Zachodu i Wschodu, w drugim tysiącleciu Zachód się bardzo „zromanizował". Ale teraz chrześcijaństwo się zglobalizowało. I ma mnóstwo twarzy. Od 20 lat mam możliwość podróżowania po świecie. Odwiedziłem wszystkie kontynenty – łącznie z Antarktydą. Gdzie tylko mogę, spotykam się z teologami, z biskupami. Widzę, jak chrześcijaństwo jest zróżnicowane.

Trudno powiedzieć, jakie formy będą najbardziej inspirujące w przyszłości. Azjatycka? Afrykańska? Nie wiem. Jedyne, czego jestem pewien, to tego, że będzie wielobarwne i wielopostaciowe.

Populizm, nacjonalizm i ksenofobia, a nie „dyktatura homoseksualizmu" to przekleństwo naszych czasów – mówił Ksiądz na gali Medalu św. Jerzego. Skąd się bierze ich popularność?

Najpoważniejszym ruchem kulturowym współczesności jest właśnie globalizacja. I to ona była jedną z głównych przyczyn upadku komunizmu. Systemy oparte na gospodarce planowej i kontroli idei nie mogły wytrzymać konkurencji z wolnym rynkiem, w którym panuje konkurencja towarów, ale też idei. Obecnie procesy globalizacji dosięgnęły szczytu i zaczęliśmy widzieć ich ciemną stronę. Jednym z ich skutków było powstanie nowej elity – tzw. elity wpływu. Większość ludzi miała jednak poczucie, że ich głos się nie liczy. Kiedy pojawiły się media społecznościowe, ci ludzie otrzymali platformę ekspresji.

Jedną z tych emocji jest strach, który rodzi się w konfrontacji z tak skomplikowanym światem. ↦

↦ Ludzie go nie rozumieją. Populistyczni politycy żerują na ich strachu.

A do czego nacjonaliści potrzebują religii?

Naród, nacjonalizm i religia to fenomeny silnie nacechowane emocjonalnie. W dużej mierze związane są z nieświadomą sferą człowieka, z archetypami, które człowiekiem kierują. Świecki język nie jest w stanie wyrazić silnych emocji. Gdy je odczuwamy, spontanicznie sięgamy po język religijny. Gdy czymś się np. zachwycamy – „Boże, to takie piękne!". A gdy doświadczamy strachu, mówimy: „Boże, to straszne!". Tak robią nawet niewierzący.

Język religii niesie też wielki ładunek energii. Gdy politycy po niego sięgają, dysponują silną bronią. Jeśli nazwiemy politycznego przeciwnika szatanem, zamykamy jakąkolwiek możliwość dialogu, bo z szatanem się nie rozmawia. Sięganie po hasła religijne zmienia spór polityczny w apokaliptyczną wojnę dobra ze złem.

Religia i naród są związane z poczuciem tożsamości. Dziś jest ono problemem wielu ludzi. Pojawiają się imigranci i ludzie zaczynają pytać: kim właściwie jestem? Chcą określić swoją tożsamość w stosunku do innych. Wiąże się to też z kryzysem rodziny, środowiska, w którym człowiek zwykle buduje indywidualną tożsamość. Kiedy rodzina jest w kryzysie i trudno zbudować własną tożsamość w oparciu o nią, wielu szuka innej zbiorowej tożsamości. I trafia np. do sekt czy ekstremistycznych ruchów politycznych.

Powiedział ksiądz: „W naszym katolickim dziedzictwie jest coś takiego, co właśnie temu niebezpiecznemu złu dodaje pożywienia, siły i energii. Coś, co populistom i nacjonalistom pozwala nadużyć chrześcijańskich symboli i retoryki". Co to takiego?

Nazywam to katolicyzmem bez chrześcijaństwa. W pewnym momencie w katolickim świecie wytworzyła się swoista kontrkultura skierowana najpierw przeciwko protestantyzmowi, potem przeciwko ruchom modernistycznym. Powstał obraz Kościoła jako atakowanej przez wrogów twierdzy. Przeciwstawiano się np. rewolucji francuskiej i Wiośnie Ludów. Dużą rolę odegrał w tym romantyzm, który postawił się w opozycji do oświecenia, odwołując się do średniowiecza jako modelowego, idealnego świata. Hasła, które dziś pojawiają się na ustach wielu prawicowych polityków, np. że będziemy stać na straży chrześcijańskich wartości, odwołują się właśnie do romantycznej utopii – takiej Europy nigdy nie było. Romantyzm sycił się nacjonalizmem, szczególnie w Polsce będącej wówczas pod zaborami. Dziś też nacjonalizm przesiąknięty jest romantyzmem.

Papież ma wskazywać drogę do Chrystusa i Jan Paweł II to rzeczywiście robił.

Ale Polacy bardziej zatrzymują się na papieżu, niż podążają za jego wskazaniami. Świadczy o tym też liczba jego pomników.

Ten kierunek w XIX w. miał ciekawe postacie – francuskiego filozofa Josepha de Maistre'a i hiszpańskiego myśliciela Juana Donoso Cortésa. Ich idee wróciły w XX w. u bliskiego nazistom niemieckiego teoretyka prawa Carla Schmitta. Uważał on, że wszystkie idee politologiczne są zeświecczonymi ideami religijnymi. Teraz podobne myślenie odradza się wśród amerykańskiej prawicy.

Antyoświeceniowy ruch w XIX w. miał duży wpływ na Sobór Watykański I i ogłoszony na nim dogmat o nieomylności papieża. Odwołano się wówczas właśnie do obrazu Kościoła jako oblężonej twierdzy. „Syllabus errorum" Piusa IX, potępiający m.in. wolność religijną i rozdział państwa od Kościoła, był manifestem tego ruchu. A Sobór Watykański II próbował pozamykaną na świat twierdzę Kościoła otworzyć.

W Polsce można spotkać się z argumentami, że potępianie błędów należy do istoty chrześcijaństwa od samego początku. Świadczą o tym anatemy starożytnych soborów potępiające herezje, a nawet pisma św. Pawła, który pisze do Tymoteusza, by głosił tylko „zdrową naukę".

Jest oczywiste, że obowiązkiem Kościoła jest walka z herezją. Jednocześnie Chesterton mówił, że herezje są prawdą doprowadzoną do obłędu. Porównałbym je do kompleksów wypartych do podświadomości, o których mówi psychoanaliza. Taki kompleks narasta, puchnie.

Tak było w średniowieczu, kiedy Kościół odszedł od wartości ubóstwa. Reakcją były ruchy heretyckie. Początkowo Kościół próbował zwalczać je siłą. Potem pojawili się reformatorzy: Franciszek i Dominik. Podobną sytuację mieliśmy, gdy powstał ruch proletariacki. Najpierw Kościół nie potrafił zareagować konstruktywnie. Potem pojawił się marksizm i dopiero z opóźnieniem powstała społeczna nauka Kościoła.

Rolą duszpasterzy i teologów jest znajdować w nowych kulturowych ruchach ziarno prawdy i oswobodzić je z kontekstu ideologicznego. Musimy też nauczyć się odróżniać modę, która niekiedy ociera się o herezję, od znaków czasu. Sądzę, że w ruchach modernistycznych przełomu XIX i XX w. Kościół nie rozpoznał tego ziarna prawdy. I zareagował neurotycznie. Dziś podobnie neurotycznie reaguje na problemy w obszarze seksualności.

A domyśla się Ksiądz, dlaczego katolicyzm bez chrześcijaństwa okazuje się atrakcyjny dla niektórych księży?

Polski katolicyzm był w przeważającej mierze defensywny. W czasach zaborów musiał przeciwstawiać się niemieckiemu protestantyzmowi i rosyjskiemu prawosławiu. Karmił się też ideami romantycznymi. To wszystko zostało wzmocnione przez wybór papieża Polaka. Mówiłem moim przyjaciołom z Polski, że za tą ikoną papieża Polaka muszą odnaleźć Chrystusa. Czasem mówi się anegdotycznie o Rzymie, że jest najbardziej ateistycznym miastem, bo rzymianie uważają, iż mają papieża i nie potrzebują już Boga. Czy nie mieliście podobnej sytuacji w Polsce?

W tej chwili problemem jest nasze „sieroctwo" po papieżu Polaku.

Kilka lat temu podróżowałem z jednym z naszych biskupów po Polsce i uczestniczyłem w wielu mszach. Zauważyliśmy, że kaznodzieje bardzo często cytowali Jana Pawła II. Za którymś razem ów biskup nachylił się do mnie i powiedział: „Ten papież napisał im homilie na 50 lat do przodu". Mam takie poczucie, że na skutek kultu polskiego papieża Chrystus i Ewangelia zeszli na drugi plan.

Sam bardzo ceniłem Jana Pawła II, miałem też okazję go poznać. Ale widzę tu



BARTOSZ SIEDLIK DLA „TP"

KS. PROF. TOMÁŠ HALÍK jest filozofem, teologiem i socjologiem. Po studiach w komunistycznej Czechosłowacji odmówiono mu prawa do pracy naukowej – został terapeutą środowiskowym osób uzależnionych. W 1978 r. tajnie wyświęcony na księdza, do 1989 r. jedna z najważniejszych postaci podziemnego Kościoła w Czechach, później m.in. doradca prezydenta Havla, wykładowca Oksfordu, Cambridge i Uniwersytetu Karola, duszpasterz akademicki. Laureat Nagrody Templetona i przyznanego w listopadzie przez „TP" Medalu św. Jerzego. Autor kilkudziesięciu książek, tłumaczonych także na język polski.

Obok: W towarzystwie ks. Adama Bonieckiego i o. Tomasza Dostatniego na Gali Medalu św. Jerzego, Kraków, 23 listopada 2019 r.

niebezpieczną pokusę „papolatrii". Papież ma wskazywać drogę do Chrystusa i Jan Paweł II to rzeczywiście robił. Ale ludzie bardziej zatrzymują się na papieżu, niż podążają za jego wskazaniami. Świadczy o tym też liczba jego pomników.

Jak więc odzyskać kierunek na Ewangelię?

Prorocką postacią jest papież Franciszek, świadomy niebezpieczeństwa „papolatrii" i z nim walczący. Świadczą o tym jego liczne nieformalne wystąpienia i gesty, np. to, że odwiedza więźniów, żyje w zwykłym mieszkaniu, jeździ zwykłym samochodem. Łączy w sobie franciszkańską pokorę i ideał ubóstwa z jezuicką odwagą i oryginalnością.

To dość przewrotne odpowiadać na „papolatrię" związaną z Janem Pawłem II wskazywaniem na to, co robi Franciszek.

Chciałem tylko pokazać, że papież może być tym, który wskazuje drogę, a nie koncentruje uwagę na sobie. Ale oczywiście naszą odpowiedzią nie może być tylko to, że przyklaskujemy papieżowi. Powinniśmy iść w jego ślady, czyli odejść od triumfalizmu i przekonania, że mamy monopol na prawdę.

Ksiądz uważa, że żyjemy w podobnych czasach jak przed Reformacją. Wtedy protestancką odpowiedzią na kryzys instytucji była „sola scriptura", czyli oparcie wiary na samej Biblii. Dziś odpowiedzią jest raczej obojętność religijna. Czy możliwa jest odnowa chrześcijaństwa?

W epoce sekularyzmu i postsekularyzmu stoimy przed wyzwaniem odnalezienia nowej twarzy chrześcijaństwa. Sam od miesięcy pracuję nad pewną wizją – czymś, co określiłbym jako „popołudniowe chrześcijaństwo". Ta metafora inspirowana jest myślą Carla Gustava Junga, który pisał, że ludzkie życie porównać można do dnia: do południa budujemy miejsce w społeczeństwie, później przychodzi kryzys południa, a po południu jest czas, by sięgać głębiej. Sądzę, że można odnieść tę metaforę do historii chrześcijaństwa. Okresem do południa były dotychczasowe dwa tysiące lat, podczas których rozwijaliśmy doktrynę i powstawał Kościół jako instytucja. Potem nastał kryzys przejawiający się w ruchach modernistycznych, pojawieniu się idei śmierci Boga oraz w sekularyzacji. Ten kryzys, który ma dzisiaj dalsze ciągi, jest szansą na oczyszczenie.

KS. TOMÁŠ HALÍK:

Podczas jednej dyskusji w gronie prałatów miałem przemówienie. Potem jeden z księży wziął mnie na bok i powiedział: „Wszystko to piękne, co ksiądz mówił. Ale jeśli chce ksiądz zrobić karierę w Kościele, np. zostać biskupem, proszę tak nie mówić. Nie może ksiądz pokazać, że myśli zbyt samodzielnie". Ten ksiądz nazywał się...

Nasi biskupi alergicznie reagują na hasło prywatyzacji wiary – czy o nią chodzi?

Sekularyzacja nie jest końcem chrześcijaństwa, tylko jego głęboką transformacją. Teraz się mówi, że religia wraca. Ja odpowiadam, że religia nie ma skąd wracać, bo nigdy nie zniknęła. Możliwe, że zniknęła z horyzontu socjologów i mediów, a co za tym idzie – także opinii publicznej. Sekularyzacja w ujęciu socjologów była raczej samospełniającą się przepowiednią. Chodziło o jedną postać religii, która teraz faktycznie ustępuje. Chrześcijaństwo oficjalne, instytucjonalne, rzeczywiście odchodzi na margines – i ten proces będzie postępował, dlatego że straciło swoją naturalną, społeczno-kulturową „biosferę". Tym, co wraca, nie jest religia w starym tego słowa rozumieniu. To już jest nowa postać religii. Ma kilka form.

Pierwszą z nich jest polityzacja religii, czyli zrobienie z niej ideologii politycznej. Czasem nawet myślę, że to nie tyle jest ↦

↦ polityzacja religii, co raczej sakralizacja polityki i narodu. Obserwujemy to na przykładzie radykalizmu islamskiego, ale też amerykańskiej *religious right* i innych konserwatywnych ruchów katolickich. Druga postać to spirytualizacja religii. Tworzą ją ludzie, którzy mają dystans do Kościoła jako instytucji, ale szukają duchowości, chcą wejść w głąb.

Trzecia postać to powrót religii do teologii i filozofii, czyli ów *religious return* – religijny zwrot we współczesnej fenomenologii, hermeneutyce, postmodernizmie, reprezentowany przez myślicieli francuskich i amerykańskich.

Ja sam widzę w tym zwrocie źródło inspiracji, zwłaszcza w myśli Irlandczyka mieszkającego w USA – Richarda Kearneya, autora idei anateizmu. W idei tej chodzi o to, żeby sekularyzację traktować poważnie, jako szansę na oczyszczenie. Nie ma powrotu do religijności, która istniała przed kryzysem i funkcjonowała w kontekście dawnej metafizyki. I nie chodzi o ateizm, ale o uchwycenie na nowo istoty religii już w kontekście hermeneutycznym. Zadaję sobie też pytanie, jak można połączyć te intelektualne inspiracje z życiem duchowym. Ks. Józef Tischner miał ciekawe intuicje, gdy mówił o „końcu chrześcijaństwa tomistycznego" i chciał łączyć teologię z fenomenologią.

Ten nowy pejzaż przypomina czasy Konstantyna. Wtedy również mieliśmy polityzację religii, która była próbą sakralizacji polityki na jego dworze. Odpowiedzią był spirytualistyczny ruch Ojców Pustyni. I mieliśmy też wielki rozwój teologii np. u Ojców Kapadockich, którzy chrześcijańską wizję integrują z filozofią grecką. Czy możemy się z tej lekcji historii czegoś nauczyć?

Tak. Sam często wracam do Ojców Pustyni i Ojców Kościoła, zwłaszcza do Orygenesa. W ruchu Ojców Pustyni dostrzegam próbę zbudowania alternatywnej wersji chrześcijaństwa. Oni właśnie dostrzegli niebezpieczeństwo jego polityzacji. Widzę wielkie dzieło Ducha Świętego w tym, że ówczesnemu Kościołowi udało się te ruchy zintegrować, unikając schizmy. Kościół przez zaakceptowanie reguł zakonnych zinstytucjonalizował życie monastyczne. Udało się połączyć w jedno laickość życia z głęboką duchowością.

Jak to robić dzisiaj? Powtórka jest przecież niemożliwa.

W historii Kościoła kilka razy już staliśmy na rozdrożu: Wielka Schizma, potem Reformacja, a dziś stoimy przez koniecznością nowej reformacji. Zawsze jednak pojawiali się ludzie, którzy między tymi ścierającymi się opcjami starali się znaleźć trzecią drogę. Prototypową postacią byłby dla mnie Erazm z Rotterdamu. Nieco wcześniej nowej drogi szukali czescy utrakwiści. Gdyby Kościół umiał odpowiedzieć na ich umiarkowane idee, może nie doszłoby do schi-

Czechy: zmartwychwstanie po apokalipsie



ONDREJ DEML / CTK / PAP

Ks. Tomáš Halík odprawia mszę za Jana Palacha, który w 1969 r. spalił się w proteście przeciw sowieckiej inwazji na Czechosłowację. Kościół Najświętszego Zbawiciela, Praga, 15 stycznia 2019 r.

„BUDZĄ SZACUNEK energia i zaangażowanie, z jakimi katolicka mniejszość odbudowuje życie religijne po apokalipsie" – pisał rok temu na tych łamach Tomasz Maćkowiak, przybliżając sytuację Kościoła katolickiego w Czechach. Apokalipsa to oczywiście czasy komunizmu. W 1948 r. do Kościoła przyznawało się 70 proc. Czechów. Ale szybko nastąpiły represje. Kościół został pozbawiony majątku, księża i biskupi trafili do więzień, o tym, kto mógł sprawować – pod ścisłą kontrolą – funkcje duszpasterskie, decydowały władze.

W warunkach silnych represji powstał tzw. Kościół ukryty. Potajemnie wyświęcono w sumie 15 biskupów i ok. 160 księży (jednym z nich był ks. Tomáš Halík). Z tej grupy po aksamitnej rewolucji 22 księży miało żony (zostali przez Watykan przeniesieni do obrządku bizantyjsko-słowiańskiego).

Dzisiaj w dziesięciomilionowych Czechach do katolicyzmu przyznaje się jedynie co dziesiąty mieszkaniec. Ale aż 40 proc. społeczeństwa wierzy w Boga, nie identyfikując się z żadnym Kościołem. Episkopat tworzy 22 biskupów, w tym jeden kardynał (metropolita Pragi i prymas Czech Dominik Duka). W Kościele pracuje niecałe 2 tys. księży – diecezjalnych i zakonnych (dla porównania w 33-milionowej Polsce mamy 150 biskupów i 34 tys. księży).

Wyzwaniem jest zbyt mała liczba duszpasterzy – w archidiecezji praskiej ponad połowa parafii nie jest obsadzona. Stąd „eksport" duchownych głównie z Polski (ok. 200 księży). Mniejszościowy Kościół katolicki prowadzi w Czechach aż 7 szkół wyższych. © ASK

zmy. Podobnie było z ruchami modernistycznymi: ruch ten został zupełnie stłumiony i wiązało się to z intelektualną autokastracją Kościoła.

Sądzę, że stoimy teraz przed potrzebą głębokiej reformy. Co interesujące: wzywa do niej sam papież. Nie możemy jednak ograniczyć się tylko do reformy instytucji. Ważne, by rozwijać duchowość, i to duchowość ekumeniczną. Ciekawą propozycją jest wspomniany anateizm oraz wspólnota Taizé jako wzór duchowości ekumenicznej.

Uważam, że wielki potencjał religijny mają ludzie, którzy znajdują się na obrzeżach Kościoła. Teologia wyzwolenia zwracała się do ludzi żyjących na marginesie społeczeństwa. Sam chciałbym w swojej teologii zwracać się do ludzi, którzy są na marginesie Kościoła.

Wielu ludzi opuszcza Kościół nie dlatego, że opuszcza Chrystusa, lecz dlatego, że Go w Kościele nie znajduje. Stają się ludźmi poszukującymi. Mniej jest walczących ateistów. Dla poszukujących wiara jest swego rodzaju drogą. Nie mówią: „jesteśmy w posiadaniu prawdy", ale: „chcemy poszukiwać". Są też ludzie, którzy nie określają się jako wierzący, lecz są ludźmi duchowymi – duchowość jest dla nich ważna. Sądzę, że o losie Kościoła zdecyduje to, czy będzie w stanie zwrócić się właśnie do nich. Ale nie chodzi o to, byśmy działając starą misjonarską strategią wciągnęli ich w struktury kościelne. Chodzi o to, by dzięki nim struktury się rozszerzyły. O nową wizję Kościoła, nową eklezjologię.

Jakie reformy instytucjonalne są konieczne, by odnowa duchowa mogła się udać? Klerykalizm trzyma się mocno, świadczy o tym np. niedawny raport Associated Press, pokazujący, że opcja na rzecz ofiar wciąż nie została w USA wprowadzona, choć kraj ten najwcześniej zaczął zmagać się z kryzysem pedofilii.

Potrzebne jest wielowymiarowe działanie. Jedna droga, którą pokazuje Franciszek, to zmiana nie nauki, lecz stylu pastoralnego. Druga droga – to teologiczne rozwinięcie metafor przez niego podsuwanych.

Dla mnie najbardziej inspirujący jest obraz Kościoła jako szpitala polowego. Ma on cztery oddziały. Diagnostyczny – rozpoznający znaki czasu; prewencyjny – rozwijający w społeczeństwie mechanizmy zabezpieczające przed populizmem, nacjonalizmem; terapeutyczny i rehabilitacyjny. Zauważcie, że w krajach postkomunistycznych zostało wiele ran i chorób duchowych, więc potrzebna jest „rehabilitacja".

Kolejna droga to rozwijanie głębokiej, inspirującej duchowości – np. Taizé. Trzeba rozwijać centra duchowości pogłębionej, a nie kiczowatej. Niektóre ruchy pentakostalne rozwijają duchowość nieco wykrzywioną, opartą na emocjach. Jestem sceptyczny wobec części ruchów związanych z tzw. nową ewangelizacją, w których nadzieję pokładał Jan Paweł II. Zbyt dużo mają z religijnej mobilizacji fundamentalistycznych ruchów amerykańskich. Takie trzymanie w jednej ręce hamburgera, w drugiej – Biblii. Głębsza jest duchowość Taizé.

Po ukończeniu studiów wielu konwertytów ma problem w swoich parafiach. Mówią: „To inna religia niż ta, którą poznaliśmy." Ale jeśli ktoś solidnie przejdzie kurs kontemplacji, **umiejętność medytowania zostaje mu na całe życie.**

Jak odnaleźć „Taizé" we własnej parafii?

W naszej akademickiej parafii w Pradze prowadzimy kursy medytacji i katechumenat (w tym roku zgłosiło się 91 osób). Mamy też dom rekolekcyjny, gdzie organizujemy rekolekcje weekendowe, tygodniowe, dziesięciodniowe, przez cały rok. Jest to robione w kreatywny sposób. Np. uczestnicy większość dnia medytują w ciszy, ale dwa razy dziennie oglądają jakiś mocny film, który porusza ważne problemy życiowe. Ponieważ medytacja dotyka głęboko emocji, uczestnikom towarzyszy ksiądz i psychoterapeutka.

Chrześcijaństwo tych, którzy przejdą taki kurs kontemplacyjnej modlitwy, staje się głębsze, żywsze. Z drugiej strony wielu konwertytów, gdy kończy studia i opuszcza naszą akademicką parafię, ma problem w swoich miejscach zamieszkania. Mówią: to inna religia niż ta, którą poznaliśmy. Ale jeśli ktoś solidnie przejdzie kurs kontemplacji, to umiejętność medytowania zostaje mu na całe życie.

Dbamy również o wymiar intelektualny – powiązania duchowości z otwartością na współczesną kulturę – a także obywatelski (duchowość nie może być oderwana od życia). Wielu ludzi z naszej parafii brało np. udział w demonstracjach przeciw populistom, są zaangażowani w organizacje pozarządowe. Kontemplacja nie może być oderwanym od życia narcyzmem. Niektórzy zakładają podobne grupy religijne tam, gdzie żyją.

Jak Ksiądz ocenia niemiecką „drogę synodalną"? Co z niej da się przenieść na grunt czeski czy polski?

Droga synodalna jest potrzebna. Choćby dlatego, że może być drogą ku nowemu soborowi – o którym już powinniśmy myśleć, nawet jeśli jego czas jeszcze nie przyszedł. I jest to droga dialogu. Ważne, by rozmawiać otwarcie. Wspiera to sam papież, zachęcając biskupów, by mówili, co myślą. Na pierwszym synodzie wzbudziło to pewien szok – dotąd nie było takiego zwyczaju w Kościele.

Gdy przygotowywałem pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II do Czechosłowacji, byłem kilka miesięcy w Rzymie. Podczas jednej dyskusji w gronie prałatów miałem przemówienie. Potem jeden z księży wziął mnie na bok i ubawiony powiedział: „Wszystko to piękne, co ksiądz mówił. Ale jeśli chce ksiądz zrobić karierę w Kościele, np. zostać biskupem, proszę tak nie mówić. Nie może ksiądz pokazać, że myśli zbyt samodzielnie". Ten ksiądz nazywał się Adam Boniecki.

W ramach „drogi synodalnej" w Niemczech biskupi i świeccy dyskutują na tematy, na które wcześniej nie wolno było dyskutować: kontrola władzy biskupiej, kwestia celibatu, miejsce kobiet w Kościele i nauczanie na temat moralności seksualnej, które „rozjechało się" z rzeczywistością. W tym kontekście ważne jest, jak rozumieć słowa Franciszka z „Evangelii gaudium", że rzeczywistość jest ważniejsza od idei.

Uważam, że to wszystko tematy, o których trzeba dyskutować. W Episkopacie Czech widzę jednego czy dwóch ↦

biskupów o podejściu podobnym do abp. Grzegorza Rysia, ale niezależnie od tego, jakie inicjatywy podejmą biskupi, można tworzyć przestrzeń do rozmowy na własną rękę. W Czechach mamy Czeską Akademię Chrześcijańską, której jestem przewodniczącym. To struktura ekumeniczna, świecka. W każdym większym mieście ma swoje centra dyskusyjne (trochę jak w Polsce KIK-i). Porównując Czechy i Niemcy, trzeba powiedzieć, że Niemcy robią to już od dawna, panuje u nich Streitkultur (kultura sporu) – możemy się nie zgadzać, ale nie powoduje to wzajemnych oskarżeń o odstępstwo i innych personalnych zarzutów. W naszych krajach chyba jeszcze takiej kultury nie ma. W czasach komunizmu nie było możliwości otwartej debaty, a Kościół musiał przyjąć postawę defensywną, by utrzymać jedność. Nadal jest w nas takie myślenie, które kojarzy jedność z jednolitością, podczas gdy dla św. Pawła ona była organiczną jednością w różnorodności.

A wracając do stwierdzenia Franciszka – czy oznacza ono, że życie jest ważniejsze od doktryny?

Nie uważam, że dobrze wiem, co papież miał na myśli. Powiedziałbym, że rzeczywistość pochodzi od Boga, a idee – od ludzi. Wiara jest przeświadczeniem, że rzeczywistość, to, co się dzieje, jest w rękach Bożych – to stara teza tomistyczna. Natomiast idee to ludzka interpretacja rzeczywistości. Jako ludzka – jest perspektywiczna, ograniczona kulturowo, osobowo. Zatem potrzebny jest krytyczny dystans do własnych idei, by nie przekształciły się w ideologie, lecz by poszukiwać poza nimi całości prawdy.

Czy odnosi się to też do doktryny, np. do treści Katechizmu?

Oczywiście. Inspiruje mnie obraz z soborowej konstytucji „Lumen gentium", gdzie czytamy, że Kościół Chrystusowy *subsistit in* (trwa w) Kościele katolickim. Podobnie Boża Prawda *subsistit in* – jakoś uobecnia się w nauce Kościoła. Nauka Kościoła nie jest całkiem tożsama z Prawdą Bożą, nie wyczerpuje jej. I w tym przypadku potrzebny jest pewien dystans, który pozwala rozpoznać perspektywiczność naszej wiary.

W takim razie czy Kościół nie powinien przyznać, że czasami trzeba zmienić nie tylko podejście duszpasterskie, ale i doktrynę? Przykładem wspólna deklaracja Franciszka i imama Al-Azhar z Abu Dhabi, w której napisano, że wielość religii jest chciana przez Boga w Jego stwórczej mądrości. Czy nie jest to uznanie, że istnieją inne, uprawnione religijne drogi do Boga i drogi Boga do człowieka? I że możemy uczyć się od nich?

Zasadniczo zgadzam się z tym ujęciem. Ale trzeba tu znaleźć drogę pomiędzy dwiema skrajnościami: z jednej strony relatywizmu, a z drugiej dogmatyzmu. Myślę, że właśnie ów model *subsistit in* jest takim złotym środkiem. Mamy udział w prawdzie, ale nie wyczerpujemy jej – istnieje więc przestrzeń dla drugiego. Jezus może powiedzieć: „Ja jestem Prawdą". My nie jesteśmy Jezusem, lecz Jego uczniami, jesteśmy w drodze ku pełnej prawdzie. To model eschatologiczny. Istnieje eschatologiczna różnica pomiędzy *Ecclesia militan*s na ziemi a *Ecclesia triumphans* w niebie. Jeśli mówimy, że jesteśmy już Kościołem triumfującym, jest to triumfalizm, który w dodatku prowadzi do tego, że stajemy się Kościołem walczącym na sposób „militarny".

Czego moglibyśmy się uczyć od niechrześcijańskich tradycji religijnych?

Religie Wschodu rozwinęły kulturę kontemplacji. My mamy skłonność do myślenia, że kontemplacja jest dla wybranych, a powszechnie to wystarczy Dekalog. Od żydów możemy uczyć się wcielenia pobożności do życia rodzinnego. Po zniszczeniu Świątyni Jerozolimskiej nastąpiła w judaizmie rekontekstualizacja i reinterpretacja – miejsce ołtarza świątynnego zajął stół rodzinny, a miejsce ofiar – rodzinna modlitwa i studium Pisma. Warto się tym inspirować. Gdy myślę o islamie, przychodzi mi na myśl św. Franciszek – to dzięki niemu mamy dzwony na Anioł Pański, inspirowane śpiewem muezinów z minaretów. Albo różaniec – to też przejęliśmy z islamu (a islam z hinduizmu). Inspiracje międzyreligijne są liczne.

Najważniejsze, że dialog powinien być prowadzony nie z islamem, ale z muzułmanami, nie z judaizmem, ale z żydami. Dialog może zaistnieć pomiędzy konkretnymi ludźmi.

©℗ Rozmawiali
PIOTR SIKORA I ARTUR SPORNIAK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

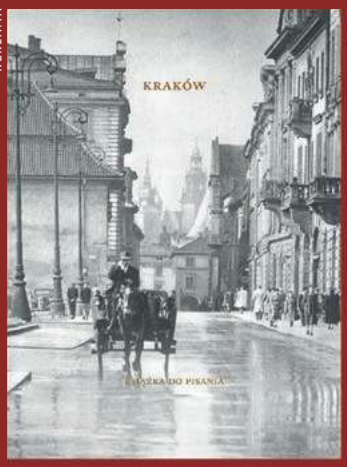
S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

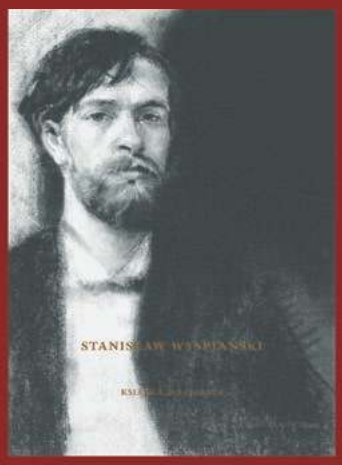
Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

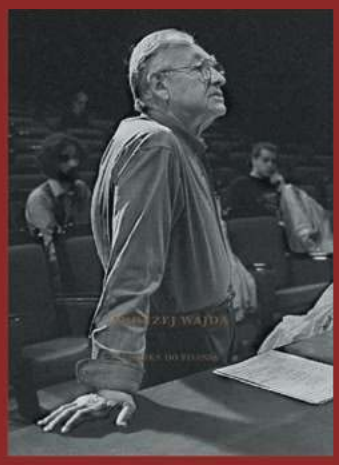
■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

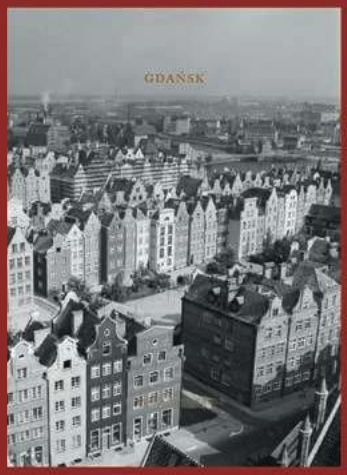
REKLAMA







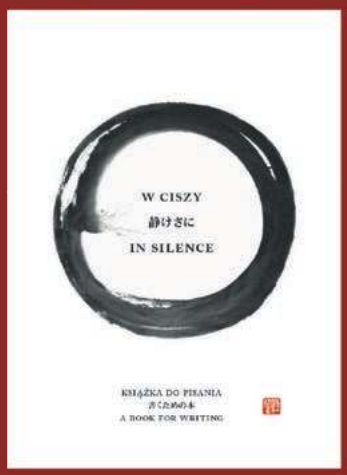




Podróż przez kraj czy przez krainę umysłu – co to ma za znaczenie? Notuj rzeczy, które widzisz i których nie widzisz. Puste miejsca wypełniaj możliwościami. Szukaj natchnienia w najdoskonalszym świecie wyobraźni, podejmuj pełną głębi grę wędrowca, filozofa i artysty, który żyje w każdym z nas. Ciesz się wyobrażeniem własnego wymyślonego miejsca. Naszkicuj krajobraz, florę i faunę, deklarację własnego najintymniejszego domowego ogniska. Wyczaruj przygody. Załóż dziennik snów. Otwórz się na nową hipotezę lub wiersz, na swój nowy wynalazek, nowy wspaniały pomysł. Niech to będzie coś niezwykłego, coś zaczarowanego, coś, w co się da uwierzyć, coś twojego. Wytycz drogę wstecz i drogę naprzód. A potem narysuj mapę, która pozwoli ci tę trasę zapamiętać. No bo do czego jest

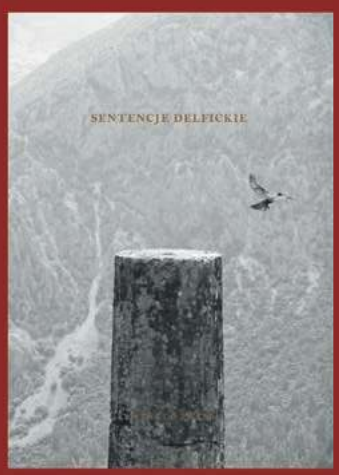
KSIĄŻKA DO PISANIA?

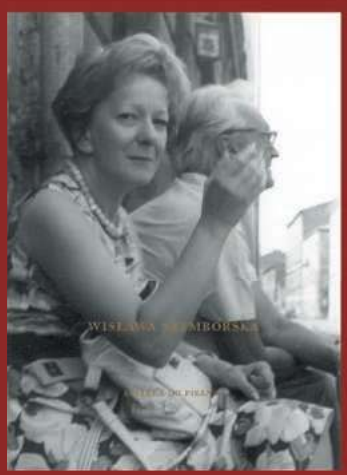


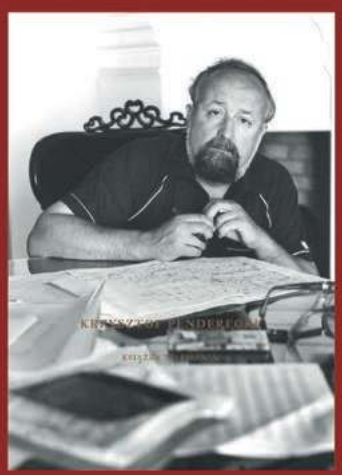


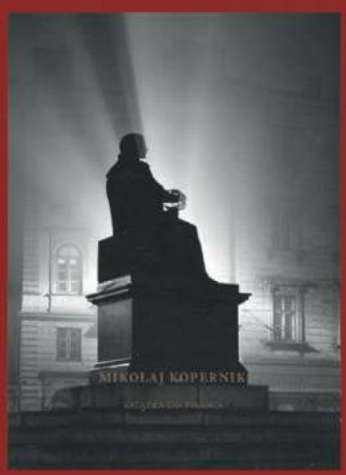
LIBER AD SCRIBENDUM
ΒΊΒΛΟΣ ΓΡΑΠΤΈΑ
ספר לכתיבה

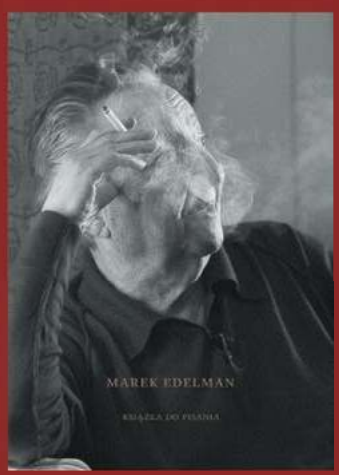
AUSTERIA











PAWEŁ

Śpiewak:
Kohelet i czas



Medytacja Koheleta nad marnością spotyka się z medytacją nad ludzkim czasem. Już na wstępie Księgi pisał, że pokolenia przychodzą, pokolenia przemijają, a ziemia trwa nieporuszona: „To, co było, będzie, a to, co się działo, będzie się działo i nie ma nic nowego pod słońcem. Dzieje się coś, o czym mówimy: patrz, to jest nowe, lecz to już się zdarzyło w czasach, które były przed nami" (Koh 1, 9-10; wszystkie tłumaczenia z oryginału – Anna Kamieńska). Czas jest wpisany w krąg, powtarza się i donikąd nie prowadzi. Jest w tym nakaz, porządek. Nasz świat nie jest chaosem. Wiemy, czym się rządzi czas, i wiemy, gdzie jesteśmy. Niewiele zostaje na poczucie wyjątkowości, oryginalności. Nie ma tu miejsca na niepowtarzalność. Wszelkie pretensje o to, że ktoś w swoim mniemaniu czyni coś nowego, można tylko łagodnie wyśmiać. A mimo to się trudzimy, nie popadamy w rozpacz.

Czas, który uczy nas, by pamiętać o „nic nowego pod słońcem", nie prowadzi do żadnego celu. Nie kończy. Nie znajduje spełnienia w mesjańskich obrazach. Nie ma wiele wspólnego z czasem opisanym w Księdze Rodzaju czy w księgach prorockich. Jest jeszcze inne, równoległe doświadczenie czasu. On nami rządzi, determinuje nasze życie. Kohelet powraca do tej wizji nieustannie. Na wszystko jest właściwy czas.

„Wszystko ma swój czas i jest pora wszystkiemu pod niebem: / Czas rodzenia i czas umierania, / czas sadzenia i czas wycinania tego, co zasadzone. / Czas zabijania i czas leczenia, / czas burzenia i czas budowania. / Czas płaczu i czas śmiechu, / czas opłakiwania i czas skakania. / Czas rozrzucania kamieni i czas zbierania kamieni, / czas obejmowania i czas oddalania się od obejmowania" (3, 1-5). Czyż nie jest to w swej prostocie i mocy przepiękny fragment poematu? Za tymi słowami nie idzie pocieszenie, bo jakże często człowiek rozumie, że jego trud okazuje się bezużyteczny: „Obróciłem się i ujrzałem, że nie powodzi się w biegu prędkim ani bohaterom na wojnie, że mędrcom brak chleba, a mądrzy nie są bogaci, a rozumni nie mają wdzięku, bo wszystkim rządzi czas i przypadek. Bo nie będzie znał człowiek nawet swego czasu..." (9, 11-12).

Nie sposób przeciwstawić się tajemniczym dekretom. Człowiek jest im całkowicie podległy. Nie sposób dyskutować ze swoim przeznaczeniem. Kto o nim stanowi? Sam Bóg. To On uczynił nie tylko dni radości i powodzenia, ale też dni żałoby i cierpienia. „Stwierdziłem, że wszystko, cokolwiek uczynił Bóg, będzie trwać na wieki, a człowiek nie może do tego dodać ani nic ująć, a Bóg uczynił to wszystko dla bojaźni Bożej" (3, 14). Dużo w naszym życiu dzieje się na opak. Często nic z naszych planów nie wychodzi. A o tym decyduje wolne działanie Boga. Jakże trudna to lekcja, wymagająca pokory i wewnętrznego spokoju. Stać na nie tylko samotnego mędrca.©

O. WACŁAW

Oszajca:
Poczęci z miłości



W tym roku w Polsce, na mocy dyspensy udzielonej przez Kongregację ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, druga niedziela Adwentu musi ustąpić miejsca uroczystości Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, ale niezupełnie. Drugie czytanie mszalne powinno się wziąć z drugiej niedzieli. Nie wiem, kto o udzielenie tej dyspensy wystąpił ani jakimi kierował się pobudkami. Pewnie ktoś z Polski. Warto się tej sprawie przyjrzeć. Uroczystość Niepokalanego Poczęcia Maryi (nie mylić z dziewiczym poczęciem przez nią Jezusa) dotyczy przecież najistotniejszych spraw związanych z naszym zaistnieniem: współżycia seksualnego, zapłodnienia, zajścia w ciążę i porodu. Jednak w odniesieniu do poczęcia Maryi i Jezusa unikamy używania tych współczesnych terminów i mówimy o „poczęciu w łonie", „noszeniu pod sercem", „byciu w stanie błogosławionym". W ten sposób jednak poczęcie Maryi i Jezusa wyprowadzamy poza sferę biologii, cielesności, zmysłowości, erotyzmu, poza sferę psychofizyczną i w ten sposób zaciemniamy nowość chrześcijańskiego podejścia do rzeczywistości.

W Liście św. Pawła czytamy, że „Chrystus stał się sługą obrzezanych dla okazania wierności Boga i potwierdzenia przez to obietnic danych ojcom oraz po to, żeby poganie za okazane sobie miłosierdzie uwielbili Boga". Tymczasem nazwa uroczystości zdaje się sugerować, że początkiem wszystkiego nie była miłość Boga, ale grzech. Często zapominaliśmy, że „stworzył Bóg ludzi na swój obraz: na obraz Boży ich stworzył. Stworzył ich jako mężczyznę i kobietę. I błogosławił im, mówiąc: »Bądźcie płodni, mnóżcie się i zaludniajcie ziemię oraz czyńcie ją sobie poddaną«". W innym miejscu czytamy: „Bóg pobłogosławił więc Noego i jego synów, mówiąc im: »Bądźcie płodni, mnóżcie się i napełniajcie ziemię«". Zapominając o tym, nie patrzymy na świat oczami Boga, ale przez ciemne okulary grzechu.

Tymczasem Jezus, Syn Maryi, mówi: „Szczęśliwi, którzy mają czyste serce, ponieważ oni będą oglądać Boga". Czyste serce jest biblijnym symbolem człowieka, który, podobnie jak Maryja, umie w dziejącej się tu i teraz rzeczywistości dostrzec obecnego i działającego Boga. Paweł radzi rzymskiej gminie: „Bóg cierpliwości i pociechy niech sprawi, abyście byli jednomyślni, zgodnie z pragnieniem Chrystusa Jezusa; abyście jednym sercem i jednym głosem chwalili Boga i Ojca naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Dlatego przyjmujcie siebie nawzajem, jak i Chrystus przyjął was na chwałę Boga". Chrystus przyjął nas do siebie w chwili chrztu i to był dzień naszego niepokalanego poczęcia. Chociaż, skoro Bóg jest Ojcem, to czy ktokolwiek w Jego oczach może być poczęty „pokalanie", a nie miłośnie? ©

Boskie Podobieństwo
i płomienna Miłość
porywają duszę ku górze
oraz prowadzą ją i wiodą
do Pierwszego Źródła,
do Jednego, które jest Ojcem
wszystkiego w niebie
i na ziemi.

MISTRZ ECKHART



Przyjmij czystą ofiarę
mowy, ofiarowaną Ci
przez wewnętrzny umysł
i serce – Ty, który jesteś
niewypowiedziany,
bezkresny, nieopisany,
którego wypowiada cisza.

CORPUS HERMETICUM



Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Podnieś wzrok



W mowie eschatologicznej Pana Jezusa (Łk 21, 5-36) słyszymy: „Będą znaki na słońcu, księżycu i gwiazdach, a na ziemi trwoga narodów bezradnych wobec huku morza i jego nawałnicy. Ludzie mdleć będą ze strachu w oczekiwaniu wydarzeń zagrażających ziemi... Wtedy ujrzą Syna Człowieczego, nadchodzącego w obłoku z mocą i wielką chwałą. A gdy się to dziać zacznie, nabierzcie ducha i podnieście głowy, ponieważ zbliża się wasze odkupienie".

Polecenie: „Nabierzcie ducha i podnieście głowy" uświadamia nam, że wszyscy możemy być jak uzdrowiona przez Jezusa kobieta. Przez 18 lat „trzymana przez szatana na uwięzi", nie mogła się wyprostować. „Córka Abrahama" niezdolna podnieść głowy i zobaczyć nieba (zob. Łk 13, 10-17). Jesteśmy jak ona, kiedy mamy wzrok wbity jedynie w ziemię. Widzimy tylko to, co „ziemskie", i mdlejemy ze strachu na myśl o wszystkim, co temu zagraża. Nie widzimy „nadchodzącego Syna Człowieczego". Widzimy dramaty i problemy; nie widzimy Jego mocy i chwały. Widzimy narastające, a czasami wręcz bezczelne zło; nie widzimy odkupienia. Widzimy, że świat zmierza do zagłady; nie widzimy, że zmierza do pełni Królestwa Bożego.

W ten sposób możemy patrzeć nawet na Kościół (Lud Boga) i jego losy w świecie. Jezus zapowiadał zburzenie Jerozolimy i jej świątyni, i to, że „będzie ona deptana przez ludy (pogan), aż się czasy ludów (pogan) wypełnią" (w. 24). Musieli być tym przerażeni; ale Paweł, mając wzrok wysoko podniesiony w górę, zobaczył ten moment w tajemniczym związku z tym, że „pełnia ludów (pogan) wejdzie [do środka Ludu Bożego], a wtedy cały Izrael będzie zbawiony" (zob. Rz 11, 25).

Świątynia jest zniszczona od dwudziestu wieków. Moc i obecność Boga trwa. Trwa w życiu Izraela. Trwa w życiu ludów, które jej doświadczają we wnętrzu Kościoła. A w nim samym obowiązuje ta sama dyscyplina. Kiedy widzimy w nim jedynie to, co doczesne, każdy dotykający tego wymiaru kryzys powoduje w nas dramatyczne reakcje. Przestajemy widzieć Pana – mocnego, miłującego i chwalebnego – który nas przeprowadza.

Św. Jan widział Go takim na Patmos, gdzie wraz z wieloma chrześcijanami został zesłany przez Domicjana. W samym oku cyklonu prześladowania, wśród sióstr i braci zabijanych katorżniczą pracą, napisał: „Oto przychodzi na obłokach, i zobaczy Go każde oko i ci, którzy Go zwalczali" (Ap 1, 7).

Wspomniany fragment mowy eschatologicznej czytany był wraz z fragmentem Księgi Daniela opowiadającym o wtrąceniu Proroka do jaskini lwów. To fragment, który starożytni chrześcijanie chętnie odnosili do siebie: przedstawienie Daniela z lwami siedzącymi przy nim było jednym z najczęstszych motywów dwóch pierwszych wieków chrześcijańskiej sztuki.

Gdyby Daniel miał wzrok przywiązany do ziemi, w jaskini, do której go wrzucono, widziałby tylko lwy. Ale że się modlił, patrzył również w górę i widział posłanego przez Boga anioła, który lwom „zamknął paszcze". Wzrok, o którym mówimy, przychodzi do nas jedynie z modlitwą. I tak też kończy się mowa Jezusa: „Czuwajcie modląc się w każdym czasie, byście mogli stanąć przed Synem Człowieczym". ©

CZYTANIA LITURGICZNE (8 – 15 XII)

Uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP: Rdz 3, 9-15.20; Ps 98; Rz 15, 4-9; Łk 1, 26-38;
Poniedziałek: Iz 35, 1-10; Ps 85; Łk 5, 17-26;
Wtorek: Iz 40, 1-11; Ps 96; Mt 18, 12-14;
Środa: Iz 40, 25-31; Ps 103; Mt 11, 28-30;
Czwartek: Iz 41, 13-20; Ps 145; Mt 11, 11-15;
Piątek: Iz 48, 17-19; Ps 1; Mt 11, 16-19;
Sobota: Syr 48, 1-4. 9-11; Ps 80; Mt 17, 10-13;
Trzecia niedziela Adwentu: Iz 35, 1-6a. 10; Ps 146; Jk 5, 7-10; Mt 11, 2-11.

KOGUTY ZSIADAJĄ Z KONI

Rezygnacja Donalda Tuska ze startu w wyborach prezydenckich może wyleczyć nas z obezwładniającej tęsknoty za politycznym mesjaszem.

KLAUS BACHMANN

W maju „Gazeta Wyborcza" urządziła galę „Człowieka Roku". Zgodnie z niepisaną zasadą polskiego życia politycznego to gazety, a nie partie polityczne albo ruchy społeczne, czczą swoich „ludzi roku". Prawie zawsze są nimi mężczyźni, obojętne, czy sponsor pochodzi z prawa, z lewa, czy ze środka sceny politycznej.

W maju takim mężczyzną roku został Donald Tusk. To duża impreza, z pompą. Moderujący ją Maciej Stuhr w pewnym momencie ogłasza komunikat: „Mam też pytanie od ochrony – czy jest na sali ktoś, kto zaparkował przed budynkiem białego konia?". Śmiech na sali. Sam laureat nie dezawuuje dowcipu, atakuje rządy PiS („to musi się skończyć"), zostawia otwartą kwestię, czy wróci do polityki krajowej. W antypisowskiej części mediów społecznościowych trwa wyścig o to, kto mocniej i dosadniej skrytykuje PO Grzegorza Schetyny i kto bardziej tęskni za powrotem Tuska. Atmosfera udzielała się nawet prawicy, kilka miesięcy wcześniej prorządowe tygodniki ostrzegały wszak przed „powrotem koszmaru".

Nigdy nie było żadnego białego konia. I nie będzie. Ani rycerza, który ratuje demokrację i opozycję, ani powrotu koszmaru z Brukseli. Ale sama tęsknota bardzo dużo mówi – jednak akurat nie o Tusku, lecz o jego zwolennikach, przeciwnikach i o polskim systemie politycznym.

Obywatele czy poddani?

Wyobrażenie silnego, mądrego, nieprzekupnego wojownika, który jest w stanie odwrócić bieg historii i ratować swój lud przed katastrofą, jest starsze od demokracji i starsze nawet od państwa narodowego. Jest to archetyp podobny do ojca narodu, założyciela plemienia, mądrego, sprawiedliwego sędziego. To często ostatnia nadzieja grup, które znalazły się w obliczu upadku, nie widząc już innych szans na ratunek. Od wczesnego średniowiecza to wyobrażenie o świeckim mesjaszu służyło władcom za podstawę do tego, aby się kreować na mężów stanu.

Nawet w krajach demokratycznych społeczeństwa przypisują swoim władcom odpowiedzialność za klęski i sukcesy, zupełnie niezależnie od tego, czy spowodowały je polityka danego rządu, zmiany na arenie międzynarodowej lub w gospodarce danego regionu.

Politycy mają dziś mniej władzy, mniej wpływu na otaczający ich świat, są bardziej uwikłani w rozmaite zależności i kontrolowani przez instytucje niż kiedykolwiek wcześniej – ale i tak chcemy wierzyć, że to od ich decyzji albo nawet charakteru zależy nasz los.

Ujawniamy to pragnienie, kiedy mówimy, że jakiś szef rządu „obniżył poziom bezrobocia", że „Boris Johnson (albo przed nim Theresa May) wyprowadzi swój kraj z UE", że to albo Lech Wałęsa, albo Michaił Gorbaczow „obalił mur berliński". Niektórzy politycy sami wierzą we własną wszechmoc, jak Donald Trump, kiedy grozi tureckiemu prezydentowi na Twitterze: „zdemoluję twoją gospodarkę".

Dziś większość decyzji, jakie zapadają na szczeblu rządów, to decyzje zbiorowe. Ich ramy wyznaczają prawo, grupy nacisku, doradcy, presje zagraniczne. Współczesny polityk bardziej przypomina Guliwera uwiązanego przez Liliputów i właśnie dlatego, że jest tak uwiązany i bezsilny, musi uchodzić za giganta, aby nie zawieść zaufania zwolenników. Tylko dlaczego my, obywatele, którzy domagamy się współrządzenia, konsultacji, uczestnictwa w decyzji i powołujemy się na społeczeństwo obywatelskie, potrzebujemy jeszcze tej iluzji, że jedna silna jednostka – która w dodatku w przeszłości niemal zawsze okazywała się mężczyzną – może nas uratować?

Dlaczego nie mamy zaufania do mądrości zbiorowych decyzji, kolegialnych gremiów albo po prostu do tego, że jeśli politycy robią to, czego się domagamy, i słuchają nas, to wychodzą z tego lepsze decyzje niż wtedy, kiedy jeden mąż stanu za nas decyduje? Zgodnie z ludową mądrością powinien koniecznie robić to „stanowczo, twardo i nieustępliwie". Nikt nie widzi tu sprzeczności? ↦

Donald Tusk prywatnie, Sopot, grudzień 2017 r.

MARCIN GADOMSKI SE / EAST NEWS



↦ Społeczeństwo obywatelskie, nowoczesna, partycypacyjna demokracja, świadomy, odpowiedzialny obywatel nie potrzebują ani „mężów stanu", ani ich kobiecych odpowiedników (na które polski język nie ma żadnego określenia), ale i tak wszyscy tęsknią za rycerzem na białym koniu jak w czasach, kiedy niepiśmienni rolnicy wierzyli jeszcze w to, że wszechmocny władca gwarantuje im obfite żniwa, dużo deszczu i zaprowadzi ich do zielonych pastwisk.

Ten paradoks nie jest polską specyfiką. Wiara w ratunek ze strony białego rycerza spowodowała w Belgii daleko idące zmiany w elitach politycznych po kryzysie zaufania, które w latach 90. wywołała afera Dutroux. Wtedy Belgia była już bardzo zdecentralizowaną demokracją z żywotną sferą obywatelską, niezliczoną liczbą inicjatyw oddolnych – ale i tak bardzo wielu Belgów było wtedy przekonanych, że kryzys państwa można przezwyciężyć tylko za pomocą nowych twarzy w polityce (choć takie nowe twarze siłą rzeczy nie mają prawie żadnego doświadczenia w rządzeniu).

Polska jest jednak wyjątkowa: tylko tu upatrzony rycerz odmówił wjazdu do oblężonego miasta, choć tylu widziało jego konia parkującego pod siedzibą Agory. Nie wiem, czy postąpił dobrze dla swojej kariery – ale na pewno jego decyzja przysłuży się nie tylko krajowi (z tym pewnie nawet jego najzagorzalsi przeciwnicy się zgodzą), ale też opozycji.

Koguty lubią rzeź

Tusk musiałby w razie wygranej uwikłać się w niszczący, frustrujący czteroletni konflikt z nowym rządem, jego większością parlamentarną i Trybunałem Konstytucyjnym. Ten konflikt zasłoniłby wszystkie dające się już teraz przewidzieć polityczne klęski i tarapaty PiS: pustoszenie budżetu transferami socjalnymi w warunkach spowalniającej gospodarki, upadek służby zdrowia z powodu niedofinansowania, odpływ kadr za granicę, niewypłacalność ZUS w wyniku błędnych decyzji dotyczących długości i wysokości emerytur, odpływ inwestycji zagranicznych z powodu podwyżek płac (rezultat podniesienia płacy minimalnej w warunkach braku rąk do pracy i błędnej polityki imigracyjnej). Prezydent i opozycja, które byłyby w stanie skutecznie blokować rząd i większość parlamentarną, byłyby współodpowiedzialne za ten kryzys. Albo blokowałyby decyzje rządu mające te problemy rozwiązać, albo by je popierały.

To chłodny, wręcz cyniczny rachunek. Jeśli jest on prawidłowy, za cztery lata to PiS będzie potrzebować swego „rycerza na białym koniu", a nie opozycja. Ale decyzja Tuska ma też ciekawy aspekt genderowy, i to nie tylko dlatego, że jego odmowa otwiera – jak się wydaje – drzwi dla kandydatury Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Urząd prezydenta sprawowali dotąd sami mężczyźni. Szefami rządów były tylko dwie kobiety (Beata Szydło i Hanna Suchocka), żadna z nich nie rządziła przez całą kadencję.

Na obu urzędach dominowali samcy alfa o atawistycznych skłonnościach, którzy nie znoszą równych sobie obok siebie, zwyczajni przywódcy stada. Jedni przed kamerą machali bronią (Leszek Miller) albo nawet sprawnie strzelali do zwierząt (Bronisław Komorowski), inni kreowali się na *womanizer* (Aleksander Kwaśniewski, Waldemar Pawlak, Leszek Miller). Żaden z nich, nawet Lech Kaczyński, który był chyba najmniej macho w tym gronie, nie tolerował nikogo silnego obok siebie, jeśli ten nie był jego bratem. Dlatego kampanie prezydenckie zawsze miały tak dużo z walk kogutów.

Ten model uprawiania polityki wolno, ale przechodzi do lamusa, czego ostatecznym dowodem jest wściekłość, z którą prorządowe media go bronią przed wpływami z zagranicy, ubolewając nad „brakiem męskości" polityków w Europie Zachodniej i rzekomo zniewieściałą klasą polityczną tam, gdzie jest coraz więcej kobiet na wysokich stanowiskach, gdzie politycy w mediach mówią o swoich dylematach i uczuciach, zamiast twardo i stanowczo bronić swoich racji.

Pojedynek (jeszcze jeden typowo męski sposób rozwiązywania konfliktów) między Donaldem Tuskiem i Andrzejem Dudą przedłużyłby żywot takiej „twardej" kampanii prezydenckiej o przynajmniej dalsze cztery lata, a być może nawet o osiem. Część opozycji obecnie wiąże z kandydaturą Kidawy-Błońskiej nadzieję, że PiS nie poradzi sobie z kandydatką, bo trudno w walce kogutów pokonać kogoś, kto kogutem nie jest.

Duda udaje

Inna sprawa, skąd PO czerpie pewność, że będzie w stanie sama prowadzić taką kampanię. Nikt tego w Polsce jeszcze nie robił (pomijając zakończoną klęską próbę Hanny Gronkiewicz-Waltz w 1995 r.). Ale paradoksalnie Kidawa-Błońska odesłałaby ten tradycyjny model kampanii do lamusa nawet wtedy, gdyby przegrała z Andrzejem Dudą.

Duda jest niemal perfekcyjnym uosobieniem anty-macho wbrew własnej woli. Na początku prezydentury chciał być twardym, stanowczym mężem stanu, zwycięsko wychodzącym z każdej walki. Zamiast tego publicznie plotkował z nastolatkami na Twitterze, wahał się, raz wyciągał rękę do opozycji, innym razem ją beształ. A na arenie międzynarodowej – gdzie inni macho na tym stanowisku postępowali z determinacją słonia w składzie porcelany – był niepewny, przeżarty kompleksami i zdezorientowany, a jednocześnie jakby zapatrzony w siebie. Nadal około połowy wyborców go popiera – ale teraz już z zupełnie innych powodów niż na początku kadencji. Nawet oni widzą: rycerzem to on nie jest. Trudno nim być, jeśli się ciągle spada z konia, a jak już się jedzie, to siodło poluzowane, rumak zaś robi, co chce.

Andrzej Duda mógłby z tej słabości zrobić cnotę. Wielu polityków zagranicznych potrafiło to przekuć w swój atut. Zamiast udawać bohaterów i mężów stanu, mieszali się z tłumem, rezygnowali z limuzyn i korzystali z komunikacji publicznej (jak prezydent Austrii), dojeżdżali do pracy na rowerze (jak wielu premierów Holandii), wysyłając sygnał do wyborców, że nie wyobcowali się spośród prostych ludzi. Wątpię, czy takie pomysły podobałyby się Dudzie. Pozbawiłyby go przyjemności, jakie daje prezydentura, i mógłby nawet zrazić tę część jego elektoratu, która wciąż w nim widzi męża opatrznościowego i oczekuje, aby się wyróżnił z tłumu, nawet jeśli to wypada czasami śmiesznie.

Dlatego jego ewentualna druga kadencja byłaby kopią pierwszej: najbardziej bezradny prezydent od 1990 r. nadal będzie udawał, że wszystko idzie mu świetnie. Zagranica będzie kręcić głową, wielkomiejskie elity w Polsce będą się go wstydzić, a to, czy jego elektorat stopnieje, w drugiej kadencji nie będzie miało znaczenia. Ale dzięki temu pojawia się szansa, aby raz na zawsze wyleczyć wyborców z tęsknoty za politycznymi mesjaszami. To będzie nie tylko szok dla PiS, ale i dla większości partii opozycyjnych.

PiS przyspiesza przemiany

Politycy kreujący się na mężów opatrznościowych, którzy każdą wewnętrzną opozycję w partii wycinają w pień, nie biorą się znikąd. To odpowiedź na tęsknoty elektoratu i członków partii – im bardziej ci ostatni są autorytarni, tym bardziej zależy im na przywódcy, na którego mogą przerzucić swoje fantazje o silnym państwie, które kompensują im poczucie własnej kruchości.

Autorytarne postawy nie ograniczają się w Polsce do wyborców PiS, dlatego też na czele każdej partii opozycyjnej stał i stoi „silny przywódca", to znaczy właśnie „męski polityk i samiec alfa". Dzieje się tak nawet wtedy, kiedy ta partia skupia wokół siebie antyautorytarne środowiska, obiecuje mniejszościom i kobietom emancypację oraz promuje wolność i indywidualizm. Na czele Ruchu Palikota stał niekwestionowany lider, wokół którego partia funkcjonowała w podobny sposób, w jaki PiS funkcjonuje dzięki Jarosławowi Kaczyńskiemu. Tak też działało SLD. Nawet emancypacyjna, antyautorytarna i progresywna partia Razem szybko wyłoniła swojego samca alfa.

Czy możemy sobie wyobrazić skuteczną, sprawnie funkcjonującą polską partię, na czele której stoi duumwirat (kobieta i mężczyzna), który nie pogrąża się we wzajemnych walkach o przywództwo? W ten sposób od wielu lat funkcjonują niemieccy Zieloni. Model okazał się tak modny i skuteczny (Zieloni w sondażach już przewyższają chadecję i muszą się zastanawiać nad kandydatem na kanclerza), że socjaldemokratyczna SPD próbuje go od kilku miesięcy wybrać nowe, dwupłciowe kierownictwo. Czy można sobie wyobrazić, że lider partii w reakcji na krytykę nie odpala retorycznych rac, lecz krytyków ignoruje albo dokooptowuje do kierownictwa (przypadek Angeli Merkel)? Czy można sobie wyobrazić polskiego polityka, który przyznaje się do bezradności, a i mimo to jest wybierany i lubiany?

Nie odpowiada to ani zdominowanej przez mężczyzn scenie politycznej, ani wyborcom. Nieco inaczej to wygląda z wyborczyniami. Do 2015 r. zachowania wyborcze kobiet i mężczyzn niewiele się różniły, lecz teraz Polska wchodzi w ślady krajów, które już wcześniej miały silne prawicowo-populistyczne partie, przyciągające o wiele więcej mężczyzn niż kobiet. Poparcie dla nich ze strony mężczyzn to często rodzaj spóźnionego odwetu za rewolucję obyczajową lat 60., i wyraz nostalgii za rzekomo dobrymi, bo patriarchalnymi stosunkami w rodzinach. Nawet starsze kobiety już za tym światem nie tęsknią, cenią sobie życie bez przemocy domowej, z własną pracą, możliwością rozwodu i decydowania o własnym ciele. Idzie nowe, nawet jeśli na prowincji nosi spódnicę, a nie spodnie.

Nawet na czele partii opozycyjnych stoją „męscy politycy" i samce alfa. **Dzieje się tak nawet wtedy, gdy partia skupia wokół siebie środowiska antyautorytarne.**

I tu mamy kolejny paradoks: nic tak nie przyspieszyło pędu ku obyczajowej nowoczesności jak cztery lata rządów PiS. Dzięki nieustannej walce ideologicznej, próbom zaostrzenia ustawy aborcyjnej, dziwacznym wypowiedziom o dyktaturze rowerzystów i wegetarian oraz walce z mitycznym „genderem" – mamy teraz rzeszę kobiet przyznających się do feminizmu, które lata temu odrzucały to określenie jako nieadekwatny dla polskich warunków wynalazek Zachodu.

Tak jak kolejna kadencja Andrzeja Dudy może położyć kres szowinistycznym walkom kogutów w polityce, tak rządy PiS mogą wystawić hołubiony przez prorządowe media kult „prawdziwej męskości" na pośmiewisko. Wtedy być może i w Polsce zobaczymy kolejną partię z kolektywnym, równoprawnym kierownictwem obojga płci – na razie szlak przecierają polscy Zieloni.

Zmarnowany potencjał

Ten nieco zakurzony model politycznego przywództwa, który polega na niepodzielnej władzy silnego (ale często bezradnego) wodza, kiedyś dominował wszędzie w Europie do tego stopnia, że kobiety, które próbowały robić karierę w polityce, wchodziły w ślady mężczyzn i prowadziły bardziej „męską politykę" od nich. Przypominały o tym ostatnie kampanie prezydenckie we Francji. Odkąd Frontowi Narodowemu nie przewodzi już były spadochroniarz Jean-Marie Le Pen, jego córka prowadzi kampanię tak, jakby chciała, aby jej zwolennicy zapomnieli, że jest kobietą.

Ale we francuskim systemie politycznym prezydent ma realną władzę, mianuje premiera, może rozwiązać parlament i po wyborach nowego prezydenta zmienia się cały system partyjny. Polski prezydent ma ułamek jego władzy, ale pochodzi z wyborów bezpośrednich, więc ma mandat, któremu nie odpowiadają konstytucyjne uprawnienia. To recepta na frustrację i konflikty z rządem, ale nie tylko.

Tak jak we Francji i w Stanach, prezydentem w Polsce nie zostaje ten, kto najlepiej potrafi przeforsować interesy kraju za granicą, lecz wybraniec narodu, który nie musi mieć doświadczenia w dyplomacji. W Niemczech i w innych krajach wybierających prezydenta w wyborach pośrednich zostaje nim przeważnie polityk z długim stażem w polityce zagranicznej, nigdy trybun ludu.

Gdyby Tusk kandydował i wygrał, miałby szansę zostać pierwszym polskim prezydentem, który od pierwszego dnia urzędowania jest ze wszystkimi najważniejszymi politykami Europy na ty, ma sieć kontaktów, których inny polski prezydent nie miałby nawet po dwóch kadencjach, a także znajomość tajników polityki międzynarodowej, o której niejeden prezydent USA może tylko pomarzyć. Charakter i temperament nie mają już tyle znaczenia, co kiedyś, i mniejsze, niż polski wyborca sobie wyobraża, ale w erze smartfonów ważniejsze niż kiedykolwiek staje się to, czy po drugiej stronie ktoś odbiera – a jeśli tak, to kto: prezydent Trump, jego asystent czy jego sekretarka.

Prezydent Duda potrafił lecieć do USA i nie spotkać tam żadnego polityka szczebla federalnego, minister Waszczykowski potrafił jechać na Ukrainę i tam spotkać jedynie przedstawicieli mniejszości polskiej i konsulatu we Lwowie. To by się Tuskowi na pewno nie zdarzyło, nawet gdyby parlamentarna większość PiS uchwaliła zaostrzoną ustawę o IPN jeszcze raz i z przytupem. Ale Tusk nie jest pierwszym politykiem, którego potencjału następcy nie potrafili wykorzystać dla dobra kraju. Lech Wałęsa po swojej kadencji wrócił do pracy w Stoczni Gdańskiej. Teraz Donald Tusk emigruje na stałe do Brukseli. Jego na to stać – ale czy Polskę też?

© KLAUS BACHMANN



KATARZYNA ŁUKASIEWICZ / EXTINCTION REBELLION POLSKA

Jedna z akcji ruchu Extinction Rebellion, warszawskie metro, 28 września 2019 r.

Deklaracja buntu

ADAM ROBIŃSKI

Jeśli chcemy zmusić władzę do ratowania planety, nie ma innego sposobu niż zakłócenie normalnego porządku rzeczy – przekonują działacze ruchu Extinction Rebellion w Polsce.

Wczesny wieczór, warszawski plac Zbawiciela. Ogródki knajp okalających rondo są pełne. Gwar rozmów, dzwonki tramwajów, elektryczne hulajnogi slalomem wymijające pieszych.

Kilkanaście osób stoi na chodniku od strony ulicy Marszałkowskiej. Kiedy na jezdni na chwilę robi się pusto, wchodzą na pasy i obracają się frontem do nadjeżdżających aut. Pięć par rąk rozwija wielki zielony banner, kilka innych stoi obok. „Bunt przeciw wymieraniu" – głosi napis. Z lewej widać charakterystyczny logotyp w kształcie klepsydry. Jest też śpiew. „Siła w ręce ludzi" – intonuje blokada na dwa głosy, podczas gdy kilka innych osób wędruje między zatrzymanymi samochodami. Nachylają się w stronę kierowców, coś mówią, rozdają ulotki. Skonsternowani przechodnie wyciągają telefony.

Nikt nie krzyczy, nikt nie trąbi, nikt się nie awanturuje. Mija minuta, akurat tyle, by piosenka wybrzmiała dwa razy. Zaraz potem blokada znika tak szybko, jak się pojawiła.

Blokada świata

– Chcesz nas zobaczyć w akcji? Przyjdź o wpół do siódmej na plac Zbawiciela – usłyszałem tego samego dnia rano od Jadwigi Klaty, osiemnastolatki ze stołecznego liceum im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

W czasie, gdy rozmawialiśmy, w Londynie policja likwidowała właśnie obozowisko od ponad tygodnia okupujące Trafalgar Square. Ktoś blokował most Tower, ktoś oblał czerwoną farbą siedzibę ministerstwa skarbu w Westminsterze, ktoś przyczepił się do wagonu metra, uniemożliwiając odjazd, ktoś próbował zakłócić pracę lotniska w City.

W Berlinie zablokowano rondo przy Tiergarten, w Amsterdamie jedną z głównych alej przy Rijksmuseum. Dziennik „The Guardian" dzień po dniu wyliczał kolejne przypadki naruszeń porządku w – jak wyliczono – 60 miastach na sześciu kontynentach, m.in. Nowym Jorku, Buenos Aires, Mumbaju. Aresztowano tysiące osób, w tym aktorkę Jane Fondę i belgijską księżniczkę Esmeraldę Dereth. W Londynie po dziewięciu dniach protestów za kratkami było już ponad 1600 osób, a 130 usłyszało zarzuty zakłócania porządku.

Trwał drugi tydzień buntu, który ogłosił międzynarodowy ruch Extinction Rebellion (w skrócie XR) z 485 oddziałami na całym świecie, w tym w 12 miastach w Polsce.

Fantazje na mapach

Ruch ma trzy postulaty. Domaga się od polityków, szkoły i mediów rzetelnego informowania o zagrożeniu katastrofą klimatyczną, odejścia od paliw kopalnych do 2025 r. oraz transformacji opartej na sprawiedliwości społecznej. Nad Wisłę zawitał na początku tego roku, po grudniowym szczycie klimatycznym COP24 w Katowicach.

– W Polsce jest nas prawie dziewięćset osób – mówi „Tygodnikowi" Jadwiga Klata. – Nie mamy żadnej listy członków, poza tym ciągle przychodzi ktoś nowy. Kiedy zgłasza się kilka osób z innego miasta, komunikujemy je ze sobą. Dopiero zaczynamy działać z bezprzemocowym nieposłuszeństwem obywatelskim. Takie protesty nie mają u nas długiej tradycji.

Klata jest na bieżąco z tym, jak do spraw klimatu odnosi się szkoła. Wspomina próbne testy maturalne z mapkami stref upraw w Europie. Gdzie się uprawia oliwki, gdzie winogrona, gdzie ziemniaki: – Jedna z nich to był 1975 rok, więc wszystko było po staremu, czyli winogrona ledwie zahaczały o południe Polski. Ale druga mapa, podpisana „2075", sugerowała, że staniemy się rolniczym rajem. Podniosłam rękę i zapytałam, skąd są te ćwiczenia, bo są zupełnie niezgodne z naukowym konsensusem. Przecież Polska będzie krajem nieustannie zagrożonym suszami i anomaliami pogodowymi, więc jakie winogrona, jakie oliwki? Dowiedziałam się, że to arkusze z Centralnej Komisji Egzaminacyjnej.

Kiedy z powodu udziału w akcjach przez tydzień nie było jej w szkole, na swoje usprawiedliwienie miała tylko „Bo ratowałam świat". Wychowawczyni przyjęła to ze zrozumieniem.

Marsze? To za mało

Naukowiec Tomasz Skóra, rocznik 1993, wcześniej w żadnych manifestacjach czy protestach: – Nie było jednego impulsu, który pchnąłby mnie w stronę aktywizmu. Na pewno duże wrażenie zrobiła na mnie książka Naomi Klein „To zmienia

wszystko. Kapitalizm kontra klimat.Pokazała mi, że problemu katastrofy klimatycznej nie da się rozwiązać budując jakiś wihajster, bo nie da się nieustannie funkcjonować w sposób, w jaki funkcjonuje nasza cywilizacja – na planecie o ograniczonych zasobach. Zdałem sobie sprawę, że to jest kwestia nie tylko naukowa, ale i polityczna. A potem usłyszałem o XR. Przekonała mnie ich strategia.

Czymś na kształt manifestu Extinction Rebellion jest książeczka „Common Sense for the 21st Century" („Zdrowy rozsądek na XXI wiek") autorstwa brytyjskiego aktywisty Rogera Hallama – wzorowana na XVIII-wiecznym manifeście Thomasa Paine'a, jednego z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, którego „Zdrowy rozsądek" stał się inspiracją do wypowiedzenia podległości Brytyjczykom. Hallam przekonuje, że 30 lat klimatycznego aktywizmu spełzło na niczym.

Tomasz Skóra: – Organizowano setki marszy, petycji, pikiet. Ale emisje gazów cieplarnianych spadły tylko w czasie kryzysu gospodarczego w 2008 r. Potrzeba czegoś innego. Z badań socjologicznych Eriki Chenoweth i Marii J. Stephan wynika, że obywatelskie nieposłuszeństwo bez przemocy jest najskuteczniejszą formą wprowadzenia trwałej zmiany społecznej. Rewolta zostawiłaby całą masę ludzi poszkodowanych, dążących do powrotu do starego porządku.

Obowiązek łamania prawa

Wśród działaczy ruchów obywatelskiego oporu krąży hipoteza, że zaangażowanie 3,5 proc. społeczeństwa w bezkrwawe protesty jest gwarancją ich powodzenia. Jej zwolennicy często przywołują przykład upadku reżimu filipińskiego dyktatora Marcosa w 1986 r. czy gruzińską rewolucję róż z 2003 r. Próg 3,5 proc. społecznego poparcia regularnie przewija się w materiałach dotyczących rebelii klimatycznej.

– Spotkaliśmy się w kilka osób z prof. Moniką Płatek, która tłumaczyła nam, czym jest obywatelskie nieposłuszeństwo – opowiada Skóra. – Jej odpowiedzią na pytanie „Czy mamy prawo łamać prawo?" było, że nikt nie ma do tego prawa, ale czasami jest to nasz obowiązek. I to mówi profesorka prawa! Dotyczy to sytuacji bezradności. Kluczem jest zaburzenie. Nie organizujemy marszy, tylko wciskamy kij w szprychy systemu, żeby na chwilę zatrzymać jego działanie. Bo kiedy w życiu na chwilę przystaniemy, możemy trzeźwiej ocenić sytuację.

Ruch nie ma hierarchii. Jest za to struktura: każdy, kto trafia na spotkanie wprowadzające, przechodzi szkolenie. Może dotyczyć nieposłuszeństwa obywatelskiego i tego, jak się zachować w przypadku aresztowania; deeskalacji napięć w sytuacjach konfliktowych; komunikacji bez przemocy; lub współpracy z mediami. Jest też drugi poziom struktury. To grupy koleżeńskie, które tworzą się wokół konkretnych akcji i projektów. Na przykład ktoś wymyśla, żeby wdrapać się na drzewo i obwiesić je flagami. Proponuje to znajomym, a ci to robią. To sposób na działanie w realiach bez hierarchii. Im mniejsza grupa ludzi, tym łatwiej o decyzję.

Najgłośniejszym protestem polskich oddziałów XR była dotychczas parogodzinna blokada warszawskiego ronda de Gaulle'a w ostatnich dniach września. Wzięło w niej udział sto osób, w większości uczestników Marszu dla Ziemi, który wcześniej przeszedł ulicami miasta. Aktywiści wysypali na jezdnię trociny, kilka osób przykuło się do ustawionej na pasie drewnianej konstrukcji. Ruch w Alejach. Jerozolimskich i na Nowym Świecie do późnych godzin wieczornych blokowały kolejne osoby. Policja wystawiła kilkadziesiąt mandatów, nikt nie został aresztowany. Pełno było za to wyzwisk ze strony kierowców.

Jadwiga Klata: – Wcale nie chcemy wywoływać napięć, blokować ludzi. Ale jeśli chcemy zmienić system i wymusić na władzach inne postępowanie, to nie widzimy innego sposobu niż zakłócenie normalnego porządku rzeczy. Nikogo osobiście nie winimy za obecny stan. To nie jest wina ludzi, tylko systemu, w którym wzrośli. Walczymy nie z władzą, tylko z jej biernością. Będziemy zaburzać działanie systemu dopóty, dopóki nie poczujemy się bezpiecznie. A dziś nie czujemy się bezpiecznie.

Akcje Extinction Rebellion w Polsce pozostają na razie niezauważalną dla większości egzotyką. Często zbywaną uśmiechem politowania. Ale patrząc na skalę protestów na Zachodzie, nie można wykluczyć, że również mieszkańcy największych polskich miast będą się musieli w przyszłości przyzwyczaić do funkcjonowania z buntem na progu. Buntem, który korkuje ulice i prowokuje społeczne niepokoje. Bo nawet jeśli na sztandarach ma się wypisany brak przemocy, to często pojawia się ona w sposób niezamierzony.

Ruch może stać się więc nie tylko wyzwaniem dla służb miejskich, ale dla wszystkich obywateli, włącznie z tymi, którzy protestom po cichu kibicują. I dla tych, którym zamieszczone na stronie internetowej XR „najszczersze ubolewanie wobec wszystkich osób, które czują się poszkodowane w wyniku naszych działań" nie wystarczy, by zjednać ich sympatię. ©

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Danuta Degórska-Czubek

ukochana Mamusia, Babcia i Prababcia, Siostra i Ciocia

odeszła od nas nagle i niespodziewanie 25 listopada 2019 roku.

Absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie, wieloletni wykładowca Instytutu Liturgicznego oraz dyrygentka Chóru „Psalmodia" Papieskiej Akademii Teologicznej, założycielka i dyrygentka Międzyparafialnego Chóru „Amicus" w Krakowie. Odznaczona Złotym Medalem św. Jana Pawła II za zasługi dla Archidiecezji Krakowskiej.

Szła przez życie skromnie, pełna miłości, życzliwości i troski o swoich bliskich, przyjaciół i uczniów.

Została pochowana 2 grudnia 2019 roku na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Pogrążona w smutku

RODZINA

Demokracja w budowie

MIKOŁAJ LEWICKI, SOCJOLOG:

Wzrost frekwencji w ostatnich wyborach nie jest przypadkiem. To powrót przekonania, że mamy na coś wpływ. Coś od nas zależy.

RAFAŁ WOŚ: Polska po czterech latach rządów PiS – jaki to kraj?

MIKOŁAJ LEWICKI: To demokracja, do której powróciła polityczność.

Polityczność – czyli co?

Czyli rodzaj przekonania, że polityka jest ważną sprawą, a nie tylko czczym teatrem albo nieprzejrzystym rytuałem. Dotyczy mnie osobiście. Dla mnie, socjologa, to ważna sprawa, która pojawia się co i raz w badaniach tego, czym się różnimy i jak integrujemy. I mogę powiedzieć wprost: tu zaszła ogromna zmiana.

Skąd to wiadomo?

Z wielu przesłanek. Niedawno razem z Maciejem Gdulą, z którym pracowałem nad koncepcją badań, i zespołem badawczym skupionym pod egidą Instytutu Studiów Zaawansowanych przeprowadziliśmy badanie pomyślane jako kontynuacja głośnego „Miastka". Chodziło o pogłębienie jednego z wątków tego badania: jak działa sfera publiczna.

Przypomnijmy tylko, że „Miastko" to był raport zespołu pod kierunkiem Macieja Gduli z badań w niewielkim mieście województwa mazowieckiego. Celem było zrozumienie motywacji oraz mechanizmów decyzji politycznych podejmowanych przez Polaków.

Nam chodziło o zbadanie relacji między klasowością a sposobem korzystania z mediów. Liczyliśmy, że lepiej zrozumiemy dzięki temu stosunek Polaków do polityki. Szukaliśmy rozmówców w czterech miejscach: w dużym oraz dwóch mniejszych miastach i jednym miasteczku. Niektóre z nich gremialnie głosowały na PiS, inne – przeciw. Do badania dobieraliśmy ludzi z trzech klas: wyższej, średniej i ludowej. Wyznacznikami przynależności klasowej były czynniki socjoekonomiczne: dochód, praca, miejsce zamieszkania, ale przede wszystkim style życia oraz kapitały społeczny i kulturowy.

I co wyszło?

Aby pokazać dynamikę zmiany, musimy cofnąć się do innych badań sprzed mniej więcej dekady – a więc jeszcze sprzed PiS. Był to cykl rozmów z decydentami polskich mediów informacyjnych pt. „Popękane lustro" (tekst był rozdziałem w książce z 2013 r. „Gabinet luster. O kształtowaniu samowiedzy Polaków w dyskursie publicznym" pod red. Anny Gizy). Zarysowały się tam trzy typy podejścia do mediów, które dominują we współczesnej Polsce.

Jakie to typy?

Pierwszy nazwałem „zmierzającym do obiektywizmu". Jego zwolennicy mówili mniej więcej tak: osiągnięcie obiektywnego przekazu staje się coraz trudniejsze, bo świat jest coraz bardziej skomplikowany. Na dodatek istnieje wiele tematów – klimat, energetyka, zdrowie – gdzie trudno uzyskać dostęp do wiedzy pewnej i zachodzi obawa, że media mogą być łatwo wykorzystane przez jakąś grupę interesów. Ale mimo tych wszystkich trudności i wątpliwości „zmierzający do obiektywizmu" powiadali, że próbują być rzetelni.

Stara szkoła.

W pewnym sensie tak. Już wtedy rywalizowało z nią jednak nowe podejście. Polegało na modnym wówczas przekonaniu o mediach jako instytucji, której celem jest „opowiadanie historii". Inaczej mówiąc „snucie narracji" albo z angielska „*storytelling*". Rzeczywistość stała się rozdrobniona, lepiej opowiedzieć historię jakiegoś bohatera czy konkretną sytuację wybranej grupie, tak zwanemu targetowi. Z całą świadomością, że to nie odda pełni świata. Odbiorca i tak skacze po kanałach. Trzeba go przyciągnąć emocjami, skandalem, aferą lub interwencją. Wydawało mi się wtedy, że pomiędzy tą nową a tamtą starą szkołą rozegra się walka o przyszłość mediów.

I kto wygrał?

Ani jedni, ani drudzy. Gdy patrzę na wyniki naszych najnowszych badań, wygląda na to, że wygrał ktoś trzeci. To typ mediów, które bym nazwał agonistycznymi.

Brzmi strasznie.

Agonistyczny znaczy nastawiony na walkę i rywalizację. Ale w polityce konflikt niekoniecznie musi być czymś złym. Przeciwnie, to konflikt przywraca demokracji jej głęboki sens. Pozwala na artykulację i porządkowanie interesów dotąd pozostających w ukryciu. Ścierające się interesy doprowadzają do kompromisów i bardziej uniwersalnych reguł, które nikomu do końca nie pasują, ale na które wszyscy są skłonni się zgodzić.

Media agonistyczne nie polegają oczywiście na uprawianiu konfliktu dla samego konfliktu. Takie media są przekonane, że robią dobrą robotę. Skupiają się przecież na tym, by odkrywać prawdę, która jest (była) od dawna zafałszowana w mainstreamie, co wynika zazwyczaj z niejasnej sieci powiązań oraz interesów silnych i wpływowych.

Tak powinna działać otwarta na nowości demokracja. Brak konfliktu znamionuje przecież pozamykane reżimy antydemokratyczne.

Agonizm przywraca demokracji jej wigor. Media agonistyczne mówią: „były sprawy, które miały nie ujrzeć światła dziennego, ale my je naświetlamy". Oczywiście jak każde poszukiwanie prawdy, tak i to ma swoje ograniczenia. Widząc w sobie samych „rycerzy jasności", możemy mieć problem z weryfikacją własnych źródeł. Z dostrzeżeniem ich uwikłania. Demaskatorzy okazują się z czasem także nowym układem. *Per saldo* trudno jednak zaprzeczyć, że odruch, który stoi za agonizmem, jest demokratyczny.

W badaniu sprzed dekady agonistyczne były głównie media prawicowe, przeżywające właśnie swój najlepszy czas.

Tak to mniej więcej się odbywało. Ważnym rysem „pisowskiej rewolucji" ostatnich lat było to, że towarzyszył jej



KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

Mikołaj Lewicki, Warszawa, 2013 r.

bunt wobec mediów głównego nurtu. Odrzucenie ich roszczenia do bycia wzorcem obiektywizmu. W tym sensie zwolennicy PiS jako pierwsi przeszli na pozycje agonistyczne. Prawicowe media rozwijały się przede wszystkim w internecie.

Ale patrząc na dzisiejszą dynamikę mediów, wydaje się, że media i wyborcy liberalni lub też antypisowscy próbują ten model skopiować. Akcentując przy tym poczucie moralnej racji, działania „w interesie publicznym".

Dokładnie to się w ostatnich latach zdarzyło. To jest nawet szersze niż antypisizm. W naszym badaniu ten proces dobrze obrazuje wyraźne przechodzenie klasy średniej i wyższej na agonizm pod wpływem coraz silniejszej emocji antyfaszystowskiej. Towarzyszy temu argumentacja w stylu: „prawdziwym problemem jest narastająca atmosfera przemocy i trzeba się tej przemocy aktywnie przeciwstawić; tu nie można już być biernym albo tylko tłumaczyć – trzeba działać, teraz". Antypis odkrył agonistykę. I zaczyna mu się ona bardzo podobać.

Czy to nie jest niebezpieczne?

Oczywiście nie wiemy, co się wydarzy. Być może nie mamy czasu na powolne osiąganie konsensusu. Uważam, że co do zasady nie dzieje się nic złego. Akurat w Polsce brakowało bardzo długo politycznego konfliktu opartego na realnych interesach. Zastąpiły go tożsamości, które organizowały spór polityczny. W tym sensie zwycięstwo PiS w roku 2015 i kilka najważniejszych posunięć, takich jak 500 plus, stworzyło warunki do ponazywania wielu konfliktów, które i tak istniały w polskim społeczeństwie.

Jak w praktyce wygląda to porządkowanie interesów?

Ładnie można to pokazać na przykładzie 500 plus. Pod wpływem pojawienia się silnego aktora – w tym przypadku aktywnego państwa – klasa średnia po raz pierwszy od 1989 r. spiera się na poważnie o redystrybucję narodowego bogactwa. Mamy oczywiście wielu ludzi stojących na gruncie tradycyjnych wartości neoliberalnych, ale słychać też konkurencyjny przekaz, zyskujący coraz większe uznanie. Wielu ludzi z klasy średniej powiada bowiem: „wreszcie państwo mnie zobaczyło i poważnie potraktowało moje prawo do godnego życia". Oburzają się, że ich uznanie dla 500 plus jest kojarzone z byciem kupionym, byciem klientem grupy interesu. W końcu oni łożą na to państwo – w ich przekonaniu – bardzo dużo. Są też i tacy, którzy próbują to godzić. Wedle zasady: „okej, może i trochę marnują publiczne pieniądze, ale ja się na to godzę, bo sprawa ma swoje plusy: dla mnie i dla społeczeństwa".

I co w tym wartościowego?

Tak się odradza polityczność. W tym sensie ten 10-procentowy wzrost frekwencji w ostatnich wyborach nie jest przypadkiem. To powrót przekonania, że mamy na coś wpływ. Coś od nas zależy.

A w Waszej kontynuacji badań „Miastka" też to widać?

O tak! Pierwszy sygnał zmiany był taki, że mieliśmy zastanawiająco duże trudności z namówieniem ludzi do udziału w badaniu, do udzielania nam wywiadów.

Dlaczego?

Na dźwięk hasła „media i polityka" wielu mówiło „nie, dziękuję". Przeprowadziłem wiele badań kręcących się wokół tematu klas i „polityka" często się w nich pojawiała, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Owszem, jako badacz przywykłem do argumentacji antypolitycznej – że to bez sensu, bo wszyscy politycy są tacy sami i całe to bagno nie ma sensu. Ale szybko zrozumiałem, że tutaj mamy raczej do czynienia z odwrotnością tej postawy. Ludzie często nie chcieli rozmawiać o polityce, bo ich polityka... za bardzo obchodziła.

Jak to: za bardzo?

Tłumaczyli, że to ich za bardzo ekscytuje. Bo i tak już w kółko się o to spierają. Mam wrażenie, że częściej dotyczyło to zwolenników PiS, którzy podejrzewali, że jako przedstawiciele świata nauki – a więc w jakimś sensie elit – będziemy ich „nawracać". A oni będą musieli się tłumaczyć ze swojego pisizmu. Więc trochę się wykręcali. Ale najważniejsze było to, że konflikt polityczny mają w swoich rodzinach, wśród znajomych. To męczy i nie pozostawia obojętnym.

Czyli narzekania na „nudę demokracji i odwrócenie się ludzi od polityki" są dziś nieaktualne.

Nasze badanie potwierdza, że wspomniany już wzrost frekwencji wyborczej został osiągnięty poprzez poszerzenie aktywności demokratycznej o klasę ludową – wcześniej politycznie raczej ospałą. Przykład? Jeszcze dekadę temu to klasa średnia była animatorem mantry, że „trzeba brać udział w wyborach", a „polityka jest ważna". W naszym badaniu widać, że dziś to klasa ludowa przejęła tę narrację. Hasło „trzeba iść na wybory" było wśród nich powszechne. Nie znaczy to, że wszyscy spośród deklarujących zagłosowali. Ale niepójście na wybory zaczyna być traktowane jako ignorancja.

Osoba wrogo nastawiona do PiS znajdzie tu dowód potwierdzający przypuszczenie, że Kaczyński kupił wyborców świadczeniami socjalnymi. ↦

↦ To nie do końca takie proste. Respondenci z klasy ludowej, owszem, mówili, że „trzeba iść na wybory", a „polityka jest ważna". Ale nie było to jednoznaczne z przeświadczeniem, że trzeba iść i głosować na kandydatów ze znaczkiem PiS. Bywało, że nie potrafili wskazać, na kogo dokładnie głosowali w poszczególnych wyborach. Zasadnicza zmiana polegała raczej na tym, że docenili politykę jako coś, co organizuje ich życie. Choć widzą w sobie wciąż jedynie beneficjentów, a nie także tych, którzy dorzucają się do wspólnego garnuszka, z punktu widzenia zwolennika demokracji to dobra wiadomość.

Ale w końcu udało Wam się porozmawiać o mediach i polityce.

Tak. Wyniki są intrygujące. Przede wszystkim dlatego, że struktura korzystania z mediów jest u nas dosyć podobna. Co do zasady wszystkie klasy, od ludu przez średniaków po bogaczy, robią to mniej więcej tak samo. Rano przy wychodzeniu do pracy trochę radia, względnie telewizja. Potem w ciągu dnia trochę mediów społecznościowych i trochę przewijania kciukiem nagłówków portali. Trochę (choć mniej niż kiedyś) gazet i magazynów. A wieczorem telewizja i skakanie po kanałach.

I co z tego wynika?

Przy takim modelu nie da się uniknąć sytuacji, że coś nas z naszego wygodnego przeświadczenia o racji naszej strony wybije. Jakieś wydarzenie czy opinia, które nie pasują do naszej utrwalonej wizji świata. Taki dysonans jest wyzwaniem. Ludzi to pobudza. Chcąc zachować spójność swojego przekazu, musisz wykonać wysiłek. Szukają uwiarygodnienia, zestawiając różne źródła. Próbują tego wszystkie klasy, choć każda nieco inaczej.

I jak to robią?

Nasi rozmówcy z klasy ludowej (wśród których więcej jest oczywiście zwolenników PiS) najczęściej oglądają oba serwisy informacyjne – TVP i TVN. Nie było w zasadzie żadnego wyborcy PiS, który by miał problem z powiedzeniem „tak, nasi też są stronniczy". Ich strategię radzenia sobie z dysonansem określiłbym tak: co do zasady nie boimy się innego punktu widzenia i przyjmujemy go do wiadomości. Ale potem szybko dokonujemy wyboru i nie roztrząsamy sprawy na wszystkie strony. „Tak, czasem trzeba się zgodzić na stronniczość" – słyszeliśmy czasem. Jednocześnie nie można powiedzieć, że klasa ludowa jest z takiej postawy jakoś szczególnie dumna. Czują się oceniani.

Klasa średnia po raz pierwszy od 1989 r. na poważnie **spiera się o redystrybucję narodowego bogactwa.**

A klasa średnia i wyższa? Jak one sobie radzą z dysonansem?

Im wyższa przynależność klasowa, tym mniejsza tolerancja wobec drugiej strony. Dużo jest postaw w stylu: „próbowałem, naprawdę próbowałem, ale tej PiS-owskiej propagandy nie da się oglądać. Wyłączyłem po trzech minutach, przecież oni nie akceptują podstawowych zasad państwa prawa". Moja interpretacja tego zjawiska jest taka, że wyborca antypisu (bo tych jest w klasach wyższej i średniej więcej) wciąż znajduje się w sytuacji dość dla siebie nowej. Przyzwyczaił się po prostu, że ma większą prawomocność do obiektywizacji.

A mówiąc po ludzku?

Przywykł do tego, że gdy „jego" media piszą i mówią, to dotykają „obiektywnej prawdy". To po „naszej stronie" są przecież najbardziej fachowi komentatorzy, najmądrzejsi rozmówcy i najuczciwsi śledczy. Od tego trudno się odzwyczaić. I nawet jak taki antypisowiec z klasy średniej czy wyższej zaczyna sobie zdawać sprawę, że jego media od dłuższego czasu też grają w tę samą agonistyczną grę, to i tak podświadomie wierzy, że „obiektywne media" gdzieś są. Trzeba je tylko znaleźć.

Są jeszcze jakieś klasowe różnice w radzeniu sobie z dysonansem medialnego pluralizmu?

Tak. Klasa ludowa kończy poszukiwania szybciej. Poprzestaje na dwóch przeciwstawnych źródłach, tym, co mówią najbliżsi, i własnym rozsądku. Co z punktu widzenia inteligenta może być oczywiście irytującym przejawem ignorancji. Klasa średnia męczy się trochę dłużej. Pewnie także dlatego, że nie chce się przed sobą przyznać, że prawdy obiektywnej nie ma, a wszyscy są jakoś uwikłani. Trwają więc poszukiwania w internecie.

Ale chyba nie jest tak, że każde poszukiwanie skazane jest na niepowodzenie?

Im więcej kapitału kulturowego u naszych rozmówców, tym więcej dyskomfortu, że nie jest tak łatwo utwardzić swoje stanowisko w pluralistycznym świecie dzisiejszych mediów. Na koniec nawet najwytrwalsi stają przed koniecznością... arbitralnego wyboru prawdy, która nam odpowiada. Czyli trafiają w to samo miejsce, o którym mówiliśmy kilka chwil temu na przykładzie klasy ludowej. Efekt jest taki, że agonistyczne media i agonistyczna polityka wydają się dziś rozwiązaniem optymalnym. W tym świecie nikt już nie jest pewny swojej wiedzy. Pozostaje obrona własnych pozycji, bo to jedyne, co nam zostało. Wzmacniana przekonaniem, że jak nie będziemy tego bronić, to zaraz „tamci" nam wejdą na głowę.

Z jednej strony demokratyzacja i pluralizm są wartościami, których wielu brakowało. Z drugiej wizja permanentnego konfliktu i braku jasnych reguł wielu może przerażać.

To naturalne. Trzeba potraktować to po prostu jako fazę rozwoju polskiej demokracji. Być może mamy bardzo mało czasu, by odnaleźć to, co wspólne, na co się zgadzamy. Z pewnością nie będzie to powrót do *status quo*. Pomocne w tym byłyby media publiczne jako platforma, na której walczący nie mogą się odwoływać do argumentu stronniczości. Dziś jednak brzmi to jak naiwna fantazja, bo media publiczne są powszechnie traktowane jako tania propaganda. Obecna faza nie będzie zawsze nowa. Wkrótce nauczymy się z nią żyć i zobaczymy, na jakie perspektywy nas otwiera.

© Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

MIKOŁAJ LEWICKI jest socjologiem. Pracuje w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, związany z Instytutem Studiów Zaawansowanych w Warszawie. Jego główne zainteresowania to socjologia gospodarcza oraz socjologia kultury. Ostatnio wydał książki „Społeczne życie hipoteki" (Scholar, 2019) oraz „Przyszłość nie może się zacząć" (Scholar, 2018).

ANNA

Dziewit-Meller: *Zapaszki*



Myślę o tym, jak pachną poszczególne pory roku. Przywołując w wyobraźni wiosnę, czuję kwitnące drzewa, latem koszone łąki, jesienią butwiejące liście. A zimą? No wiadomo – spaleniznę. Odkąd sięgam pamięcią, kiedy tylko w powietrzu czuć było ten specyficzny nieco dymny zapach, mówiło się zawsze: czuć zimą!

Gdy byłam mała, dymny zapaszek niosący się znad pobliskich familoków i osiedli domków jednorodzinnych oznaczał ekscytację: pachnie zimą, czyli już zaraz koniec obmierzłej jesieni i pluchy, już zaraz mrozik, śnieg, święta, choinka i prezenty. Można wyjąć schowane na pawlaczu od ubiegłego roku zapomniane już czapki i szaliki, pomyśleć o sankach na górce pod domem, o nartach w Szczyrku i tych wszystkich przyjemnościach, które niosła nam pachnąca dymkiem zima. I w końcu przychodziła, sypiąc obficie śniegiem, który potem jedliśmy w ferworze zabawy. Zwieszała z dachów sople, które lizaliśmy udając, że to lody.

Kto wówczas mógł w ogóle przypuszczać, że wielogodzinne zabawy na czarniawym nieco śniegu to jednak nie „samo zdrowie", a raczej przeciwnie? Że równie dobrze moglibyśmy jeść kanapki ze smarem albo kąpać się w Rawie na odcinku katowickim?

Kiedy myślę o tym, co przyjęłam do organizmu przez lata ekspozycji na zanieczyszczenie powietrza, jakie na Śląsku w latach 80. i 90. musiałoby najpewniej rozsadzać dzisiejsze narzędzia pomiaru, od razu zaczynam się gorzej czuć. Przypominam sobie wszystkie te niekończące się zapalenia górnych dróg oddechowych, wlokące się miesiącami uporczywe kaszelki, zaskakujące wiosną katary sienne, królicze oczy schnące w kącikach i od razu włączam w pokoju moich dzieci oczyszczacz powietrza, który ponoć ma wciągać cały warszawski syf w swe filtry. Ale szczerze wątpię, że wciągnie.

Piszę te słowa w piątek – gdy z placu Bankowego pod Pałac Prezydencki w Warszawie rusza kolejny protest Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. Oni – w przeciwieństwie do nas w ich wieku – już wiedzą, że jest dramatycznie źle i że to właściwie tylko nasza wina. Może jednak nie wiedzą tego politycy opozycji – niektórzy europosłowie z PO, którzy zagłosowali właśnie przeciw rezolucji Parlamentu Europejskiego ogłaszającej „klimatyczny stan wyjątkowy", ramię w ramię z czyniącymi sobie wciąż ziemię poddaną kolegami z PiS albo wstrzymali się od głosu (chociaż jednocześnie, jak zapewnili, popierają osiągnięcie neutralności klimatycznej Europy do 2050 r. i głosowali za inną rezolucją w tej sprawie).

Może po prostu lubią ten zimowy aromacik spalenizny? Może też im się kojarzy głównie z choinką i karpiem w galarecie? Może akurat szczęśliwie w ich rodzinach nikt nie cierpi z powodu zanieczyszczenia powietrza, a – przyznajmy to – odległy geograficznie problem topnienia lodowców stanowi ma dla nich mniejsze znaczenie niż doraźne interesy?

W wydanej niedawno książce „Smog. Diesle, kopciuchy, kominy, czyli dlaczego w Polsce nie da się oddychać" Jakub Chełmiński w przystępny, rzetelny i klarowny sposób tłumaczy czytelnikom, o co właściwie chodzi z tym zanieczyszczeniem. Pisze na przykład, że lekarze z całego świata łączą zanieczyszczenie powietrza z coraz bardziej powszechnymi alergiami. „Profesor Mieczysław Obtułowicz, nestor polskiej alergologii, na początku dwudziestego wieku pisał o alergii i astmie jako o rzadko występujących problemach. Minęło ledwie sto lat i są one już powszechne. (...) To, czym oddychamy na co dzień, ma wpływ na to, w jakim stanie jest błona śluzowa naszego układu oddechowego. Zanieczyszczenie powietrza powoduje, że tworzy się w nim permanentny stan zapalny. Organizm reaguje na substancje dostające się do niego wraz z powietrzem i broni się przed nimi. Jeśli pyłek trawy trafia na błonę śluzową zmienioną zapalnie, jest opacznie interpretowany przez układ immunologiczny jako silniejszy bodziec, niż nim jest w rzeczywistości. Co więcej pyłek traw w mieście ma na sobie powbijane szkodliwe substancje: tlenki azotu, siarki, węglowodory aromatyczne. Jest jak granat wybuchający na błonie śluzowej i stymuluje układ immunologiczny do silniejszej obrony" – powiada cytowany w książce Piotr Dąbrowiecki, lekarz alergolog, prezes Polskiej Federacji Stowarzyszeń Chorych na Astmę, Alergię i Przewlekłą Obturacyjną Chorobę Płuc.

A przecież polski smog to tylko jeden z wielu problemów wynikających z krótkowzroczności ludzi. Dzieciaki drące się teraz pod Pałacem Prezydenckim w przeciwieństwie do mojego pokolenia mogą nam, dorosłym, powiedzieć: oszukaliście nas, dziady! Moi rodzice wypuszczając nas w XX wieku na „świeże powietrze" nie wiedzieli, jak bardzo dużą krzywdę nam wyrządzają. Dziś trudno udawać, że się nie wie. No, chyba że się jest politykiem i ma się moc sprawczą, by wszystko zmienić. Więc może pierwszą zmianą powinna być zmiana tych pachnących nieświeżo polityków. *OK, boomers?* ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze I Wydziale Cywilnym toczy się postępowanie pod sygn. akt I Ns 890/15 o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Kaźmierczak-Hypś, zmarłej 25 grudnia 2010 r. w Kamiennej Górze, ostatnio stale zamieszkałej w Kamiennej Górze.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze I Wydziału Cywilnego i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu spadkowym.



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

PROF. BARBARA ENGELKING jest psycholożką i socjolożką, szefową Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii PAN oraz byłą przewodniczącą – nieistniejącej już – Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej.
Wydała m.in. „Jest taki słoneczny dzień" i „Szanowny panie gistapo", współautorka (z Jackiem Leociakiem) „Getta warszawskiego. Przewodnika po nieistniejącym mieście".

Popiół na sercu

BARBARA ENGELKING

Studiując Zagładę, dowiedziałam się, że zło jest silniejsze od dobra. I że nie ma sposobu, żeby odmienić przeszłość; że zło, które się stało, jest nieodwracalne i zawsze wygrywa.

„Biedni Polacy patrzą na getto" – esej Jana Błońskiego opublikowany w 1987 r. w „Tygodniku Powszechnym" był jednym z impulsów, który spowodował, że temat Zagłady stał się tematem mojego życia. Szczególnie fragment o tym, że w stosunku do Zagłady trzeba „przestać się bronić, usprawiedliwiać, targować. Podkreślać, czego nie mogliśmy zrobić, za okupacji czy dawniej. Zrzucać winę na uwarunkowanie polityczne, społeczne, ekonomiczne. Powiedzieć najpierw: tak, jesteśmy winni".

Spotkania

Dostać Medal Św. Jerzego to trochę tak, jakby umrzeć – wyróżnienie zmusza do podsumowania i zapytania, czy to nie koniec jakiejś drogi. Gdybym miała powiedzieć, dokąd zaprowadziło mnie zajmowanie się Zagładą, użyłabym słów psalmisty, mówiąc, że dzisiaj „moje posłanie jest między zmarłymi". „Umieściłeś mnie w dole głębokim, w ciemnościach, w przepaści".

Zajęcie się Zagładą wiązało się u mnie z rozmowami z ludźmi. Spotkania z Ocalałymi, rozmowy, które zaczęłam pracując w 1988 r. nad doktoratem, w pewien sposób zdeterminowały moje podejście i moje poszukiwania. Do dziś nie mogę odżałować, że zadawałam takie naiwne pytania, że jest tyle tematów, o które nie zapytałam, a które pojawiły się w ciągu ostatnich trzech dekad, i na które w tej chwili właściwie nie ma odpowiedzi – bo nie ma już kogo pytać.

Jednak to właśnie te spotkania spowodowały, że ludzkie doświadczenie w czasie Zagłady stało się moim najważniejszym tematem i najważniejszym pytaniem.

Od początku interesowało mnie, co takiego oni przeżyli. I czy ich doświadczenie jest jakimś punktem wyjścia do mądrości, do dojrzałości, do rozumienia lepiej – może więcej? Do zdobycia jakiejś wiedzy?

Zagładę postrzegamy czasem jako tajemniczą moc, *numinosum*, które ma w sobie coś zarówno przerażającego, jak i pociągającego. Obrasta ona znaczeniami, interpretacjami, a czasem banałami. Poszukujemy sensu w tym, co się wydarzyło, tylko po to, żeby odkryć, że nie ma w tym żadnego sensu. Może się wydawać, że studiowanie przez lata cudzego cierpienia skutkuje jedynie okresowym paraliżem, dreszczem, że okrucieństwo czasem staje się monotonne. A przyrost wiedzy nie zawsze oznacza kumulację rozumienia.

Cierpienie

Mam jednak poczucie, że te wszystkie lata, chociaż poszukuje się bezproduktywnie sensu, przynoszą rozmaite korzyści. Podsumowując, w obliczu „śmierci" związanej z otrzymaniem Medalu, pomyślałam o trzech rzeczach, które na dzisiaj wynikają dla mnie z zajmowania się doświadczeniem Zagłady.

Po pierwsze o tym, że treścią tego doświadczenia jest cierpienie. Nie jest ono wyrządzone przez zło naturalne, jak katastrofa, lecz spowodowane przez zło moralne, przez



drugiego człowieka. Z miejsca, w którym podsumowuję swoją drogę, widzę dobrze to rozmaite i rozległe cierpienie. Ciche, niekrzyczące, i głośne, domagające się uwagi, potępiające i pobudzające do walki, indywidualne i zbiorowe. Widzę cierpienie fizyczne, psychiczne i duchowe. Cierpienie tymczasowe i wieczne.

W tym samodzielnie istniejącym cierpieniu najtrudniejszy może do zaakceptowania jest fakt, że okazuje się ono całkowicie bezużyteczne, że ten ból – bezcelowy i absurdalny – nie ma żadnego znaczenia. Niezależnie od tego, jak jest ogromny, i jak bardzo usiłuje mu się nadać sens. Emmanuel Lévinas powiedział, że dysproporcja między cierpieniem a jakąkolwiek teodyceą ukazała się w Auschwitz z oślepiającą jasnością. Według niego jedynym nienadaremnym cierpieniem jest współczucie, czyli udręka wywołana przez ból innych. Gdyż tylko nasza własna męka może być sensowna, tylko my możemy nadawać jej jakąkolwiek treść. I zdarza się, że cierpienie staje się dla człowieka źródłem mądrości. A może nawet czymś więcej. Lecz to zawsze pozostaje indywidualną tajemnicą.

Jeden z najbardziej enigmatycznych zapisków na ten temat, jaki znam, to wzmianka we wspomnieniach Jakoba Littnera, który wiele miesięcy ukrywał się w ciemnej piwnicy. Zanotował: „Mnie ta ciemność dała okazję, by bardziej zagłębić się w oceanie poznania. Wygnanie pod ziemię było dla mnie okresem płodnej kontemplacji".

Zło i nadaremność istnienia

Studiując Zagładę, dowiedziałam się też, że zło jest silniejsze od dobra. I że nie ma sposobu, żeby odmienić przeszłość; że zło, które się stało, jest nieodwracalne i zawsze wygrywa. Że braterstwo, w tak opiewanej polskiej narracji o wojnie, nie dotyczyło i nadal nie dotyczy Żydów. Polacy, jako osoby indywidualne i jako zbiorowość, przysporzyli Żydom więcej cierpienia, niż okazali im braterstwa w bólu. Bohaterstwo, współczucie, solidarność i odwaga pojedynczych jednostek nie są w stanie przyćmić generalnego rozczarowania i zawodu, jaki sprawiliśmy Żydom.

Niczym nie da się przysłonić faktu, że w czasie Zagłady przysporzyliśmy Żydom cierpienia nie tylko donoszeniem, wydawaniem, ściganiem, podłością czy mordowaniem. Przysporzyliśmy im cierpienia także rozmaitymi „miękkimi" działaniami. Każdym głupim, nienawistnym komentarzem, odwróceniem wzroku, wykorzystaniem sytuacji, nieoddaniem rzeczy. Każdym upokorzeniem, stanięciem po stronie oprawcy, obojętnością, brakiem solidarności. Spowodowaliśmy, że ich cierpienie było większe, niż być musiało.

Badanie Zagłady uświadomiło mi również nadaremność istnienia. Tak skondensowaną i tak wyrazistą, tak jednoznaczną, że nie można jej lekceważyć. Zapisywaną w czasie okupacji na wiele sposobów.

Jednym z takich świadectw jest list, który Lutek Orenbach, 20-letni mieszkaniec getta w Tomaszowie Mazowieckim, pisał do swojej ukochanej. Napisał tak: „Ja jeszcze ciągle chcę wierzyć, że może jutro, pojutrze, za trzy dni, pobyt w tej śmierdzącej dziurze się skończy, że to tymczasem. I boję się tej chwili, że przyjdzie dzień i trzeba będzie sobie powiedzieć: niestety, mój panie, pan się pomylił, to wszystko jest na zawsze".

O tym, jak bardzo to „na zawsze" zagnieżdża się w duszach i sercach ludzi, którzy przeżyli; jak bardzo, do końca życia, ściga ich to poczucie bezsensowności – mogą świadczyć słowa krakowskiego malarza Jonasza Sterna, który dotknął właściwie samego dna Zagłady (o ile Zagłada jest w ogóle stopniowalna). Dwukrotnie uniknął śmierci: raz wyskoczył z pociągu wiozącego lwowskich Żydów do Bełżca, a kilka tygodni później znalazł się w grupie, która została rozstrzelana, i po dziesięciu godzinach, które spędził pod trupami, wyszedł spod nich, lekko raniony zaledwie. W ostatnim wywiadzie, którego udzielił w 1988 r., powiedział zdanie, które ściga mnie od dłuższego czasu: „Przeżyłem, ale i tak się nie uratowałem".

Obok pamięci – troska

Co dla mnie osobiście wynika z tego, czego dowiedziałam się o Zagładzie? Coś pomiędzy smutkiem a odpowiedzialnością. Coś, co Etty Hillesum odczuwała jako warstwę popiołu na sercu. Mam poczucie, że jeżeli ta warstwa popiołu staje się grubsza, to bardziej się rozumie, że nie ma nic bardziej ludzkiego niż cierpienie, że zło niszczy dobro, że ludzkie istnienie jest nadaremno. A towarzyszy temu poczucie bezsilności, ogromu żalu, niezgody na zło, które się wydarzyło, i na to, że nic nie mogę zrobić. Nie mogę nikogo ostrzec, uratować, nikogo przywrócić do życia. Pozostają więc tylko poczucie odpowiedzialności i troska, która z tego wynika.

Troska oznacza z jednej strony opiekę i dbałość, z drugiej niepokój i uwagę. Zawiera także element szacunku i jest bliska braterstwu. Przeciwstawiam troskę popularnej ostatnio pamięci, która jest historyczna, zamknięta, skoncentrowana na przeszłości. Troska jest żywa i aktualna. Należy do teraźniejszości.

Oprócz troski, do badania Zagłady potrzebna jest także cisza. Jest ona różnie rozumiana przez badaczy. Dla mnie oznacza akceptację obszaru niewiedzy. Odwołuje się to do tradycji apofatycznej, zakładającej niemożność poznania, a nawet obowiązek powstrzymania się od poznania. Jestem przy tym jak najdalsza od jakiegoś religijnego czy mistycznego podejścia do Zagłady. Chodzi raczej o przyzwolenie na tajemnice, których racjonalny umysł nie potrafi wyjaśnić, a które pozostają nie tyle nieracjonalne, co transracjonalne. Jak wszystkie najważniejsze ludzkie tajemnice, do których zaliczamy miłość, śmierć, cierpienie, Boga i nieskończoność.

Odpowiedzialność i troska mają też wymiar społeczny. Chociaż zarzuca nam się uprawianie pedagogiki wstydu, a my w rewanżu określamy obecną politykę historyczną Polski jako politykę bezwstydu, to w rzeczywistości, z naszego głębokiego zaangażowania w Zagładę wynika po prostu andragogika, czyli pedagogika dla dorosłych. ©

▪ Przemówienie wygłoszone 23 listopada podczas uroczystości wręczenia Medalu Św. Jerzego. Skróty, tytuł i śródtytuły od redakcji.

WIARA

KASA WATYKANU: OSTATNIA BITWA

Nie jest prawdą, że Watykan stoi na skraju bankructwa. Prawdą jest, że jego reformy ekonomiczne się nie powiodły. Choć pojawiły się znaki nadziei.

LUIGI ACCATTOLI

Naprawę finansów Stolicy Apostolskiej rozpoczął jeszcze papież Benedykt XVI.

Ale ani jego zamiary, ani ich wcielanie w życie przez Franciszka nie przyniosły, jak dotąd, spodziewanych efektów. Wydatki nadal rosną, transparentność finansów dalej jest pięknym, ale wciąż nieosiągalnym celem.

Sądny dzień

Trąby apokalipsy zagrały 21 października. Zadął w nie – nie po raz pierwszy – Gianluigi Nuzzi, włoski dziennikarz, autor książki „Giudizio universale. La battaglia finale di Papa Francesco per salvare la Chiesa dal fallimento" (Sąd ostateczny. Ostatnia bitwa papieża Franciszka o ocalenie Kościoła przed bankructwem). Jego poprzednie publikacje – „Vaticano Spa" (2009), „Sua Santità" (2012), „Via Crucis" (2015) i „Peccato originale" (2017) – także podejmowały ten temat. W każdej zamieszczał tajne – i w równie tajny sposób zdobyte – dokumenty, opatrzone własnym, publicystycznym komentarzem. Dokumenty są prawdziwe i bardzo przydatne dla poznania szczegółów watykańskich walk o wpływy. Ale ich interpretacja – niekoniecznie, co może wprowadzić czytelnika w błąd. Po pierwsze – dlatego, że autor stara się jak najbardziej udramatyzować temat. Po drugie – z powodu częściowej i ograniczonej znajomości stanu rzeczy.

Pisze Nuzzi, że „Sąd ostateczny" powstał w oparciu o „ponad trzy tysiące dokumentów, poufnych i dotychczas nieznanych", które zbierał od 2013 r. Są to protokoły z narad instytucji ekonomicznych, korespondencja pomiędzy watykańskimi urzędami, raporty agencji ratingowych, zapisy przemówień, jakie papież wygłaszał na poufnych spotkaniach.

Wszystkie te pojedyncze wydarzenia układają się Nuzziemu w niepokojącą całość, stąd wniosek, że bankructwo Watykanu jest nieuchronne. Czy na pewno?

Plus, a nawet minus

Skupmy się na dwóch wątkach opisanych w najbardziej alarmistycznym tonie. Pierwszy to „klientelizm" (i wszystkie jego pochodne, jak kolesiostwo, kumoterstwo, nepotyzm i korupcja) w zarządzaniu finansami oraz bezprecedensowy deficyt w Administracji Dziedzictwa Stolicy Apostolskiej (APSA) – organie wspierającym gospodarkę Watykanu. Drugi – to pięcioletni okres, w jakim planowano uzdrowić sytuację, a którego niedotrzymanie niechybnie skończy się spektakularnym bankructwem.

Oba pojawiają się już na samym początku, w rozdziałach „Katastrofalne zarządzanie" i „Pięć lat do katastrofy", a potem jeszcze w środkowej część tomu, zatytułowanej „Otchłań".

Odwołując się do dokumentów, jakie papież otrzymał z końcem maja 2019 r., Nuzzi pisze: „APSA po raz pierwszy zakończyła rok (2018) na minusie: nigdy wcześniej zysk operacyjny nie spadł o 27 proc., wynik finansowy o 67 proc., a zysk z zarządzania (działalności podstawowej) o 56 proc.".

Już następnego dnia po ukazaniu się książki we włoskich księgarniach, do przedstawionych w niej zarzutów odniósł się, na łamach „Avvenire", dziennika należącego do episkopatu Włoch, abp Nunzio Galantino, dyrektor APSA. Tłumaczył: „W rzeczywistości zarządzanie APSA w 2018 r. przyniosło ponad 22 miliony euro zysku. Tyle że na negatywnym wyniku zaważyła jedna nadzwyczajna interwencja, której celem było ratowanie katolickiego szpitala i miejsc pracy personelu". Arcybiskup odniósł się w ten sposób do sprawy Instytutu Dermatologicznego im. MB Niepokalanej (IDI) w Rzymie, należącego do Zgromadzenia Synów Niepokalanego Poczęcia – na jego ratowanie administracja Watykanu przeznaczyła 50 mln euro.

Niedochodowa Kuria

Nuzzi wypomniał też Stolicy Apostolskiej „nieefektywne i nacechowane klientelizmem" zarządzanie nieruchomościami. Watykan jest właścicielem 4421 lokali, głównie w Rzymie i Castel Gandolfo, z czego 2400 to mieszkania,



DAN KITWOOD / GETTY IMAGES

Żebraczka przed wejściem na pl. św. Piotra, Rzym, 2013 r.

a 600 to sklepy i biura. Jak pisze dziennikarz, 15 proc. nieruchomości wynajmowanych było za darmo, a 50 proc. po preferencyjnych cenach. Odpowiedź abp. Galantino brzmiała: „Nieruchomości, które nie generują dochodu, to mieszkania służbowe i biura Kurii. Na przykład kamienice przy placu Piusa XII, pomiędzy via della Conciliazione a placem św. Piotra. Gdyby urządzić w nich luksusowy hotel, nie byłoby sprawy! Ale biura Kurii Rzymskiej nie przynoszą dochodu. Dalej – około 60 proc. mieszkań wynajmowanych jest pracownikom, którzy płacą niższy czynsz. To forma mieszkalnictwa socjalnego. Gdyby tak zrobiła duża, prywatna firma, wszyscy by ją chwalili, że dba o personel. Ale jeśli robi to Watykan, słyszymy, że nieumiejętnie zarządza swym majątkiem".

Na pytanie, jaki jest więc stan finansów, abp Galantino odpowiada: „Nie ma mowy o żadnym upadku czy bankructwie. Konieczna jest jedynie kontrola wydatków. I to robimy. Doszliśmy do takiego momentu, że każdy zdaje sobie sprawę z konieczności cięcia wydatków".

Stale na krawędzi

Czy pięć lat to rzeczywiście ostateczny termin, by uciec znad przepaści? Nuzzi wyciągnął taki wniosek ze słów Josepha Zahry, zastępcy koordynatora Rady ds. Ekonomii: „Musimy opracować plan rozwoju gospodarczego na okres od pięciu do siedmiu lat". I choć ich sens był oczywisty (nie można polegać na przypadkowych środkach; żeby skutecznie przeciwstawić się obecnej tendencji zwiększania wydatków i obniżania dochodów, konieczny jest kompleksowy plan, który należy wdrożyć w ciągu 5-7 lat), Nuzzi zinterpretował je w apokaliptycznym tonie: „Finanse Kościoła wytrzymają jedynie do 2023 r.".

Z pomocą Stolicy Apostolskiej znów przyszedł dziennik włoskich biskupów. 23 października „Avvenire" informowało: „deficyt zarejestrowany w ostatnim skonsolidowanym bilansie Stolicy Apostolskiej – za 2018 r. – wynosi 43 miliony euro. ↦

↦ Ta liczba oczywiście mogłaby i powinna być mniejsza, nie daje jednak powodów do zmartwień, ani ze względu na swą wielkość, ani z powodu przyczyn, jakie się na nią składają. Są to przede wszystkim pensje 4810 pracowników (2880 zatrudnionych jest w Stolicy Apostolskiej, 1930 – w Państwie Watykańskim). Deficyt budżetowy nie jest w Watykanie niczym nowym. W 1980 r. zobowiązania wyniosły 31 mld starych lirów, co – po uwzględnieniu stopnia inflacji – daje kwotę podobną do dzisiejszej, a nawet odrobinę wyższą".

Gazeta pisze również, że „patrząc na budżety z lat 2001–2015, można zauważyć, że dziesięć razy w tym czasie finanse Stolicy Apostolskiej były na minusie, a tylko sześć razy odnotowano nadwyżkę. W latach kryzysu, czyli po roku 2008, było jeszcze gorzej: sześć razy bilans był ujemny, dwa razy dodatni. Innymi słowy: dzisiejszy stan finansów Kurii i Państwa Watykańskiego w niczym nie odbiega od przeciętnego poziomu, odnotowywanego w ostatnich dziesięcioleciach.

Kłopoty z odchudzaniem

Mówiąc krótko, z oskarżeń Nuzziego i obrony Watykanu wynika, że sytuacja finansowa papieża nie jest dobra, ale nie jest też dramatyczna. I choć to jeszcze nie sąd ostateczny, jak by chciał Nuzzi, to jednak i nie sielanka. Pustka w kasie jest znanym zjawiskiem w historii papiestwa, ale prawdą jest też, że po Vaticanum II wydatki Stolicy Apostolskiej gwałtownie wzrosły: znacznie rozrosła się Kuria Rzymska, zwiększyła się liczba inicjatyw papieskich, poszerzono kolegium kardynałów, wzrosły wydatki na środki komunikacji społecznej (w tym sektorze zatrudnionych jest 563 pracowników, więcej niż w Sekretariacie Stanu, który liczy 477 osób), dużo częściej zwoływane są konsystorze, synody, sympozja i kongresy.

Plany odchudzenia Kurii i redukcji personelu opracowywano już – bez skutku – za Jana Pawła II i Benedykta XVI. Franciszek chce, by zrealizować je skutecznie, ale bezboleśnie, np. poprzez fuzje urzędów. Uważa, że można zmniejszać zatrudnienie, trzymając się ściśle określonych zasad: żadnych zwolnień, tylko przejścia na wcześniejszą emeryturę; redukcja urzędów tylko w połączeniu z redystrybucją pracowników. W ten sposób stworzona w 2017 r. Dykasteria Zintegrowanej Służby Rozwoju Człowieka powstała z połączenia papieskich rad Iustitia et Pax, Cor Unum, Duszpasterstwa Migrantów i Podróżujących oraz Duszpasterstwa Służby Zdrowia. Dzięki fuzji jest – być może – sprawniej zarządzana, ale zatrudnia wciąż tyle samo pracowników, ile miały przed połączeniem wchodzące w jej skład instytucje. Komentatorzy przewidują, że nawet całkowita reforma Kurii – która prawdopodobnie zostanie ogłoszona niebawem [patrz. tekst na s. 40 – red.] – nie przyniesie oszczędności, bo nie spowoduje znaczącego zmniejszenia zatrudnienia.

To proces długotrwały, dlatego efekty na razie są marne. Urzędnicy opracowujący plan redukcji etatów – ogłoszony pod koniec 2018 r. – przyznają, że zauważalne rezultaty przyjdą dopiero po pięciu czy nawet dziesięciu latach. A pieniędzy brakuje już dziś – obniża się, z powodu nie-



VATICAN MEDIA

Papież Franciszek: Była korupcja. Jest skandal

W drodze powrotnej z Japonii papież, pytany przez dziennikarzy o skandale finansowe i najnowsze śledztwo w Watykanie, powiedział:

Dobre zarządzanie nie polega na tym, by chować pieniądze do szuflady. Można inwestować, o ile inwestycja jest etyczna i pewna. Na przykład w nieruchomości – wynajmować je, sprzedać. Ale pod warunkiem, że będzie to inwestycja pewna i etyczna. Nie można np. pieniędzy ze „świętopietrza" (przeznaczonych na cele misyjne i charytatywne – przyp. red) inwestować w przemysł zbrojeniowy.

Cóż, stało się, co się stało. Jest skandal. Zrobiono rzeczy niewłaściwe. Nie chodzi o nieruchomość w Londynie, bo ta sprawa jeszcze nie została wyjaśniona, ale o zarzuty korupcyjne.

Przyszedł do mnie nasz rewizor kont bankowych. Pokazał dokumenty i zapytał, co robić. Powiedziałem: jest watykański wymiar sprawiedliwości, proszę złożyć doniesienie. Promotor Sprawiedliwości zbadał sprawę i poprosił o zgodę na przeszukanie biur. Wydałem taką zgodę. Dokonano rewizji w pięciu biurach i okazało się, że pieniądze nie były dobrze zarządzane i że była korupcja. Myślę, że w ciągu miesiąca rozpoczną się przesłuchania tych pięciu osób, którym zablokowano dostęp do biur. Czy są winne? Nie. Obowiązuje domniemanie niewinności. Ale korupcja była, to widać. Śledztwo wykaże, czy te osoby są winne, czy nie.

To brzydka sprawa, niedobrze, że zdarza się to w Watykanie. Ale została wychwycona przez mechanizmy wewnętrzne, które wdrożył już papież Benedykt. (...)

Po raz pierwszy ten garnek został otwarty od środka, nie z zewnątrz, jak wiele razy dotąd. Papież Benedykt był mądry, rozpoczął proces, który teraz dojrzewa. Ustanowił urząd rewizora, który teraz działa. (...)

Watykan zrobił kilka ważnych kroków. Na przykład IOR (Instytut Dzieł Religijnych) jest dziś akceptowany przez wszystkie banki, może funkcjonować jak każdy bank włoski, co jeszcze rok temu nie było możliwe. Moneyval (europejska instytucja ekspercka przeciwdziałająca praniu brudnych pieniędzy – red.) z początkiem nowego roku zbada wszystkie rachunki i procedury. Sprawdzi, jak działał Promotor Sprawiedliwości, jak sąd. Idziemy do przodu, ale zgodnie z prawem. ©

Tłumaczenie oraz skróty
Edward Augustyn

korzystnej sytuacji w strefie euro, stopa zwrotu z inwestycji, mniejszy jest wkład finansowy diecezji i zgromadzeń zakonnych (w końcu cały katolicki świat ma kłopoty gospodarcze), spada też – choć nie w sposób trwały – składka zwana „świętopietrzem".

Czarne owce

Tej ostatniej zaszkodziły z pewnością skandale z ostatnich lat: brak przejrzystości, chybione inwestycje, afery gospodarcze, które nawet jeśli trafiają do sądu, to często nie kończą się wyrokami, a szkodzą opinii o Kościele i niepokoją wiernych.

Do takich mrocznych wydarzeń należało zwolnienie z dnia na dzień – jeszcze za pontyfikatu Benedykta – prezesa Instytutu Dzieł Religijnych (IOR) Ettora Gottiego Tedeschiego. Albo przymusowa rezygnacja z pracy, w czerwcu 2017 r., Libera Milonego, głównego rewizora finansów Watykanu. Z kolei Angelo Caloia, także były prezes IOR, był jednym z najwyższych urzędników, którzy stanęli przed sądem watykańskim, oskarżony o sprzeniewierzenie pieniędzy (proces rozpoczął się w 2014 r. i wciąż trwa). Były prezes Fundacji Bambino Gesù, Giuseppe Profiti, skazany został w 2017 r. na rok więzienia za nadużywanie stanowiska (głośna sprawa malwersacji finansowych przy remoncie apartamentu kard. Tarcisio Bertonego). Były dyrektor generalny IOR Paolo Cipriani oraz jego zastępca, Massimo Tulli, zostali w 2018 r. uznani winnymi działania na szkodę kierowanej przez siebie instytucji (straty sięgały 47 mln euro). Prałat Nunzio Scarano, były księgowy APSA, został w lutym ubiegłego roku skazany przez sąd w Rzymie na 3 lata pozbawienia wolności za oszczerstwa i korupcję w sprawie o nielegalny transfer pieniędzy do Szwajcarii.

I sprawy najnowsze: 1 października dowiedzieliśmy się o postępowaniu sądowym przeciwko dyrektorowi Agencji Informacji Finansowej (AIF), Tommasowi di Ruzza. W stan oskarżenia postawiony został także szef biura Sekretariatu Stanu Mauro Carlino oraz trzej inni urzędnicy. Przedmiotem dochodzenia jest – oficjalnie – zakup nieruchomości w Londynie, ale słyszy się w Watykanie, że prawdziwym celem ma być kard. Angelo Becciu, który jako substytut w Sekretariacie Stanu, w latach 2011-18, zarządzał sektorem finansowym, a dziś pełni funkcję prefekta Konregacji Spraw Kanonizacyjnych. Przeciwnikiem kard. Becciu miał być Libero Milone, tak więc przypuszcza się, że to on dostarczył część poufnych dokumentów, które przysłużyły się powstaniu książki Nuzziego.

Trzej muszkieterowie

Ale jest i nadzieja, o czym wspomniałem na początku. Ostatnie nominacje w sektorach gospodarczych (choć nie tylko) mogą przyczynić się do uzdrowienia finansów Watykanu. Zwłaszcza dwie: mianowanie abp. Nunzia Galantino na dyrektora APSA (w czerwcu 2018 r.) i jezuity o. Guerrero Alvesa na prefekta Sekretariatu Ekonomicznego (14 listopada tego roku).

Nunzio Galantino wcześniej był biskupem i duszpasterzem na południu Włoch, znawcą życia i dorobku XIX-wiecznego filozofa włoskiego Antonia Rosminiego (reformatora często cytowanego przez papieża). Jest człowiekiem skromnym, bezpośrednim w kontakcie, mówiącym prostym i zrozumiałym językiem. W 2013 r. został zaufanym człowiekiem papieża – Franciszek uczynił go sekretarzem Konferencji Episkopatu Włoch (CEI). Dzięki temu przez pięć lat wszystkie decyzje podejmowane były „po linii Franciszka", choć nie zawsze za aprobatą większości biskupów. Papież wie, że i teraz, zarządzając watykańskim majątkiem, Galantino pójdzie pod prąd, jeśli będzie trzeba.

O ile zaufanie do Galantina zostało potwierdzone długą współpracą, to nominacja ojca Juana Antonia Guerrero Alvesa dokonała się „na kredyt". Oczywiście łączy go z papieżem formacja zakonna – jest jezuitą. Przejmie schedę po kardynale George'u Pellu, który w australijskim więzieniu odsiaduje wyrok za seksualne wykorzystanie nieletnich (zapewnia o swej niewinności, a na wiosnę dostanie ostatnią szansę, by jej dowieść przed sądem apelacyjnym). Guerrero Alves studiował ekonomię, był doradcą generała Towarzystwa Jezusowego, prowincjałem i mistrzem nowicjuszy w Hiszpanii, misjonarzem w Mozambiku. Jego zadaniem będzie uporządkowanie, czyli mówiąc inaczej – wyprowadzenie spraw gospodarczych poza system kurialnych koterii i kardynalskich patronatów. Hiszpański jezuita nie idzie po kościelną karierę. Portal VaticanNews poinformował, że „ojciec Sosa, generał Towarzystwa Jezusowego, poprosił Jego Świątobliwość, by nominacja nie wiązała się z biskupstwem i by o. Guerrero mógł po zakończeniu posługi powrócić do normalnego życia zakonnego". To zgodne z myśleniem papieża, że „z Kurii powinno się wychodzić w tej samej koszuli, w której się przyszło".

Powołanie o. Alvesa stwarza jednak jeden drobny problem – statut Sekretariatu Ekonomicznego mówi, że jego prefektem jest kardynał. Alvesowi, który nie zostanie nawet biskupem, może być trudno sprawować nadzór nad instytucjami kierowanymi przez innych kardynałów. Niepisane, ale ściśle dotąd przestrzegane watykańskie zwyczaje takiej sytuacji nie przewidują.

Za znak nadziei można też uznać wybór (3 października tego roku) nowego prezydenta Trybunału Watykańskiego. Został nim Giuseppe Pignatone, były prokurator państwowy w Reggio Calabria i Rzymie, cieszący się reputacją osoby surowej i uczciwej. Zapewne papież doszedł do wniosku, że skoro dał sobie radę z mafią, to poradzi sobie i z monsiniorami. Choć jego funkcja nie ma bezpośredniego związku z finansami, to jednak wiadomo, że większość procesów w Watykanie dotyczy spraw gospodarczych, a ponadto w trybunale wciąż czeka na rozstrzygnięcie wiele tego typu spraw z lat poprzednich.

Konflikty z prawem, w jakie popadli dotychczas „ludzie Franciszka", były dla papieża bolesnym i rozczarowującym doświadczeniem. Galantino, Alves i Pignatone mają być teraz skuteczną bronią w ratowaniu tak finansów, jak i reputacji Watykanu.

PS. Tekst artykułu wysłałem do redakcji, zanim papież Franciszek mianował – 27 listopada – Carmela Barbagallo na prezesa AiF. Barbagallo, doświadczony, wieloletni ekspert ds. nadzoru bankowego w Banca d'Italia, cieszy się reputacją kompetentnego i rygorystycznego fachowca. Zatem – kolejna trafna decyzja, oddająca papieskie finanse w dobre ręce.

© LUIGI ACCATTOLI

Przeł. EDWARD AUGUSTYN

Autor (ur. 1943) jest włoskim watykanistą i pisarzem. W Polsce ukazała się m.in. jego książka „Kiedy papież prosi o przebaczenie. Wszystkie mea culpa Jana Pawła II".



VATICAN POOL / GETTY IMAGES

Przed bożonarodzeniowym spotkaniem biskupów Kurii Rzymskiej z papieżem, Watykan, grudzień 2016 r.

Misje, nie komisje

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

Czy jeszcze w tym roku zmieni się całkowicie sposób działania Kościoła? Projekt nowej konstytucji Watykanu pełen jest szlachetnych intencji.

Dobiega końca kolejny etap upragnionej przez Franciszka reformy Kurii Rzymskiej. Sześciu kardynałów opracowujących nową wersję konstytucji Stolicy Apostolskiej ma przedstawić jej szkic papieżowi na początku grudnia. A to oznacza, że być może jeszcze w tym roku „Pastor bonus", watykańską konstytucję z 1988 r., zastąpi nowy dokument, nad którym prace zlecił Jorge Bergoglio zaraz po swoim wyborze na głowę Stolicy Apostolskiej.

W jednym ze wstępnych rozdziałów, który nazwano „Predicatum Evangelium" („Głoście Ewangelię"), wyjaśniono cele przyświecające reformie: decentralizacja, więcej miejsca dla laikatu, zmiany charakteru usług urzędów, przejrzystsza komunikacja wewnętrzna.

Przypomnijmy: w „Predicatum Evangelium" pojawia się zapis, że reforma ma służyć pełnej odnowie Kurii Rzymskiej. Kuria nie będzie podlegać papieżowi, lecz ma stać się organem pomocniczym zarówno dla niego, jak i dla biskupów, czymś w rodzaju platformy komunikacji między Kościołami lokalnymi a Stolicą Apostolską. Jak ocenia hiszpańskie katolickie pismo „Vida Nueva", odtąd każdy biskup, choćby najmniejszej diecezji na końcu świata, będzie równy prałatowi kierującemu tym czy innym urzędem w Kurii.

Listopadowy numer wydawanego we Freiburgu miesięcznika „Herder Korrespondenz" przypomina, że o konieczności usprawnienia Kurii Jorge Bergoglio mówił od abdykacji Benedykta XVI na początku 2013 r. Zaraz po swoim wyborze powołał ośmio-, a potem dziewięcioosobową grupę kardynałów reformatorów (z czasem trzech z nich zrezygnowało). Po sześciu latach pracy kardynałowie Pietro Parolin, Óscar Andrés Rodríguez Maradiaga, Reinhardt Marx, Seán Patrick O'Malley, Giuseppe Bertello i Oswald Gracias przygotowali nową konstytucję Watykanu.

Na początku prac doszło do dwóch przecieków, ale potem udało się zachować szczegóły posiedzeń kardynałów w tajemnicy. Pierwszy szkic watykańskiej konstytucji był gotowy w kwietniu. Wtedy „Vida Nueva" ujawniło niektóre propozycje reform (więcej: powszech.net/reformakurii).

Projekt konstytucji wysłano do konsultacji wszystkim konferencjom narodowym biskupów, prefektom stojącym na czele watykańskich „departamentów", generałom zakonów etc.

Obecnie Rada „G6" zapoznaje się z sugestiami poprawek. Po ich rozpatrzeniu sześciu kardynałów spotka się na początku grudnia w Rzymie, by przekazać papieżowi ostateczną wersję konstytucji. Franciszek zdecyduje o terminie publikacji.

Misyjność

Jak doniosła „Vida Nueva", a za nią „Herder Korrespondenz", reforma potwierdza

wprowadzane od jakiegoś czasu zmiany w nomenklaturze watykańskich urzędów: kongregacje zostaną zastąpione dykasteriami. Wyjątkiem jest Sekretariat Stanu, który pozostanie przy swej nazwie, podobnie jak niektóre urzędy Prefektury Domu Papieskiego oraz papieska Rada ds. Gospodarczych.

„Dykasterie rzymskie są mechanizmami pomocy, tymczasem zdarza się, że zamieniają się w narzędzia cenzury" – mówił na początku swego urzędowania Franciszek.

Głównym przesłaniem nowej konstytucji ma być, jak to ujmuje włoski dziennik „Il Foglio", misyjność Watykanu. W tym celu zostanie utworzona „superdykasteria" – Dykasteria ds. Ewangelizacji. Połączy dotychczasową Kongregację ds. Ewangelizacji Narodów, zajmującą się terenami misyjnymi (kieruje nią kard. Fernando Filoni), z Papieską Radą ds. Nowej Ewangelizacji (utworzoną przez papieża Benedykta XVI w celu „rechrystianizacji" Zachodu), kierowaną przez abp. Rina Fisichellę.

W związku z tym spadnie nieco rola dotychczasowej Kongregacji Nauki Wiary, zwanej *Suprema* – Najwyższa. Zgodnie z art. 68 nowej konstytucji ta najstarsza kongregacja, powołana do obrony doktryny katolickiej, przemianowana zostanie na Dykasterię ds. Nauczania Wiary i będzie „łączyć zaufanie wobec nauki tradycji z odwagą do znajdowania nowych odpowiedzi na nowe pytania". Znaczący szczegół.

Watykański dziennik „Avvenire" donosi, że inna z kongregacji – ds. Edukacji Katolickiej – zostanie połączona z Papieską Radą ds. Kultury. Utworzona zostanie także Dykasteria ds. Dobroczynności, na której szczególnie zależy papieżowi. W jej skład wejdzie Urząd Dobroczynności Apostolskiej, na którego czele stoi dziś kard. Konrad Krajewski.

Niektórymi dykasteriami będą mogli kierować świeccy, jak to zresztą ma już miejsce w przypadku Dykasterii ds. Komunikacji (od lipca 2018 r. jej szefem jest dziennikarz Paolo Rufini).

Nowa konstytucja reguluje też kwestię obsady stanowiska kardynała kamerlinga, jednego z najbardziej prestiżowych urzędów w Watykanie. Do jego obowiązków należy stwierdzenie śmierci papieża. To on pełni jego obowiązki i zarządza papieskimi posiadłościami do czasu wyboru nowej głowy Państwa Watykańskiego. Do tej pory to papież wskazywał, kto miałby zostać kamerlingiem. Teraz jest nim kard. Kevin Joseph Farrell, mianowany w lutym tego roku. Grupa „G6" postanowiła, że potrzebna jest tu jednoznaczna zasada: kamerlingiem powinien automatycznie zostawać urzędnik zajmujący się sprawami finansowymi. Projekt nowej konstytucji przewiduje, że będzie nim kardynał, który w momencie śmierci papieża przewodniczy Papieskiej Radzie ds. Gospodarczych. W tej chwili stanowisko to piastuje kard. Reinhard Marx, jeden z szóstki reformatorów.

Leczenie dusz

Przede wszystkim jednak „Predicatum Evangelium" przewiduje nowy sposób pracy Kościoła. Przysyłani z episkopatów z różnych krajów księża obejmujący stanowisko w Kurii powinni odtąd mieć za sobą się przynajmniej 4 lata posługi pasterskiej. Chodzi o to, aby księża, równolegle z pracą administracyjną, kontynuowali „leczenie dusz wiernych". Z tego też powodu, jak stanowi art. 6 konstytucji, dykasterie będą zajmować się nieustannym kształceniem swojego personelu.

Jednym z głównych celów reformy jest poprawa wewnętrznej komunikacji w Watykanie. Obecnie często zdarza się, że jeden urząd nie wie, co robi drugi. Konsekwencje bywają katastrofalne, jak w przypadku Richarda Williamsona, ekskomunikowanego za przyjęcie święceń od abp. Marcela Lefebvre'a. Papież Benedykt XVI zdjął z niego ekskomunikę w 2009 r., mimo że informacje o jego kłamstwach na temat Holokaustu były znane sądowi papieskiemu – nie dotarły jednak do Benedykta. Artykuł 25 przewiduje stałe konsultacje prefektów dykasterii oraz szefów rozmaitych watykańskich urzędów z papieżem i stałą wymianę informacji między nimi. Papież będzie mógł w każdej chwili wezwać urzędników, żeby dowiedzieć się o ich bieżącej pracy i dalszych planach. Jeśli okaże się, że wymiana informacji wciąż jest niewystarczająca, zostaną powołane komisje międzydykasterialne.

Spotkania papieża z biskupami w Watykanie mają pozwolić papieżowi dowiadywać się, co się dzieje na peryferiach, a wysłannikom Watykanu korzystać z doświadczenia władzy centralnej. „Predicatum Evangelium" przewiduje „szczere i otwarte rozmowy dykasterii z Kościołami lokalnymi i konferencjami biskupów", mające być miejscem wymiany propozycji i sugestii.

Kuria w kurii

Papież nie będzie musiał uczestniczyć w każdym tego typu spotkaniu. Aranżować je ma nowy urząd, Sekretariat Papieski, który wejdzie w skład istniejącego już Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej. Wielu spodziewało się, że w pierwszym rzędzie zostanie zreformowana właśnie ta instytucja, powstała w czasach renesansu, by dbać o papieską korespondencję dyplomatyczną i kierować sprawami sądowymi, w latach 60. ub. wieku awansowana przez Pawła VI na główny urząd administracji, potem wzmocniona jeszcze przez Jana Pawła II w „Pastor bonus".

Krytycy zarzucali, że była swoistą kurią wewnątrz kurii, a Watykanem w istocie rządził ten, kto stał na jej czele. Jak ujmuje to Lucas Wiegelmann z „Herder Korrespondenz", „administruje ona wszystkim, nawet tym, co myśli, mówi i decyduje papież, pozostając często w konflikcie z innymi dykasteriami". Wymownym przykładem było sekretarzowanie kard. Tarcisia Bertonego w czasach Benedykta XVI. Jednak szkic nowej konstytucji powtarza słowo w słowo za „Pastor bonus" opis funkcji Sekretariatu Stanu, m.in. że „pomaga papieżowi wykonywać jego najważniejsze obowiązki".

Projekt konstytucji pełen jest szlachetnych intencji: zbliżenia Kościoła z wiernymi oraz watykańskiej „centrali" z oddziałami na prowincji, a także wprowadzenia przejrzystych zasad porozumiewania się między poszczególnymi urzędami watykańskimi. W czasie, kiedy Stolica Apostolska uwikłana jest w podejrzane machinacje finansowe, a Kościół zmaga się z plagą afer pedofilskich, reforma jest szczególnie potrzebna. Ale ludzie Franciszka zdają sobie sprawę, że opublikowanie konstytucji będzie zaledwie pierwszym krokiem.

„Wszystkie instytucje stawiają opór zmianom, z tego prostego powodu, że są instytucjami – mówił pod koniec czerwca sekretarz grupy sześciu kardynałów reformatorów Marcello Semeraro, biskup Albano. – Pierwsza zmiana musi nastąpić wewnątrz. Jeżeli tego zabraknie, zewnętrzne zmiany na niewiele się zdadzą".

© BARTOSZ HLEBOWICZ

Maaasa cierpliwości



JAN RYBICKI

Pewnego dnia zobaczyłem ich, choć mój mózg odmówił przyswojenia tego widoku. Dwóch pod krawatem, w białych koszulach, z podwiniętymi spodniami od garnituru – mormoni na wyspie Ustupo.

Ustupo jest panamską wyspą, leżącą na archipelagu w regionie autonomicznym Guna Yala. Nazwa oznacza „ziemię należącą do Guna" – i naprawdę należy do tego plemienia Indian. Z Panamy wiedzie tam tylko jedna asfaltowa droga. W połowie znajduje się przejście graniczne, wśród kolorowych chorągiewek przechadzają się krępi Guna ubrani w moro. Dalej wolno wjechać wyłącznie autoryzowanym samochodem po opłaceniu podatku.

Ustupo znajduje się daleko za obleganymi przez turystów „najlepszymi plażami morza Karaibskiego", około cztery godziny motorówką od portu. Jak każda z odciętych od siebie morzem bądź lasem społeczności Guna mają własną administrację, prawo i sposoby, aby egzekwować przestrzeganie prawa. Po dotarciu na wyspę musiałem zaprezentować się *saili* – wodzowi.

Spędziłem na wyspie kilka dni, przygotowując reportaż o Guna, gdzie przez zaskakujące relacje rodzinne mam odległych kuzynów i ciotki. Kręciłem się między krytymi liśćmi chatami i znacznie mniej licznymi domami z pustaków. Słuchałem religijnych zaśpiewów w niezrozumiałym dla mnie języku dawnych Guna. Wybrałem się na stały ląd z mężczyznami, aby pielęgnować wydarte dżungli poletka. Przyglądałem się, jak nieznające hiszpańskiego staruszki szyją tradycyjne *mole* i wymieniałem się mailami oraz namiarami facebookowymi z ich wnukami, których pierwszym językiem jest hiszpański.

I pewnego dnia mój wzrok przesunął się po nich, zobaczyłem ich i nie zobaczyłem jednocześnie, bo mój mózg odmówił przyswojenia tego widoku. A jednak widziałem, co widziałem. Dwóch bardzo opalonych, ale niewątpliwie białych, pod krawatem. W białych, poplamionych koszulach z krótkim rękawem, z podwiniętymi spodniami od garnituru, w klapkach. W rękach trzymają notatniki, z kieszonek koszul wystają identyfikatory „elder Nelson" i „elder Irizzary".

– I co tutaj robicie? – pytam, nieco bez sensu, po wymianie grzeczności.

– Jesteśmy misjonarzami z Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich – odpowiada pewnie, ale z odrobiną rezerwy Nelson, wyższy z nich. Widząc niepewność na mojej twarzy, dorzuca: – Możesz nas znać jako mormonów.

Rozmawiamy chwilę, po czym się żegnamy, muszą wracać do pracy.

Razem

Nelson jest dobrze zbudowanym blondynem z Karoliny Północnej, o włosach wypłowiałych od słońca. Irizzary, pochodzenia baskijskiego, jest z Colorado. Nie znam wielu ludzi z USA, ale wydają mi się bardzo amerykańscy: pewni siebie, z zaciekawieniem wypytują o koszykówkę. Jemy w otwieranej na kilka godzin dziennie restauracyjce Dom Toyo, która faktycznie mieści się na podwórku Toya, tutejszego nauczyciela, pijemy zimną colę, jemy hamburgery.

Opowiadają mi o swojej religii: Kościół, powołany przez Jezusa, nie przetrwał próby czasu. Uniwersalne przesłanie zostało przeinaczone, w tłumaczenia i kopie pierwszych manuskryptów wdarły się błędy. Ostatni prawdziwi wyznawcy Chrystusa w Europie zostali zabici – mimo że pojawili się światli ludzie, jak Marcin Luter czy Jan Kalwin, nie mając bezpośredniego dostępu do Słowa Bożego, nie byli w stanie odnowić Kościoła.

Dramat, rozgrywający się na kontynencie europejskim, miał analogię w Ameryce: przed upadkiem Jerozolimy i niewolą babilońską prorok Lehi wyprowadził grupę wiernych Bogu i przeprawił się z nimi do Ameryki, gdzie założyli własną cywilizację. Ich potomkom ukazał się zmartwychwstały Jezus, jego wyznawcy podzielili jednak los europejskich współwyznawców. Ich historia, spisana na złotych tabliczkach przez proroków, została ukryta przez ostatniego z nich: Moroniego. Te właśnie tabliczki, spisane w języku egipskim, odnalazł Joseph Smith, przetłumaczył na angielski i doprowadził do restauracji Kościoła. Jego misją stało się niesienie tej prawdy, w obliczu ostatnich dni, które pozostawały ziemi.

Nelson jest bardziej charyzmatyczny, ale odpowiadają razem. Jeden w pewnym momencie przerywa i podejmuje drugi, a później trzeci i czwarty, ponieważ okazuje się, że na wyspie mieszka jeszcze jedna para misjonarzy. Przekazują sobie historię jak pałeczkę w sztafecie.

– A co z kwestią krytyki naukowej? – chodzi mi o to, że przez badania języka można naukowo stwierdzić, kiedy napisano tekst.

Jestem ciekawy, co odpowiedzą. Musieli przecież zetknąć się z argumentami, że język księgi jest anachroniczny, że zawiera wiele dosłownych zapożyczeń z nowożytnych tekstów, że według wszystkich naukowych kryteriów nie został napisany, jak twierdził Joseph Smith, w starożytności, po egipsku, przez Izraelitów, w Ameryce Północnej.

– Myślę, że... nie musimy rozumieć wszystkiego – odpowiada ostrożnie Nel-



JAN RYBICKI

Irrizary i Burke – starsi zboru mormonów na wyspie Ustupo, 2016 r.

son. Kiwam głową, przyjmując to wytłumaczenie.

Z nauczania Josepha Smitha wywodzi się szereg różnych zasad. Nelson i Irizzary jako mormoni nie mogą palić papierosów, pić alkoholu, kawy ani czarnej herbaty, utrzymywać pozamałżeńskich relacji seksualnych. Jako misjonarzy obowiązują ich dodatkowe reguły. Wstają o szóstej i mają 2 godziny na modlitwę, śniadanie i ćwiczenia fizyczne. Od 8 do 18, z przerwą na lunch, chodzą od chaty do chaty, nauczając. Do godziny 20 muszą wrócić do domu.

Nie mogą się rozdzielać ze swoim partnerem pod żadnym pozorem. Kiedy jedzą – jedzą razem, kiedy śpią – śpią razem. Nauczają razem i modlą się razem. Sami są wyłącznie w toalecie.

– Czy to nie jest trudne? – pytam. – Co jeśli nie jesteście w stanie kogoś znieść?

– Jasne, jest trudne. Musisz się nauczyć wspólnie żyć z drugą osobą albo się pozabijacie.

– No ale cierpliwość, musisz się nauczyć cierpliwości. Maaasy cierpliwości – dorzuca Irizzary.

Opowiadał, jak jego partner przez trzy dni leżał w gorączce i Irizarry musiał czekać w domu, aż wyzdrowieje, o nudzie gorszej niż choroba, doprowadzającej do szaleństwa. Aby się nie rozpraszać, mormoni podczas misji mogą czytać jedynie Księgę Mormona, opracowanie Księgi Mormona oraz książeczkę z radami i wytycznymi dla misjonarzy. Irizzary znał je już na pamięć, drugiego dnia, żeby zająć się czymkolwiek, zaczął przestawiać meble z kuchni do sypialni i z sypialni do kuchni. – Ale wiesz co, świat jest sprawiedliwy. Później się od niego zaraziłem i kiedy on już wyzdrowiał, musiał czekać na mnie – kończy opowieść.

Kiedy kończymy się śmiać, Nelson mówi nieco poważniej: – Patrz, te zasady są po to, żeby nas chronić. Jesteśmy misjonarzami, reprezentujemy Kościół, wielu ludzi nas nie lubi. Musimy być bez zarzutu. Krąży historia o dwóch misjonarzach, którzy na chwilę się rozdzielili: jeden poszedł do kuchni z kimś porozmawiać, a drugi został w salonie z jakąś dziewczynką, która później oskarżyła go, że się próbował do niej dobierać. Gdyby się nie rozdzielili, nie byłoby żadnych niejasności.

Sami

Inną z ważnych zasad jest to, że podczas misji zostają odcięci od swojego dawnego świata. Całą energię mają poświęcić na nauczanie i modlitwę. Z internetu mogą korzystać tylko przez godzinę w każdy poniedziałek, aby skontaktować się z bliskimi. Mogą wykonać dwa telefony do rodziny w ciągu roku: na dzień matki i na Boże Narodzenie. O wakacjach nie ma mowy, a powrót przed zwyczajowymi dwoma latami jest ostatecznością. Podczas nieobecności Nelsona jego siostra wyszła za mąż i urodziła dziecko. Irizzary też ma siostrę, która też jedzie na misje: spędzą dwa tygodnie razem, a później przez kolejne dwa lata będą wymieniać się mailami.

– Ale to jest dobre – komentuje Burke, jeden z misjonarzy z drugiej dwójki. – Jesteśmy tutaj sami. Musimy się nauczyć samodzielności, a nasze rodziny muszą to zaakceptować.

Burke trafia w punkt: są tutaj sami. Nie mają żadnego przełożonego, zwartego mormońskiego społeczeństwa, które mogłoby sankcjonować odchylenia, matki, która spojrzałaby na nich z wyrzutem w oczach. Kontrolują się nawzajem, to rozumiem, ale są tylko we czwórkę. Łatwo to sobie wyobrazić: powiedzmy w poniedziałkową godzinę przy komputerze któryś z nich uznaje, że potrzebuje pięciu minut więcej. I żaden z pozostałej trójki nic mu nie mówi. I to się uciera, a później ktoś, w milczącym konsensusie, włącza na YouTubie film, w dodatku we wtorek, w godzinach nauczania, przy kawie. Są tak odcięci od kontynentu, że nie muszą się obawiać żadnych wizytacji.

Burke zerka znacząco na zegarek.

– Musimy spadać, już 20.20. Można było podciągnąć tę rozmowę pod nauczanie, ale nawet w takim wypadku musimy wrócić do 20.30 do domu.

– Na pewno musicie iść? Ja na was nie nakabluję, nikt nie będzie wiedział? – rzucam żartem.

– Bóg będzie wiedział – odpowiada elder Burke.

– I myślisz, że Bogu to robi jakąś różnicę? – pytam sceptycznie.

– Tak – odpowiada poważnie.

Jestem ciekaw, czy myśli o karze, czy o tym, że nigdy nie jest wszystko jedno. Nie mam czasu spytać, ponieważ cała czwórka zgodnie wstaje od stolika.

Odwiedziny

Misjonarze czasem, z typową dla siebie otwartością, pozwalali sobie towarzyszyć podczas nauczania. W swoich notesach mają wpisaną listę spotkań na cały dzień, a w tabelce obok: „plan B" – na wypadek, gdyby ktoś zmienił zdanie.

– Zazwyczaj nikogo i tak nie ma w domu – mówi Nelson tonem pogodnego zrezygnowania.

Nelson miał rację, z tym że czasem „nikt" biega po podwórku, chichocze i rozmawia szeptem z „nie jest w domu". Pukamy raz, drugi, po czym odchodzimy na kolejne spotkanie. Czasem ktoś nas wpuszcza tylko po to, żeby powiedzieć nam, że mąż/brat/kuzyn popłynął na działkę, jakaś staruszka zalewa nas potokiem słów w języku guna. Nelson z dużym wysiłkiem odpowiada w tym samym języku, żegnamy się i wychodzimy.

– Nie rozumiem cię, kobieto – zirytowany mruczy pod nosem już po angielsku.

Wydaje się, że nie mają zbyt dobrego dnia. Panuje okołorównikowy gorąc, południe, nigdzie cienia.

– Ciekawe, jak oni mogą uprawiać seks w tych hamakach. Ja ledwo mogę w nim spać, a co dopiero seks – rzucam w pewnym momencie, ciekawy ich reakcji. ↦

– Sam się nad tym zastanawiam – odpowiada niespeszony Nelson. Nie rumienią się, nie czują urażeni.

Po południu idzie nieco lepiej; odbywamy przyjazną pogawędkę z niedawno ochrzczonym Indianinem, któremu obiecują podarować nową Księgę Mormona, ponieważ zapodział gdzieś poprzednią; zaprasza nas do domu ktoś, z kim mormoni nie mieli jeszcze kontaktu.

„Jakie są twoje relacje z Bogiem?" – pyta zachęcająco Nelson. „Daleko?" – unosi obie ręce z wyciągniętymi palcami wskazującymi i macha nimi tak daleko, jak tylko może rozłożyć ręce. „Mniej więcej? Czy dobrze bliziutko?" – palce stykają się wreszcie.

„Dobrze bliziutko" – odpowiada pogodnie Guna.

„Czym jest wiara, bracie?" – przejmuje wątek Irizzary.

Guna wbija w niego intensywne spojrzenie, chyba nieprzyzwyczajony do takich pytań: „Wiara to... wierzenia".

„Dokładnie! A skąd wiemy, że Bóg istnieje?" – Irizzary pozwala na chwilę milczenia i podejmuje: „Czy widzimy wiatr? Nie. Ale wiemy, że wiatr istnieje, ponieważ widzimy trzcinę, która się kołysze na wietrze". Podejrzewam, że w następnym zdaniu chciał powiedzieć o tym, że Boga widać po działaniu, ale zdaje się, że gubi wątek, dławi nas gorąco, jesteśmy zmęczeni.

Kontynuuje Nelson: „Czy przyjąłeś chrzest, bracie? Nie. Czy wiesz, po co chrzest jest potrzebny? No więc, kiedy grzeszymy (wyciąga długopis z kieszonki koszuli), grzech nas kole (kłuje się długopisem w kciuk). Czujemy to i przestajemy grzeszyć, ale nawet kiedy tak się stanie (chowa długopis), pozostajemy brudni (demonstruje kciuk pomazany niebieskim atramentem). Co musimy zrobić?".

„Umyć ręce?" – proponuje Guna.

„Dokładnie! Obmyć się. Dlatego potrzebny jest chrzest, do czego cię bracie, zapraszamy".

Podczas misji zostają odcięci od swojego dawnego świata. **Całą energię mają poświęcić na nauczanie i modlitwę.**

Irizzary wyciąga z plecaka broszurę, wypisuje z tyłu ich nazwiska, godzinę liturgii w niedzielę i proponowaną datę chrztu, rozmawiają chwilę, wychodzimy.

Odpowiedź

Słońce zachodzi. Siedzimy w piątkę w świątyni mormonów, obok zbudowanego środkami Kościoła boiska do gry w koszykówkę. Oni dyskutują z ożywieniem kwestię przeniesień, a ja załatwiam swoje sprawy na mormońskim Wi-Fi, przysłuchując się ich rozmowie. Jutro wyjeżdżam z wyspy, widzimy się po raz ostatni, a ja ciągle nie rozumiem, co ich tutaj trzyma.

– Jak to właściwie jest? – pytam w końcu, kiedy skończą rozmawiać. – Jedziecie na misje na dwa lata. Dokładacie do tego ze swoich pieniędzy. Przyjeżdżacie do Panamy, nie znając nawet hiszpańskiego, jak się go już nauczycie, przenoszą was na Guna Yala i musicie się znowu uczyć języka, a z Indianami idzie jak po grudzie. Dlaczego w ogóle chcieliście jechać? Nie jest wam ciężko?

– Nie... – odpowiada z namysłem Nelson. – Na początku było ciężko. Ja miałem zupełnie inne nastawienie, wielu moich znajomych jechało i pomyślałem, że to jest dobra okazja, żeby poznać świat, trochę, nie wiem, zabawić się. Ale jak teraz o tym myślę, to widzę, że zupełnie nie miałem wiary.

Zawiesza głos na chwilę, z namysłem, chociaż musiał mówić o tym już wiele razy. – I kiedy zacząłem chodzić od domu do domu, powtarzać w kółko te same lekcje, poczułem, że albo w to wierzę, albo to nie ma żadnego sensu i muszę wracać. A ja nie wiedziałem, czy w to w ogóle wierzę, więc zrobiłem to, o czym pisze Joseph Smith: zacząłem się modlić do Boga i pytać, czy to, co mówi Księga Mormona, jest prawdą, czy nie. I jakiegoś dnia po prostu dostałem odpowiedź. To było coś, wszystko nagle wskoczyło na swoje miejsce. I nie było tak, że od razu zdobyłem wiarę, po dwóch tygodniach znowu wróciło to samo zniechęcenie, ale znowu w jakimś momencie miałem to olśnienie, że naprawdę mamy rację. I tak wiele razy. Te chwile jasności były czymś niezwykłym.

– Ja chyba miałem inaczej – mówi Irizzary, kiedy przenoszę na niego pytający wzrok. – Znaczy się, kiedy jechałem na misje, już naprawdę wierzyłem, albo zaczynałem wierzyć. Jakiś rok przed tym, jak pojechałem, miałem duży kryzys, nie tylko wiary, w ogóle. Byłem samotnikiem, izolowałem się od wszystkich. Było mi źle. Teraz też nie jestem zbyt przebojowy... ale pomogła mi modlitwa. Nie miałem żadnego olśnienia czy przełomu jak Nelson. Po prostu... jakoś tak spokojnie przychodziła pewność, dzień po dniu. I chyba dlatego.

Znowu temat podejmuje Nelson, ale jeśli istnieje jakiś schemat, mam wrażenie, że teraz się z niego wyłamuje. – Słuchaj, ja nie musiałbym tutaj być. Kiedy wrócę, chcę iść do wojska jako lekarz. Nie jest łatwo się dostać. Rok temu, kiedy wyjeżdżałem, byłem dobrze przygotowany fizycznie, miałem wiedzę. Tutaj zapominam to, czego się nauczyłem w liceum, jemy głównie konserwy, śmieciowe jedzenie – znacząco spogląda na swój dosyć wydatny brzuch. – Kiedy wrócę, nie wiem, czy dam radę. Ale wierzę, że Bóg zrobi tak, żeby było dobrze, nawet jeśli ja nie wiem jak. I tak samo z misjami.

– Macie pewność? – pytam, chociaż znam odpowiedź.

– Mamy.

– Już tak.

Każdy z nich odpowiada za siebie. Dochodzi dwudziesta, żelazna granica. Żegnamy się serdecznie, mamy się więcej nie zobaczyć. Następnego dnia wracam na stały ląd. Nelson z Irizzarym również niedługo się rozstaną, pojadą na inne, mniejsze wyspy z nowy towarzyszem, zostaną powitani przez innego przywódcę społeczności. I rozpoczną godzina po godzinie, dzień po dniu, swoją żmudną wędrówkę między kolejnymi domostwami, chrzcząc i niosąc słowa dawnych proroków.

© JAN RYBICKI

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie o sygn. akt I Ns 225/19 z wniosku Grażyny Kaczmaraczyk o zasiedzenie zabudowanej działki nr 1402/2 o powierzchni 0,0765 ha, położonej w Starym Dzikowie, objętej księgą wieczystą PR1L/00002463/3, w której prawo własności wpisano na rzecz Weroniki Żurowskiej – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do tej nieruchomości, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział i udowodniły swoje prawa do przedmiotu zasiedzenia.

SZYMON

Hołownia: *Armagedon*



Moja żona pracuje jakieś 50 kilometrów od miejsca, w którym ja codziennie załatwiam większość swoich zawodowych spraw. Szukając więc miejsca do zamieszkania, wybraliśmy takie, z którego – jak się wydawało – oboje będziemy mieć do pracy równo blisko. Po pół roku zmagań z porannym wpatrywaniem się w aplikację pokazującą, jak praktycznie od 5.00 rano w tej części warszawskiej aglomeracji zaczynają się tworzyć korki, i ćwiczeniach w podejmowaniu decyzji, czy zdążę jeszcze wypić kawę i coś zjeść, zanim korkowa tragedia zamieni się w Armagedon, zrozumieliśmy, że zamiast równo blisko, oboje mamy teraz do pracy równie daleko.

W przypadku pracy w nienormowanym wymiarze i takiej, w której trzeba jednego dnia być w kilku czy kilkunastu miejscach, oparcie się na transporcie zbiorowym w polskich warunkach nie zawsze jest rozwiązaniem. Z podmiejskiej kolejki korzystam chętnie, gdy muszę dostać się na któryś z warszawskich dworców, by ruszyć koleją gdzieś w Polskę. Często zdarzają się jednak dni, kiedy na przejechanie 30 kilometrów w porannym i popołudniowym szczycie trzeba zakładać po półtorej, a nawet po dwie godziny (w jedną stronę). Proszę mi wierzyć: ja naprawdę z dziką rozkoszą oddałbym się całkowicie w ręce zbiorkomów, gdyby pozwoliły mi na dotarcie do miejsc, do których jeżdżę z autorskimi spotkaniami, w pociągu czy autobusie mając czas na pracę czy zwyczajnie na złapanie tak pożądanego w moim zwariowanym życiu snu. Sprawdzałem tę opcję dziesiątki razy: w zdecydowanej większości przypadków – nie ma możliwości. Sieć publicznych połączeń z trudem obsługuje sytuacje, w których ktoś chce przejechać z miejsca A do B, co dopiero mówić, gdy ktoś – tak jak ja – tego samego dnia z B jedzie jeszcze do C, D, a czasami podróż kończy w E.

Olga Gitkiewicz w wydanej właśnie książce „Nie zdążę” uświadomiła mi skalę problemu na wspomnianym poziomie podstawowym, w relacji A – B. Cytuje opracowania, z których wynika, że w warunkach wykluczenia komunikacyjnego (o różnym w różnych miejscach natężeniu) żyje dziś około 14 milionów Polaków. (To ludzie, którzy, jak pisze Gitkiewicz, „mają wszędzie daleko”). Do jednej czwartej sołectw nie dociera transport publiczny. W 1989 r. koleją podróżowało w Polsce miliard pasażerów rocznie, dziś jest ich o 700 milionów mniej. Gitkiewicz wyruszyła w podróż po kraju pociągami, autobusami, busikami. Opisuje taktyki, jakimi posługiwać się muszą ludzie podróżujący na linii łódzkiej, pracujący w Warszawie, by w godzinach porannego szczytu nie skończyć jako wciśnięte w drzwi pociągu „uszczelki” albo rozpłaszczone na jego szybie „glonojady”. Pokazuje, jakim wyzwaniem jest praca czy szkoła w miejscowości oddalonej od miejsca zamieszkania, gdy przewoźnicy co chwila wprowadzają korekty do rozkładów, dewastując opracowaną właśnie z mozołem domową i zawodową logistykę. Odwiedza te rejony Polski, w których albo masz samochód, albo lepiej żebyś od razu się wyprowadził (pytając, co zrobić z tymi, którzy tam mieszkają, a samochodu nie są w stanie kupić czy prowadzić), bo to nie tylko niewygodne, ale i po prostu niebezpieczne dla życia i zdrowia. Relacjonuje kombinatorykę gmin, które by choć częściowo rozwiązać transportową kwadraturę koła, otwierają na „cywilnych” podróżnych szkolne autobusy. Dramaty niepełnosprawnych dzieci, cierpiących w podróży do szkoły przez na przykład trzy godziny dziennie (bo kierowca, żeby mu się opłacało, musi pozbierać wiele dzieci z rejonu, po czym zdarza się, że zostawia je przy wejściu do klatki schodowej, bo umowę podpisał na „pod dom”, a nie „pod drzwi mieszkania”).

Ma rację Gitkiewicz sugerując, że prawo do sensownego transportu publicznego to dziś nie postulat, a wręcz jedno z praw człowieka. Wszystko od tego zależy – i to, czy będziesz w stanie przez dostęp do edukacyjnych i zarobkowych szans obniżyć współczynnik nierówności, i to, czy będziesz w stanie dojechać do lekarza czy apteki. I twoje uczestnictwo w demokracji, i bezpieczeństwo twoich dzieci, i twoja ekologiczna odpowiedzialność, wszystko. Jak wszyscy wiemy, idea reanimacji transportu zbiorowego tam, gdzie był ostatnio obumarł, była jednym z punktów sławnej „Piątki Kaczyńskiego”. Rzecz w tym, że – jak pisze Gitkiewicz – w chwili oddawania przez nią książki do druku z przeznaczonych na to przez rząd 300 mln zł rozdysponowano 18 mln. Samorządy nie garną się do tych pieniędzy, bo wydanie ich wcale nie jest takie łatwe – obwarowują je inne ustawy. W wielu z nich, tak przynajmniej wynika z cytowanych w książce rozmów z lokalnymi włodarzami, zdaje się nie przeceniać wagi problemu. Bo przecież w końcu większość, postawiona w sytuacji bez wyjścia, i tak sobie samochody, nawet te za parę tysięcy, w wieku niemalże przedśmiertnym, kupi.

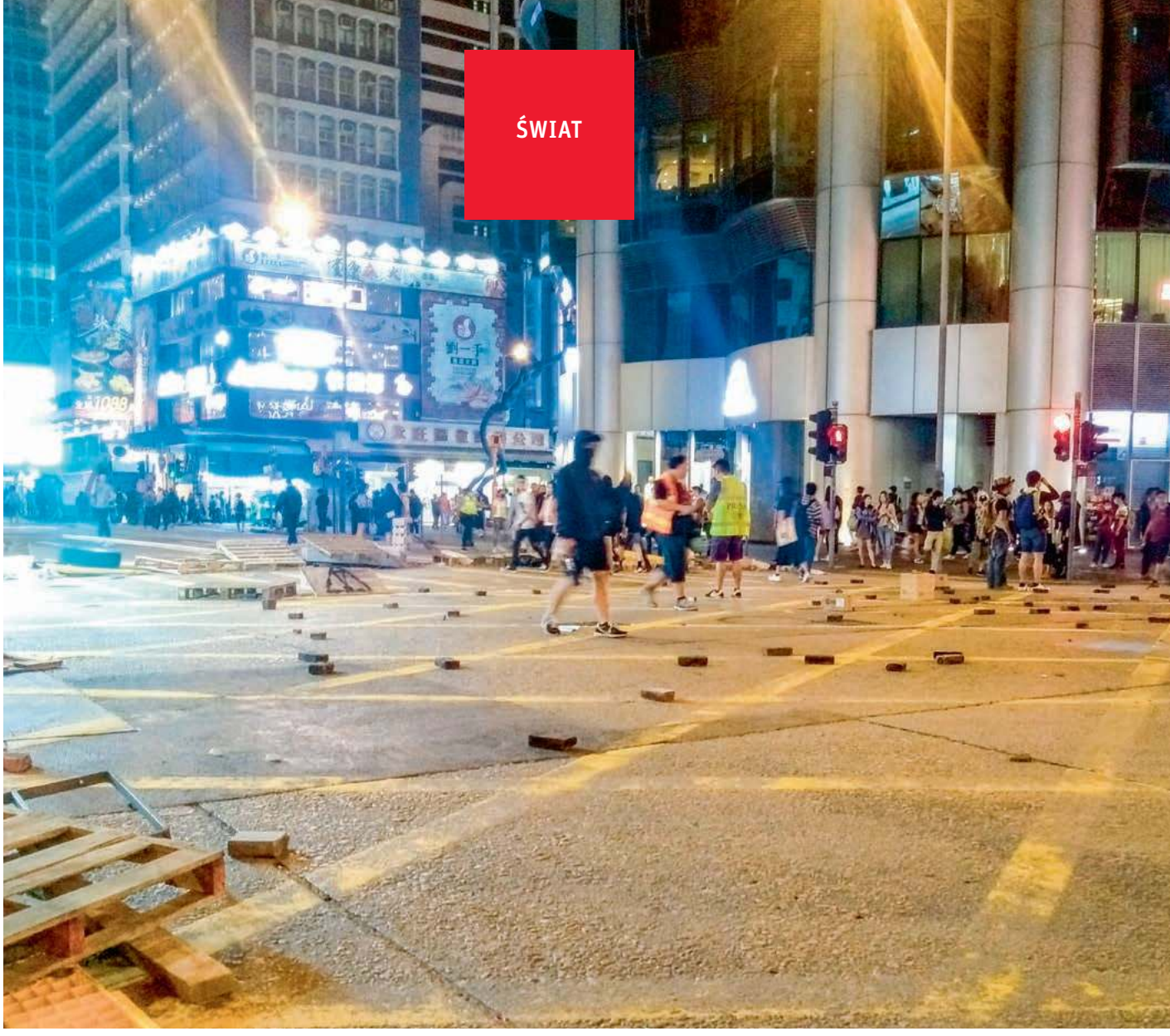
Jeden z moich znajomych zwrócił ostatnio moją uwagę na fakt, do jakiego stopnia czymś oczywistym stały się dla nas budowane w ostatnich latach prawie wszędzie w Polsce na potęgę szybkie drogi. Uznajemy je za coś oczywistego, to naturalne, że powinny być, że są na to pieniądze, że się robią. Ciekawa rzecz, że czymś równie naturalnym nie jest dla nas to, iż sensowność istnienia tych arterii maleje, gdy nie wypełnia ich krew zbiorowego transportu, scalającego naszą wspólnotę sprawnie przenoszącego ludzi z miejsc, w których mieszkają, do tych, w których są potrzebni innym, i do tych, których sami potrzebują. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl



UCIEC OD PRZEZNACZENIA

Najlepsze, co może spotkać Hongkong – i co mieści się w granicach realności – to przedłużenie okresu ochronnego przed ostateczną asymilacją z Chinami.

TEKST I ZDJĘCIA PIOTR BERNARDYN Z HONGKONGU

Komunikat, który mieszkańcy Specjalnego Regionu Autonomicznego wysłali tego dnia do władz komunistycznych w Pekinie – i do władz lokalnych, rządzących z nadania Pekinu – był jeden: chcemy demokracji! Akurat to przesłanie mogli wysłać w sposób pokojowy – głosując w ostatnią niedzielę listopada, w jedynych wolnych tam wyborach do swoich rad dzielnicowych. Zapewniając miażdżące zwycięstwo kandydatom demokratycznym, wypowiedzieli się również na temat tego, co sądzą o protestach, które od miesięcy wstrząsają ich miastem.

Wątpliwe jednak, czy zostaną wysłuchani.

„Śmieci" kontra „psy"

Wynik tych wyborów to także cios dla propagandy Pekinu. Państwowe media i chińscy oficjele starali się bowiem bardzo, aby przekonać własne społeczeństwo i świat, że im gwałtowniejsze są demonstracje w Hongkongu, tym mniejsze mają tam poparcie. Oraz że większość



Cegły wysypywane na ulice to sposób demonstrantów na zatrzymanie ruchu, Hongkong, 8 listopada 2019 r.

mieszkańców Specjalnego Regionu tak naprawdę popiera Pekin, tylko boi się zabierać głos, z obawy przed radykalizmem protestujących.

Uczestnicy protestów, z którymi rozmawiam, nie przeczą, że część z nich dopuszcza się aktów wandalizmu. Twierdzą jednak, że robią to z bezsilności wobec arogancji władz i rosnącej brutalizacji policji. 9 listopada wieczorem w dzielnicy Mongkok, tuż przed hotelem, w którym się zatrzymałem, kilkadziesiąt ubranych na czarno i zamaskowanych osób zdemolowało wejścia do stacji metra, sygnalizację świetlną i witryny chińskich sklepów. Dzień wcześniej zmarł 22-letni student, pierwsza ofiara protestów: uciekając przed policją, spadł z wysokiego piętra miejskiego parkingu. Trwające potem wiele dni zamieszki i okupacja kampusów uniwersyteckich miały być odwetem za tę śmierć i za wcześniejsze postrzelenie innego demonstranta ostrą amunicją.

W czasie walk ulicznych policjanci obrzucają protestujących takimi wyzwiskami jak „karaluchy" lub „śmieci", ci z kolei nazywają policjantów „psami". Wzajemna dehumanizacja sprzyja nakręcaniu agresji. W badaniach opinii (można je tu prowadzić – rzecz w Chinach nie do pomyślenia) aż 51 proc. mieszkańców Hongkongu deklaruje dziś zerowy poziom zaufania do policji. Aż, bo jeszcze w czerwcu twierdziło tak zaledwie 5 proc.

To jeden z elementów dramatu, który rozgrywa się w Hongkongu. Tutejsza policja uchodziła bowiem za najlepszą w Azji: stanowcza, ale nigdy brutalna, uprzejma, apolityczna i od lat wolna od korupcji – dla mieszkańców Hongkongu była to „nasza" policja. Teraz pojawiają się doniesienia, że zaczęła przyjmować polecenia wprost z Pekinu.

A przecież demonstracje mają wymiar przede wszystkim polityczny. Ich stroną nie jest policja, tylko – kontrolowane przez Chiny – lokalne władze Hongkongu. I to od ich decyzji zależeć będzie, jak i kiedy zakończy się ta konfrontacja.

Istota konfliktu

Z perspektywy tych kilku miesięcy widać, jakim błędem było forsowanie przez szefową administracji lokalnej, Carrie Lam, ustawy umożliwiającej ekstradycję do Chin podejrzanych o popełnienie przestępstwa. Sądom chińskim daleko do niezawisłości, Hongkończycy poczuli się więc zagrożeni i zaczęli wychodzić na ulicę. W niedzielę 16 czerwca w demonstracjach wzięło udział dwa miliony ludzi – blisko jedna trzecia populacji miasta.

Kiedy Lam zdecydowała się zawiesić projekt spornej ustawy i nawet wygłosiła przeprosiny, było już za późno. Pokojowe protesty przerodziły się w starcia uliczne, a demonstranci mieli teraz wobec władz kolejne żądania. Najważniejsze z nich dotyczyło wprowadzenia wyborów powszechnych.

Od początku jasne było przecież, że istotą konfliktu nie jest ta czy inna ustawa. Większość mieszkańców Hongkongu chce zachować autonomię wobec Chin, aby chronić swoje prawa i wolności. Zgodnie z umową chińsko-brytyjską o oddaniu Hongkongu autonomia jest bowiem zagwarantowana tylko do roku 2047.

Mieszkańcy uważają, że najskuteczniejszym narzędziem do tego byłaby gwarancja, że wybory lokalnych władz będą w pełni demokratyczne. Tymczasem maksimum tego, na co Pekin dotąd się zgodził, to wprawdzie wybór szefa administracji w głosowaniu powszechnym, ale pod warunkiem, że wcześniej wszyscy kandydaci dostaną aprobatę chińskiego rządu. Hongkończycy uznali to za farsę demokracji – i już w 2014 r. odpowiedzieli protestami. Trwały 79 dni i przeszły do historii jako „rewolucja parasolek" (protestujący używali ich do ochrony przed armatkami wodnymi).

Pekin pozostał nieugięty. O wyborze szefa administracji wciąż zatem decyduje komitet złożony z 1200 osób, w którym dominują nominaci Pekinu i posłuszne mu lokalne lobby biznesowe. Natomiast w Radzie Legislacyjnej– miejscowym parlamencie – tylko połowa jego członków pochodzi z wyborów powszechnych.

Zegar tyka

Chińskie media lubią przypominać, że również Brytyjczycy nie wprowadzili nigdy pełnej demokracji w swojej kolonii. Podobnie mówi ta część mieszkańców Hongkongu, która boi się, że „nadmierne kołysanie łódką" rozdrażni Wielkiego Smoka.

Zarzuty pod adresem Londynu są uprawnione. Ale Hongkong, który 1 lipca 1997 r. powrócił do Chin, miał już wcześniej niezawisłe sądy, wolne media i – poza częściowo tylko wolnymi wyborami – gwarantował swoim mieszkańcom komplet obywatelskich swobód. Wraz z nowoczesną gospodarką tworzyło to w obrębie chińskiej cywilizacji unikalny styl życia, w który Pekin – wedle formuły „jeden kraj, dwa systemy" – obiecał przez pół wieku nie ingerować. Potem – powtórzmy, bo to kluczowa konstatacja – może zrobić z Hongkongiem, co zechce.

Zegar więc tyka. Martin Lee – ikona ruchu demokratycznego w Hongkongu – twierdzi, że okres przejściowy został wymyślony jeszcze przez Deng Xiaopinga – przywódcę ChRL w latach 1978-89, uważanego za zwolennika reform i otwarcia na świat – przede wszystkim z myślą o Chinach. Miały one przez pół wieku stopniowej liberalizacji tak się upodobnić ↦

↦ do Hongkongu, że jego asymilacja stałaby się bezbolesna.

Być może tak było. Dziś wiemy jednak, że Chiny – zwłaszcza pod obecnym przywództwem Xi Jinpinga – poszły przeciwną drogą. Partia komunistyczna przy pomocy coraz nowocześniejszych metod zacieśnia kontrolę nad społeczeństwem i brutalnie asymiluje ludność przyłączonych wcześniej terytoriów: Tybetu, a ostatnio zwłaszcza muzułmańskiego Sinciangu.

Hongkończycy uważnie to obserwują i się boją. Tym bardziej że w ostatnich latach nasilały się incydenty gwałcące ich autonomię – choćby próby narzucania przez Pekin „patriotycznej" edukacji. Z kolei w 2015 r. uprowadzono do Chin pięciu księgarzy sprzedających książki krytyczne wobec komunistycznego reżymu. Zmuszono ich potem w państwowej telewizji do wyznania win.

Trudno się zatem dziwić, że aż 70 proc. Hongkończyków nie odczuwa dumy z bycia obywatelami Chin. Wśród młodych – czyli tych, którzy nadają impet demonstracjom – ten odsetek wynosi 90 proc.

Dla Xi Jinpinga, który tworzy Chiny swoich marzeń, te procenty muszą boleć. Podobnie jak widok protestujących, którzy niosą flagi USA i Wielkiej Brytanii czy nawet wizerunek Donalda Trumpa.

Poczucie odrębności

Mieszkańcy Hongkongu coraz mniej czują się Chińczykami. Taką tożsamość wskazuje dziś tylko 10 proc. społeczeństwa (spadek o połowę wobec 2017 r.), a 53 proc. uważa się za Hongkończyków (wzrost o 13 proc.); reszta godzi jedną tożsamość z drugą.

Umacnianie się własnej odrębności wynika z poczucia chińskiego zagrożenia, w tym z faktu, że fizyczna obecność Chin w Hongkongu staje się coraz bardziej widoczna. Obok turystyki i napływu kapitału codziennie 150 Chińczyków dostaje prawo pobytu w Hongkongu. Część dotychczasowych miejszkańców widzi w tym długofalowy zamysł wypłukania ich kultury; inni twierdzą, że starzejący się Hongkong potrzebuje świeżej krwi. Jednak nowi mieszkańcy nie chcą się uczyć kantońskiego i przynoszą własne obyczaje.

Miejscowi internauci bawią się w zgadywanki: jak rozpoznać na ulicy Chińczyka? Po tym, że załatwia potrzeby fizjologiczne w miejscach publicznych, że nie przestrzega przepisów, że jest głośny albo kiepsko się ubiera.

Zabawy te podszyte są poczuciem wyższości i ksenofobią Hongkończyków. Widać to zwłaszcza w czasie obecnych protestów, gdy na ulicy lub w metrze można zostać skarconym za używanie mandaryńskiego. Studenci z Chin skarżą się, że niełatwo im nawiązywać przyjaźnie w Hongkongu. Część z nich, w poczuciu zagrożenia, wraca właśnie do domu.

Publicysta Alex Lo z „South China Morning Post" widzi w tym ślady kolonializmu. Mieszkańcy Hongkongu postrzegają siebie w określonej hierarchii: na równi albo tylko trochę niżej od białych, ale wyraźnie powyżej Chińczyków z interioru, którzy im nie imponują, i również z tego powodu nie chcą być przez nich rządzeni. Na jeszcze niższym szczeblu drabiny sytuują się biedni Azjaci z Filipin czy Indonezji. Lo określa to zjawisko „hierarchią barbarzyńców" – dodając, że nie jest ono obce także ludziom Zachodu. Choć tam istnieje „kulturowe przywiązanie do ideału równości", którego brakuje w Azji.

Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej. W październiku uderzony w twarz został młody mężczyzna z Chin, który krzyknął do protestujących: „Wszyscy jesteśmy Chińczykami!". Ten człowiek nie był jednak „ubogim krewnym z prowincji", lecz pracownikiem znanego banku inwestycyjnego JPMorgan. Nawet jeśli demonstranci tego nie wiedzieli, można ten incydent potraktować symbolicznie.

W roli pośrednika

W Hongkongu mieszka też bowiem coraz więcej Chińczyków wyłamujących się stereotypom. To absolwenci znanych uniwersytetów zatrudniani przez globalne korporacje, z których coraz więcej ma chiński kapitał. W 2016 r. ta w większości młoda chińska elita liczyła 77 tys. ludzi.

Miejscowi czują się zatem coraz mniej u siebie, nie mają jednak żadnego wpływu na zachodzące zmiany, bo ważne decyzje zapadają ponad ich głowami.

Rosną też ich obawy o utrzymanie statusu gospodarczego Hongkongu. Wciąż jest to jedno z bogatszych miejsc na ziemi, ale w zgodnej opinii złoty okres rozwoju miasta przypadł na lata 1980-97. Hongkong pełnił wtedy funkcję „wrót do Chin", wprowadzających właśnie reformy rynkowe. Tędy płynął kapitał inwestycyjny, a wielu lokalnych biznesmenów zbiło fortuny w Chinach, wykorzystując dobre układy z partią komunistyczną.

Dziś Hongkong wciąż zarabia na roli pośrednika. Zachodnie korporacje lubią tu inwestować – przyciąga je czytelność przepisów, rządy prawa i łatwość obrotu walutą. Jednak punkt ciężkości gospodarczej przesuwa się stopniowo do chińskiego interioru. Wraz ze wzrostem znaczenia takich ośrodków jak Szanghaj czy Szenczen (Shenzhen), rola Hongkongu maleje.

Jeśli Pekin – kierując się motywami politycznymi – zechce upokorzyć Hongkong, może próbować ten proces przyspieszyć.

Wierni i apolityczni...

„Oni niech sobie dalej tańczą i grają na wyścigach konnych" – miał uspokajać Brytyjczyków Deng Xiaoping w czasie negocjacji nad zwrotem Hongkongu. Oznaczało to, że wszystko zostanie po staremu: demokracji im nie damy, ale będą robić to, co lubią najbardziej, czyli zarabiać pieniądze i z nich korzystać.

Opinie o apolityczności Hongkończyków były długo podtrzymywane przez Brytyjczyków. „Ich obojętność na wszystko, co związane z życiem publicznym, jest niewiarygodna" – pisał Reginald Stubbs, gubernator Hongkongu w latach 1919-25. Podobne cytaty znaleźć można jeszcze w latach 90. XX w.

Londyn zarządzał miejscową ludnością za pośrednictwem kilku bogatych chińskich rodzin. Ludzie ci, wykształceni zwykle na elitarnych uniwersytetach Zachodu, wiernie służyli kolonizatorom. Gdy okazało się, że powrót do Chin jest nieunikniony, gładko przeszli na współpracę z komunistami, którzy zagwarantowali im utrzymanie wpływowej pozycji. Z tych kręgów wywodzi się rządząca od 1997 r. lokalna elita, która – nie trzeba chyba dodawać – na wprowadzeniu demokracji raczej by nie zyskała.

Jednak czy owa „apolityczność" Hongkongu była w przeszłości tylko wymówką dla autorytarnych rządów obcej i tubylczej elity? Wszak przez większość okresu kolonialnego trudno odnaleźć tu znaczące ślady opozycji demokratycznej. Wynikało to jednak przede wszystkim ze struktury społecznej Hongkongu: nie-

zakorzenionej, zasilanej ciągłą imigracją z Chin – zwłaszcza po 1949 r., gdy władzę objęli tam komuniści.

Przybysze, z których część emigrowała dalej, traktowali Hongkong zrazu jako schronienie. Ich pierwszym odruchem po przyjeździe nie była polityka. Chcieli stanąć na nogi, zapewnić rodzinie byt w warunkach i tak o niebo lepszych niż te, które zostawili za sobą. Za to byli wdzięczni.

...ale do czasu

Aby jakaś wspólnota wytworzyła tożsamość polityczną, potrzebna jest ciągłość: przeszłość i przyszłość. Tymczasem w Hongkongu odsetek mieszkańców urodzonych już na miejscu przekroczył połowę dopiero w 1981 r. I dopiero te nowe pokolenia traktują Hongkong w pełni jako swoje miejsce na ziemi.

Dla młodych Hongkończyków – inaczej niż dla ich rodziców i dziadków – punktem odniesienia nie jest chińska bieda czy szaleństwa komunistów (jak rewolucja kulturalna), lecz to, jak żyją i z jakich swobód korzystają mieszkańcy Londynu czy Vancouver. Dlatego nie traktują oni demokracji jako luksusu. Linia dzieląca generacje widoczna jest i dziś, gdy rodzice potrafią wręcz wyrzec się dzieci angażujących się w protesty.

Ci, którzy sądzili, że typowy mieszkaniec Hongkongu nie interesuje się polityką, są zatem zaskoczeni skalą dzisiejszych demonstracji.

Ich przyczyn dopatrywać się jednak można w czymś jeszcze: także w sytuacji ekonomicznej mieszkańców. Dwa wskaźniki wystarczą, by zilustrować problem. Mieszkania w Hongkongu, w stosunku do dochodów, są najdroższe na świecie, a absolwenci uczelni wyższych zarabiają tu dziś mniej niż 30 lat temu. Dorzucić można wielkie rozwarstwienie społeczne. Cierpią na tym głównie ludzie wchodzący w życie zawodowe, w dorosłość, zmuszeni gnieździć się w klitkach z rodzicami. Ich frustracja jest uzasadniona.

Przyczyny gniewu

Można próbować to zmienić choćby przez budowę tanich mieszkań publicznych. Do tego potrzebne są jednak grunty, które są w posiadaniu kilku wielkich deweloperów. Oni zaś wolą budować drogie apartamenty, w które lokuje np. chiński kapitał spekulacyjny, albo



Karykatura Carrie Lam, szefowej administracji Hongkongu, listopad 2019 r.

Jeśli Hongkong nie pogrąży się w chaosie albo nie ogłosi niepodległości, **powtórka masakry z placu Tiananmen jest mało prawdopodobna.**

nie budować w ogóle i dzielić istniejące małe mieszkania na jeszcze mniejsze, by wynajmować je za coraz wyższe stawki. Tylko decyzja polityczna mogłaby złamać ten monopol. Kłopot w tym, że za deweloperami stoją te same rodziny, które – z poparciem Chin – sprawują władzę w Hongkongu. I tak koło się zamyka.

Wynika z tego, że tylko demokracja mogłaby ulżyć kłopotom życiowym mieszkańców. Albo – wycofanie poparcia Pekinu dla obecnych elit.

Chińskie media mówią ostatnio o „praprzyczynie" problemu mieszkaniowego. „Dla dobra ogółu czas najwyższy, aby deweloperzy okazali swoją moralność, zamiast troszczyć się tylko o własny interes i gromadzić grunty, żeby wycisnąć z ludzi ostatni grosz" – pisze „People's Daily", anglojęzyczna tuba partyjna.

Pytani o powód swojego gniewu, protestujący i tak jednak dopiero na trzecim miejscu wymieniają ceny mieszkań. Dużo więcej wskazań uzyskał brak zaufania do Pekinu, a potem do własnego rządu.

Lekcje z historii

Nie ma dziś łatwych rozwiązań dla Hongkongu.

Protestujący walczą o demokrację, której Chiny Xi Jinpinga nie chcą im dać. Trudno nawet teraz o uspokojenie nastrojów i próbę nawiązania dialogu między stronami sporu. Pozycja Carrie Lam, zwłaszcza po ostatnich wyborach, jest bardzo słaba i nikt już właściwie nie darzy jej sympatią. Pierwszym krokiem do odbudowy ładu społecznego byłoby wyznaczenie na jej następcę kogoś bardziej samodzielnego, budzącego zaufanie.

W dłuższej perspektywie Chiny będą próbowały zapewne wcielić Hongkong w projekt o nazwie „Greater Bay Area" – czyli supernowoczesną megalopolis złożoną z kantońskich miast, mającą rywalizować z amerykańską Doliną Krzemową. Byłby to koniec wyjątkowej pozycji Hongkongu.

Pocieszeniem może być to, że o ile miasto nie pogrąży się całkiem w chaosie albo nie ogłosi niepodległości, rozwiązanie w stylu masakry na placu Tiananmen w 1989 r. jest mało prawdopodobne. Zniszczenie jednego z centrów finansowych świata, w którym także krewni komunistycznych notabli ulokowali miliardy dolarów, wydaje się ceną zbyt wysoką nawet dla Chin Ludowych.

Najlepsze, co mogłoby spotkać dziś Hongkong, a co wciąż mieści się w granicach realności, to przedłużenie okresu ochronnego przed ostateczną asymilacją z Chinami. W nadziei, że to jednak Chiny upodobnią się do Hongkongu, a nie na odwrót. Szanse na to są dziś znikome.

Jednak z drugiej strony niegdyś, przed ponad 70 laty, mało kto przewidywał, że grupki komunistów obejmą władzę w całym kraju. Albo wcześniej, że w 1911 r. rewolucjoniści obalą cesarstwo, aby utworzyć republikę.

Ci ostatni knuli, jak odnieść zwycięstwo, daleko od centrum kraju – w Hongkongu.

© PIOTR BERNARDYN

Autor jest stałym współpracownikiem „Tygodnika"; mieszka w Tokio, skąd podróżuje po Azji. Wydał: „Słońce jeszcze nie wzeszło. Tsunami. Fukushima". Obecnie przygotowuje książkę o wydarzeniach w Hongkongu.

Jeszcze żyje Ukraina!

JUSTYNA MIELNIKIEWICZ, FOTOGRAFKA:

Mam przekonanie celowości tego, co robię, to jest kwestia odpowiedzialności za historie usłyszane i zobaczone.

Dlaczego Ukraina, i co skłoniło Cię, by tam pojechać?

JUSTYNA MIELNIKIEWICZ: W roku 2008 fotografowałam historie Kozaków prorosyjskich i Tatarów proukraińskich na Krymie. Wtedy zaczęłam się zastanawiać, jak odpowiedzieć na pytanie, skąd bierze się to rozerwanie historii i geografii tego kraju. I dopiero pod koniec drugiego Majdanu w 2014 r. zaczęłam realizować swój pomysł, myśląc o nim jako o Ukrainie, a nie tylko o Majdanie czy o wojnie – ale o Ukrainie właśnie, gdzie te dwa wydarzenia, które znamy z newsów, są tylko częścią opowieści.

News traktujesz w szczególny sposób. Zdjęcia zamieszczone w Twojej książce „Ukraine runs through it" („Ukraina przez to przechodzi") mówią o tym, co się wydarzyło tuż przed i po, oraz o tym, co się dzieje dziś na Ukrainie.

Na początku chciałam pokazać Ukrainę bez codziennej polityki, bez konfliktu, bez wojen; to miały być spokojne historie. Ale po Majdanie i aneksji Krymu wiedziałam, że będę musiała pokazać codzienność konfliktu.

Czy Twoi bohaterowie widzieli już te fotografie?

Jeszcze nie. Niektórym wysyłam pojedyncze kadry, cieszą się i wstawiają je nawet jako swoje zdjęcia profilowe. Koncepcja tego projektu opiera się na kilku osobach.
Poprzez ich życie chciałam pokazać, co się wydarzyło i jaki to miało na nich wpływ.
Anię, ochotniczkę opiekującą się żołnierzami, sfotografowałam w chwili, gdy dzwonił do niej kolega z frontu, w momencie, kiedy się wycofywali, dużo ich wówczas zginęło. Dwie Romki znad Dniepru mimo wojennej zawieruchy trwają jednak w codziennym życiu i spokoju. A dziewczyna przytulająca się do chłopaka – to Lena i Denis z Doniecka. Ona mieszka teraz sama w Kijowie.

Jak sobie radzisz z cudzym cierpieniem?

Mam przekonanie o celowości tego, co robię, to jest kwestia odpowiedzialności za historie usłyszane i zobaczone. I jeśli mój przekaz idzie dalej, wtedy mam poczucie satysfakcji. I Prawdy. Prawda jest tym pojęciem, do którego zmierzam, by opowiadać o Ukrainie, która tak naprawdę dziś już nikogo nie obchodzi.

©℗ Rozmawiała GRAŻYNA MAKARA







POWYŻEJ:
Symferopol, listopad 2008 r.
Warwara Nikołajenko na scenie, w roli pionierki podczas premiery sztuki „Drogi Stalina", która upamiętnia ofiary Wielkiego Głodu z lat 1932-1933.

OBOK: Odessa, 2015 r.
Amina Okujewa pozuje do zdjęcia w swoim małym mieszkaniu podczas urlopu z wojska. Zginęła w zamachu w październiku 2017 r.

NA SĄSIEDNIEJ STRONIE:
Dniepropietrowsk – nazwa zmieniona na Dniepr, kwiecień 2014 r.
Dwie romskie siostry, Rusłana (16 lat) i Milana (19 lat), na wieczornym spacerze wzdłuż brzegu Dniepru.

↦







↦ **ZGODNIE Z RUCHEM ZEGARA:**

Jenakijewe, kwiecień 2014 r. Lena i Denis na zjeździe separatystów przed magistratem. Denis wziął później udział w ataku na ten urząd.

Krym, listopad 2018 r. Dmitri, z Lwowa, na swoim koniu Sułtanie ćwiczy tradycyjny kozacki styl jazdy.

Centrum Kijowa, luty 2015 r. Mieszkańcy oglądają ekspozycję zebranych z frontu donbaskiego resztek uzbrojenia, w rocznicę walk na Majdanie.



JUSTYNA MIELNIKIEWICZ zaczynała jako reporterka w krakowskiej „Gazecie Wyborczej". Dziś jako „wolny strzelec" realizuje projekty związane z Kaukazem, Ukrainą czy Osetią. Publikowała w „The New York Times", „Monocle", „Stern" czy „Le Monde". W 2009 r. otrzymała drugą nagrodę w konkursie World Press Photo za zdjęcia dokumentujące wojnę w Osetii Południowej. Od 30 listopada, w warszawskim Instytucie Fotografii Fort, można zobaczyć jej wystawę „W Ukrainie" z ostatniego projektu „Ukraine runs through it".

Gilotyna nad „Skałą”

KATARZYNA MOŁONIEWICZ
Z GIBRALTARU I LA LÍNEA DE LA CONCEPCIÓN

To miejsce łączą z Hiszpanią niezliczone zależności. Gdy Wielka Brytania opuści Unię Europejską, rozdzieli je granica. Jak poradzi sobie z tym gospodarka? A jak ludzie?

Skalista enklawa Zjednoczonego Królestwa na południu Półwyspu Iberyjskiego afiszuje swoją brytyjskość czerwonymi budkami telefonicznymi, dwupiętrowymi autobusami i charakterystycznymi hełmami policjantów, miejscowych *bobbies*.

Zwrócona ku morzu „Skała” – jak nazywają to miejsce – plecami przyklejona jest do swojej syjamskiej siostry: hiszpańskiego miasta La Línea de la Concepción.

Ruch jest (jeszcze) płynny

Gibraltar budzi się wcześnie. Budzi się, można by powiedzieć, nie we własnym łóżku.

O szóstej rano przed barem „Jezus”, po hiszpańskiej stronie granicy, stoją już grupki ludzi. Jest ciemno. Za chwilę podniesie się żaluzja i rozpocznie rytuał andaluzyjskiego śniadania. Grzechot mielonej kawy. Szum maszyny wyciskającej pomarańcze na sok. Zamówienia wykrzykiwane na całe gardło nad głowami klientów. Swąd oliwy z metalowej kadzi, w której gruby barman opasany czarnym fartuchem smaży chrupiące ciastka *churros*.

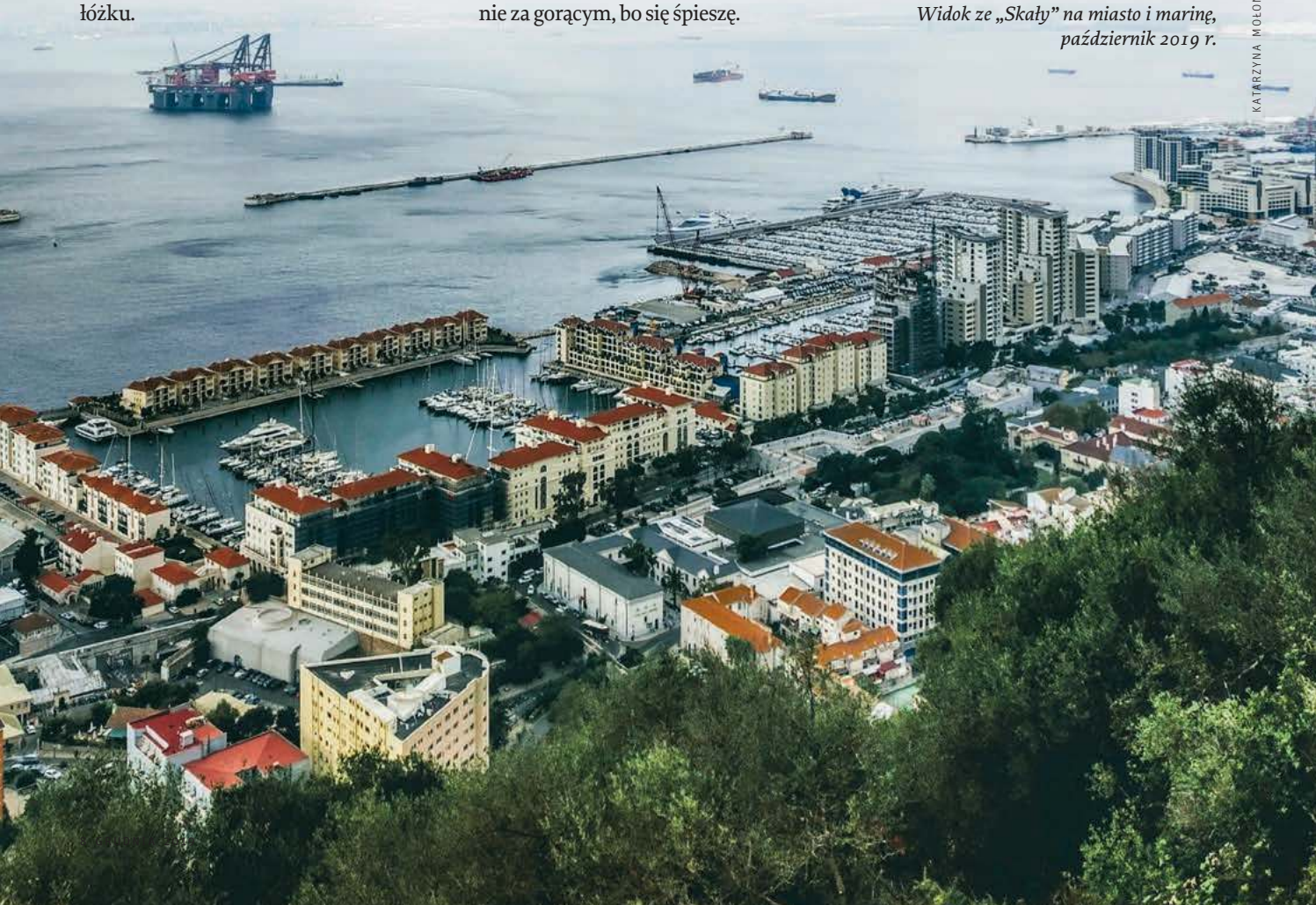
– Ta kanapka to wam dzisiaj wyszła cieńsza niż bibułka do papierosa.

– Dla mnie to, co zwykle: chleb z czerwonym smalcem i kawa z mlekiem. Ale nie za gorącym, bo się śpieszę.

Chwila relaksu w domowym cieple baru Jezus, rachunek uiszczony w brzęczącej monecie i można biec do pracy. Każdego ranka dziesięć tysięcy ludzi z La Línea i okolic przekracza granicę między Hiszpanią a zamorskim terytorium Zjednoczonego Królestwa. W Gibraltarze kładą rury, kopią tunele, obsługują dźwigi, sprzątają domy i biura, smażą słynne angielskie *fish and chips*.

Ruch na granicy jest płynny. Rowery, motocykle, elektryczne hulajnogi ledwie zwalniają przy punktach kontrolnych. Piesi machają dowodem lub przykładają go do automatycznych czytników. Brytyjski policjant mechanicznie powtarza: „*Documents por aqui, please*”.

Miasto odgrodzone jest od granicy lotniskiem, wygospodarowanym na wąskiej przestrzeni przesmyku. Gdy samolot do Londynu lub Casablanki rozpędza się na pasie startowym, strumień ludzi i pojazdów czeka przed szlabanem. Podmuch wzbudzony przez airbusy mierzwi włosy i zrywa czapki. ↦



Widok ze „Skały” na miasto i marinę, październik 2019 r.

KATARZYNA MOŁONIEWICZ

Kamień w hiszpańskim bucie

↦ Premier Felipe González powiedział kiedyś, że Gibraltar jest dla Hiszpanii wiecznie uwierającym kamieniem w bucie. Uwiera tak od 1704 r., gdy flota brytyjsko-holenderska zajęła uwieńczony potężną skałą skrawek ziemi. Ta skała to jedna z kolumn Herkulesa antycznego świata, terytorium graniczne na styku Morza Śródziemnego i Oceanu Atlantyckiego, Europy i Afryki. Bastion, przedmurze, a jednocześnie, według hiszpańskiego intelektualisty Joaquina Costy, „drzwi łączące dwa pokoje w tym samym domu".

Zajęcie Gibraltaru było epizodem hiszpańskiej wojny sukcesyjnej, do której wtrąciły się europejskie mocarstwa. Brytyjczycy i Holendrzy popierali Habsburgów, a Francuzi, jak można było się spodziewać, Burbonów. Choć w efekcie to burbońskie nosy będzie malował nadworny artysta Francisco de Goya, Brytyjczycy nie wycofają się już z Gibraltaru, a pokój podpisany w 1713 r. w Utrechcie przypieczętuje ten stan rzeczy.

Hiszpania nie pogodziła się nigdy z postanowieniami tego traktatu. Wielokrotnie próbowała odzyskać Gibraltar z lądu i z morza. Wielkie Oblężenie trwało od 1779 do 1783 r. Obrońcy kryli się w tunelach wykutych w skale, które do dziś można zwiedzać za 13 funtów. Brytyjska flota znalazła lukę w hiszpańskiej blokadzie i ośmieszyła armię wielkonosego króla Karola III, a Mozart skomponował pieśń na cześć dzielnych obrońców.

Okazję do odzyskania „Skały" dała Hiszpanii II wojna światowa. Gibraltar był kluczem do panowania na Morzu Śródziemnym. Klucz ten znajdował się, co prawda, w rękach Wielkiej Brytanii, ale ta nie dałaby rady go utrzymać, gdyby Hiszpania przystąpiła do wojny u boku Hitlera. Plan führera zakładał zajęcie „Skały" przy współpracy Hiszpanii. Ale choć dyktator Francisco Franco nie chciał Brytyjczyków w Gibraltarze, to nie przekonywała go wizja przemarszu niemieckich dywizji przez Półwysep Iberyjski. Lawirował i zapewniał Hitlera, że oba narody „zmierzają, na zawsze zjednoczone, ku historycznej misji", stawiał warunki. Po rozmowie z wykrętnym Galisyjczykiem na dworcu w Hendaye Hitler powiedział, że gdyby miał znowu przejść przez to samo, wolałby, żeby mu wyrwali trzy lub cztery zęby.

Gibraltar szykował się do obrony. Kilometry, a raczej mile nowych tuneli dziurawiły wapienną skałę. Powstało podziemne miasto z zapasami żywności na 16 miesięcy, szpitalem, stacją uzdatniania wody, generatorami prądu. Ale do ataku nie doszło. Hiszpania wykręciła się wysłaniem na front wschodni złożonej z ochotników Błękitnej Dywizji i do wojny nie przystąpiła, a Churchill oświadczył niespodziewanie w Izbie Gmin, że Franco „wyświadczył przysługę Zjednoczonemu Królestwu i Imperium Brytyjskiemu".

„Skała" pozostała brytyjska, a kamień w bucie dalej uwierał.



KATARZYNA MOŁONIEWICZ

„Ceremonia kluczy" upamiętnia czasy, gdy bramy Gibraltaru zamykano przed wrogami, 5 października 2019 r.

Gdy Gibraltar był wyspą

Szefa hiszpańskiego MSZ Fernanda Castiellę nazywano ministrem sprawy zagranicznej. Bo jedyną sprawą, która go naprawdę zajmowała, było odzyskanie Gibraltaru. Zapewniał Franco, że „Skała" spadnie mu w ręce jak dojrzały owoc.

Rezolucje ONZ z lat 60. potwierdziły status kolonialny Gibraltaru. W odpowiedzi Brytyjczycy nadali „Skale" konstytucję i zorganizowali referendum, w którym wzięli udział niemal wszyscyv uprawnieni. Za przyłączeniem do Hiszpanii zagłosowały 44 osoby. Zgodnie z hiszpańskim przysłowiem, że lepiej być ogonem lwa niż głową myszy, Gibraltarczycy wybrali imperialnego brytyjskiego lwa, a nie hiszpańską mysz, w dodatku biedną i kościelną. Wielokulturowe i wielorelig ijne społeczeństwo Gibraltaru, którego



MARCELO DEL POZO / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Brytyjska budka telefoniczna na ulicach Gibraltaru, jesień 2019 r.

elitą byli sefardyjscy Żydzi, wykrzyczało jednogłośne „nie" frankistowskiej dyktaturze, promującej model państwa o jednym języku i jednej religii. W odpowiedzi, w 1969 r., Franco zamknął granicę. Decyzją tą rozerwał gęsto utkany splot więzów rodzinnych, gospodarczych, emocjonalnych. Areszt domowy Gibraltarczyków miał trwać 13 lat.

Francisco Oda, socjolog pochodzący z La Línea, wspomina: – Chodziliśmy pod granicę co niedzielę. Poszliśmy również w dniu mojej komunii. Miałem na sobie biały garniturek. Tata podniósł mnie na tyle wysoko, żeby zobaczyli mnie ciocie i wujkowie, którzy stali po drugiej stronie, w Gibraltarze, o jakieś 150 metrów od nas.

Takie sceny miały miejsce codziennie. *Llanitos*, jak nazywani są mieszkańcy Gibraltaru, mieli po hiszpańskiej stronie bliskich. Ludzie zdzierali gardła, krzycząc w dłonie zwinięte w trąbki, pożyczali sobie lornetki. Świadkami tych spotkań byli policjanci obu nacji. Rozmowy w rodzinnym gronie przypominały więzienne widzenia pod okiem strażników.

– Conchicie urodził się syn!

– Cooo?

– Syyyn!

– Babci wykryto guz w piersi!

– Pepe idzie w tym roku do szkoły!

Z centrum Gibraltaru do centrum La Línea idzie się spacerem ok. 20 minut. W latach 1969-82 ta droga zajmowała cały dzień, o ile nie więcej. Promem z Gibraltaru płynęło się do Tangeru w Afryce. Z Tangeru znów promem do Algeciras w Hiszpanii. Z Algeciras taksówką do La Línea. Trzy kontrole graniczne i celne. I wroga biurokracja policjantów. Były przypadki, że pogrzeb dawno się skończył, a syn czy wnuczka jeszcze nie dojechali.

Asunción Barranco, szefowa Biura ds. Gibraltaru w ratuszu w La Línea: – Mój dziadek miał salon krawiecki, szył suknie dla bogatych Gibraltarek. Gdy zamknięto granicę, nagle został bez środków do życia, bo tu ludzie byli zbyt biedni, by zamawiać u niego ubrania. Wyjechał do Walencji i tam zatrudnił się jako pomocnik krawiecki. Inni powyjeżdżali za granicę, do Anglii, Niemiec. Dyktator tupnął nogą i zamknął granicę, ale nie zatroszczył się o ten rejon. Chciał wziąć Gibraltar głodem, ale to nas skazał na głód. Zaczęła się masowa emigracja. A krajem, który przyjął najwięcej emigrantów z La Línea, była Wielka Brytania. Czyli wyszło tak, jakby granicę przesunięto o parę tysięcy kilometrów. To był kompletny absurd. W efekcie ani Gibraltarczycy nie zapragnęli stać się Hiszpanami, ani Hiszpania nie odzyskała swojej Skały, ani nie nastąpił rozwój regionu. Trudno sobie wyobrazić większą porażkę.

La Línea opustoszała, ludzie rozjechali się za chlebem. Za to w Gibraltarze zabrakło rąk do pracy: z dnia na dzień zniknęli piekarze, rzeźnicy, dostawcy ryb. Zabrakło też podstawowych produktów. Wszystko, łącznie z wodą pitną, musiało przypływać na statkach z Wielkiej Brytanii. W przeciwieństwie do władz frankistowskich, rząd brytyjski zadbał o swoich obywateli z zamorskiego terytorium. Gibraltarskie dzieci przyzwyczaiły się do konserw. Narodziło się też silne poczucie tożsamości i wspólnoty w społeczeństwie o wielkiej różnorodności etnicznej i kulturowej, którego obywatele pochodzili z Malty, Genui, Maroka, Pakistanu, Indii, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii...

Granicę otwarto w 1982 r., gdy Hiszpania pukała do drzwi Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

Od majtek do kryptowalut

Alfredo zginął 1 października 2019 r. Motorówka, którą przemycał papierosy, zderzyła się z łodzią gibraltarskiej straży przybrzeżnej. Usłyszę potem: – To był dobry ojciec, musiał zarobić na rodzinę.

Kontrabanda ma w okolicy długą tradycję. Przez lata z Gibraltaru do Hiszpanii szmuglowano kawę, cukier, penicylinę, nylonowe majtki, pigułki antykoncepcyjne. Hiszpańscy pracownicy, marnie opłacani w brytyjskiej kolonii, dorabiali drobnym przemytem. Dzieląc się sprawiedliwie z policjantami.

Potem zaczął się biznes na wielką skalę: papierosy. Do dziś Gibraltar sprowadza ich tyle, że gdyby chodziło o własne potrzeby, to każdy z 35 tys. mieszkańców, z niemowlętami włącznie, musiałby wypalać dziennie 11 paczek. Papierosy wypływają z gibraltarskiego podatkowego raju i zalewają okolicę na szkodę hiszpańskiego skarbu państwa.

Ale nie tylko papierosom Gibraltar zawdzięcza swój dwucyfrowy wzrost gospodarczy.

Magnesem dla firm stał się wyjątkowy status prawny brytyjskiej kolonii, która łączy korzyści raju podatkowego z przywilejami wspólnego europejskiego rynku. Gibraltar potrafi też szybko reagować na biznesy wschodzące, które w wielu krajach Unii nie doczekały się jeszcze ram prawnych.

W szklanych wieżowcach nad zatoką zainstalowały się więc tysiące firm specjalizujących się w zakładach bukmacherskich online, w handlu kryptowalutami, w inwestycjach finansowych, usługach bankowych i ubezpieczeniowych. ↦

↦ Nad transakcjami czuwa rzesza adwokatów i kreatywnych księgowych.

Zamorskie terytorium Zjednoczonego Królestwa dostrzegło też biznesową okazję w ekspresowych ślubach. Minimum formalności, maksimum udogodnień. Odkryli to już John Lennon i Yoko Ono. O ich ślubnych perypetiach opowiada „Ballad of John and Yoko", zakazana przez frankistowską cenzurę za słowa „w Gibraltarze, obok Hiszpanii ". Sean Connery wypowiedział tu „*Yes*" nawet dwukrotnie. Pary, jedno- lub dwupłciowe, mogą wybrać na miejsce ceremonii najbardziej bajkowe z gibraltarskich scenerii. Jedyny wymóg stawiany przez gibraltarskie władze to faktura za jedną noc w hotelu. Noc poślubną.

Gibraltarczycy czerpią pełnymi garściami z korzyści, jakie oferuje społeczeństwo dobrobytu. Mieszkają w dotowanych przez rząd apartamentach, posyłają dzieci do bezpłatnych szkół, jeżdżą za darmo komunikacją miejską, cumują żaglówki w dotowanej miejskiej marinie. Korzystają również bez ograniczeń z dobrodziejstw hiszpańskiego sąsiedztwa: rozległych plaż, wyjątkowej kuchni, nowoczesnych autostrad, dobrze wyposażonych szpitali.

Rozpędzona gospodarka Gibraltaru może jednak w jednej chwili runąć. Widmo brexitu wisi nad regionem jak burzowa chmura. Te dwie sylaby, które *llanitos* wypowiadają cicho i niechętnie, niosą niepewność i strach.

Scenariusz zły lub gorszy

24 czerwca 2016 r., dzień po referendum w sprawie brexitu, jednym z najczęściej poszukiwanych haseł w angielskim internecie było „Gibraltar". Mniej zorientowani obywatele Zjednoczonego Królestwa szukali na mapie regionu wyborczego o mało angielskiej nazwie, w którym 96 proc. głosujących opowiedziało się za pozostaniem w Unii.

James Netto, były wielokrotny minister w lokalnym rządzie Gibraltaru, wyznacza mi spotkanie w Café Modelo, w La Línea. – Nie trzeba wcale zamykać granicy, żeby nastąpiła katastrofa – tłumaczy. – Wystarczy, że wydłuży się procedura, zacznie się sprawdzanie aut i trzeba będzie stać w długich kolejkach, by wyjechać z Gibraltaru lub do niego wjechać. Czy gibraltarski przedsiębiorca, który oczywiście woli mieszkać w willi na Costa del Sol, będzie skłonny tracić codziennie kilka godzin na dojazd? Jest bardziej prawdopodobne, że przeniesie firmę na Maltę albo do Ceuty czy Melilli, które już szykują ułatwienia prawne. A co się stanie z zatrudnionymi tu cudzoziemcami, nie tylko Hiszpanami? Większość z nich wcale w Gibraltarze nie mieszka i co rano przekracza granicę.

W sobotni wieczór Café Modelo pełna jest *llanitos* popijających białym winem andaluzyjskie *tapas*. – W Gibraltarze trauma izolacji jest bardzo silna – opowiada James Netto. – Zamknięcie granicy w 1969 r. pogrążyło Hiszpanię w oczach Gibraltarczyków. Wielu moich rodaków wciąż uważa Hiszpanów za podstępnych i nieobliczalnych. Gdy zamieszczę na Facebooku komentarz krytyczny wobec rządu w Londynie, to nie ma specjalnej reakcji, a jak skrytykuję jakąś decyzję hiszpańską, natychmiast mam setki lajków i udostępnień. Paradoksalnie, choć brexit był inicjatywą brytyjską, Gibraltarczycy przenoszą winę za jego nie do końca wiadome skutki na Hiszpanię. A scenariusz brexitu, miękki czy twardy, dla nas będzie albo zły, albo bardzo zły.

Darek, zatrudniony w Gibraltarze architekt z Polski: – W firmie budowlanej, w której pracuję, połowę ekipy stanowią Hiszpanie, a drugą połowę Rumuni. Wszyscy mieszkają w La Línea. W Gibraltarze nie chodzą nawet na kawę, a obiad przynoszą w termosie. Moi rumuńscy koledzy śmieją się, że w razie czego mają już zlokalizowane dziury w płocie. Gdy jechałem tu do pracy, nie przypuszczałem, że moim głównym językiem komunikacji będzie hiszpański.

Yoko Ono i John Lennon – po ślubie na Gibraltarze, marzec 1969 r.



GETTY IMAGES

Francisco Oda: – Wzniesienie muru granicznego w 1969 r. między Gibraltarem a La Línea było jedną z najbardziej nikczemnych decyzji politycznych. Terytorium, które funkcjonowało jak jeden organizm, zostało sztucznie podzielone, rozdarte. Brexit jest czymś podobnym. Mieszkańcy obu miast, znów wbrew swojej woli, znaleźli się w sytuacji skrajnej niepewności.

Lewanter wieje ze wschodu

Skała górująca nad cieśniną jest także rezerwatem przyrody. Gdy wspinam się mozolnie stromą ścieżką, nad moją głową kołują dwa sępy. Na zawieszonej nad urwiskiem półce skalnej siedzi makak berberyjski. To jedyne w Europie małpy żyjące na wolności.

Pachnie dziko i żywicznie. Na szlaku pusto. A jednocześnie całą drogę towarzyszy mi stłumiony odgłos młotów pneumatycznych. Prace budowlane w dole nie ustają. Ich efekty widzę z góry. Na wydartych morzu terenach powstały luksusowe osiedla z portem jachtowym za progiem. W morzu lądują z łoskotem betonowe bloki, baza pod nowy ląd. Na uzyskanym gruncie władze Gibraltaru, wbrew protestom ekologów, zamierzają wybudować 33-piętrowe bloki mieszkań komunalnych.

Makak zdaje się obserwować cieśninę. W dole kilkanaście tankowców czeka w kolejce do portu. Gdzieś w głębinach zatoki „parkują" brytyjskie atomowe łodzie podwodne. Afryki nie widać zza chmur – choć jest blisko, zaledwie 24 kilometry.

Dziś wieje wiatr ze wschodu, lewanter. Po jednej i po drugiej stronie granicy wszyscy wiedzą, że gdy wieje lewanter, nie należy chodzić do fryzjera, bo wiatr w okamgnieniu zrujnuje każdą fryzurę. Nie warto też wywieszać prania. Nie wyschnie, choćby powiewało godzinami na sznurku, nieważne – brytyjskim czy hiszpańskim. Lewanter nic sobie nie robi z granicy. Granicy, która dziś jest symboliczna, ale wkrótce może przerwać, niczym gilotyna, setki nitek łączących Gibraltar z La Línea, Wielką Brytanię z Europą. © KATARZYNA MOŁONIEWICZ

WOJCIECH

Bonowicz:
Odpalanie



Przez dwa i pół miesiąca niemal codziennie świeciło słońce. O dziewiątej szeroko otwierałem okno, kładłem się na łóżku twarzą do niego i wystawiałem na gorące promienie. Trwało to zwykle godzinę, nim słońce przesunęło się poza framugę. „Odpalam się", mówiłem.

To była godzina, w której nie pisałem, a nawet niewiele rozmyślałem. Poddawałem się słońcu jak kot, kiedy układa się na oświetlonym parapecie. Człowiek potrzebuje światła bardziej niż chleba. Oto teraz, kiedy piszę, znów jest słonecznie. Pokój zalewa intensywne, jaskrawe światło, w którym widać obracające się drobinki kurzu, płowieją ubrania i grzbiety książek, a podłoga nagrzewa się i będzie oddawać ciepło jeszcze przez jakiś czas. Światło wydobywa nas z jaskiń, z siedlisk demonów i strachów. Niekiedy promienie światła w jakiś tajemniczy sposób przenikają do naszego wnętrza. Światło jest słowem, które budzi nas do życia.

W jeden z nielicznych pochmurnych dni wsiadam do pociągu z Pragi do Brna. Dopiero za miastem słońce na chwilę się odsłania, oświetla domki, raczej skromne, zresztą któżby budował nieskromne w pobliżu torów. Obszerne pola czekające na pierwszy śnieg, zagajniki, czasem lasy – wszystko nagle zostaje ujęte i oprawione w światło cieknące spomiędzy gęstych, opuchniętych chmur. Trzeba patrzeć szybko, bo pociąg przyspiesza, a chmury napierają; człowiek czuje się przez moment jak ktoś, kto popatruje na zewnątrz przez zamurowane do połowy okienko. Dół umyka, patrzeć można tylko daleko.

W wagonie bawią się ze sobą dwie dziewczynki: młodsza, drobna blondyneczka z lokami (mama mówi na nią Eli) i starsza, która ma ciemne, gładkie włosy, obcięte na wysokości szyi, a na imię chyba Sabinka (choć czasem wydaje mi się, że słyszę „Sofijka"). Sabinka jest śmiała: podchodzi do mamy blondyneczki, mówi głośno: „Dzień dobry", a potem wyciąga rękę z białą pluszową zabawką. „*Ja mam ko i ka*", oświadcza i podaje zabawkę koleżance. Eli przytula kotka, wie, że to tylko na jakiś czas, ale kiedy Sabinka na chwilę odchodzi, mówi szybko do mamy: „*To jest mój ko i ek, prawda?*". Przedział jest prawie pusty, można biegać, podbijać czerwony balon, chować się i straszyć. Eli cały czas ściska kotka, a od czasu do czasu również całuje. „*Vrátisz mi go potom? Vrátisz?*", upewnia się Sabinka.

Słońce przebiło się na dłużej w Pardubicach, żeby oświetlić starszą, ubraną na czarno kobietę, która wolno, podpierając się laską, mijała bramę zakładu. W bramie stał mężczyzna w fosforyzującej kamizelce, zapewne strażnik, lecz minęli się nie pozdrawiając; być może widzieli się już wcześniej tego dnia, kiedy kobieta szła w przeciwnym kierunku. Słońce uderzyło tak nagle, że sylwetka kobiety rozmazała mi się w oczach i dopiero po chwili nabrała wyraźniejszych konturów. Szła ciężko, jak wdowa wracająca z cmentarza, jak matka więźnia, która nigdy nie uwierzyła w jego winę.

„Lubię się wygrzewać / w słońcu, które jest we mnie", pisała w jednym z późnych wierszy Anna Świrszczyńska. „Wyciągam powoli / cztery łapy i ogon, / zamykam ślepia / i mruczę". Nie pytajcie mnie, jak sobie sprawić takie wewnętrzne czy, jak pisze poetka, podręczne słońce. Musicie znaleźć w sobie taki przełącznik, a potem po prostu go nacisnąć. Ale czasem jest trudno. Czasem jest trudno bardzo. Wtedy trzeba szukać na zewnątrz, u innych.

Przedostatniej nocy, o wpół do pierwszej, nagle pod oknem odezwały się ptaki. Było zimno, a jednak nie przestawały śpiewać. Myślałem, że ktoś mnie nabiera, ale to były ptaki w koronach drzew. ©

PS. W ostatnim czasie – na adres „Tygodnika" i nie tylko – dostaję od Państwa sporo listów, przychodzą też tomy wierszy i inne książki. Nie na wszystkie listy jestem w stanie odpowiedzieć, ale bardzo za nie dziękuję. Za książki także.

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego – Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.



W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem!", „Wszystko, co wiemy", „Moc czytania", „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Kochani, jesteście ze mną co tydzień

a także:

„»Tygodnik« od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie siedmiotysięcznej społeczności naszych Prenumeratorów? Kupując abonament, wspierają oni bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom.
„Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

NOWY CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	


+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	


+ PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny od 1 grudnia 2019
** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

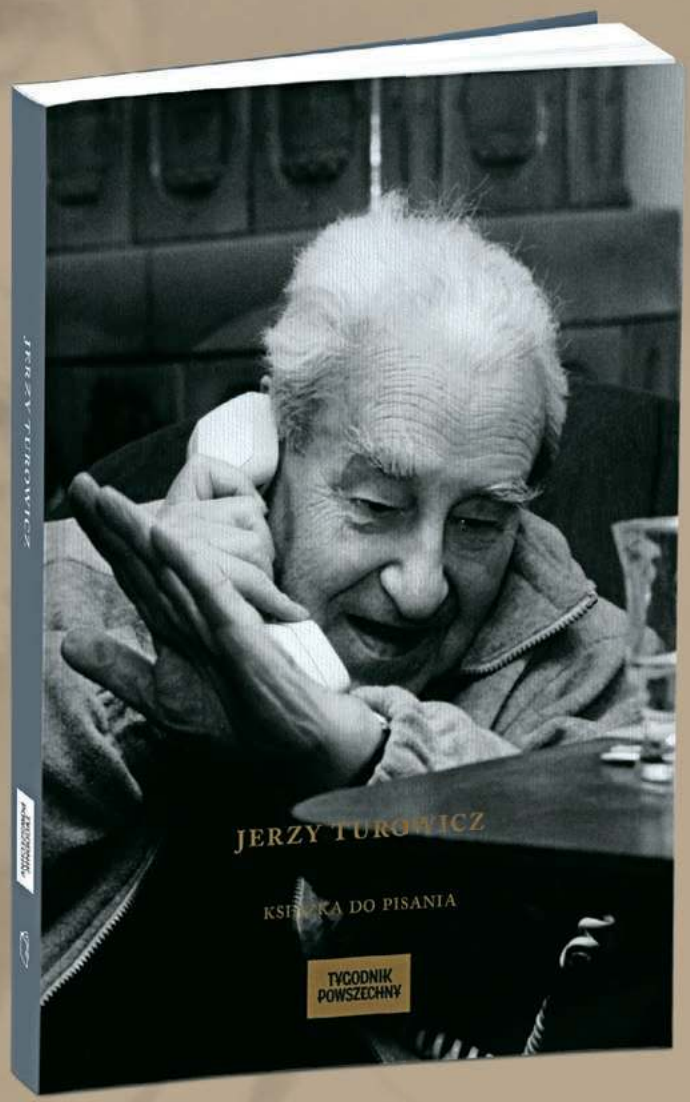
PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W marcu 2020 r. świętujemy 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj jubileuszowy prezent

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat *Tygodnika Powszechnego*” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma.



1. **JUŻ TERAZ** zamów lub przedłuż dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” – roczną, półroczną lub kwartalną.
2. Możesz to zrobić przez stronę **powszech.net/prenumeruj** lub poprzez wpłatę na konto czy opłacenie w Dziale Prenumeraty „TP” – cennik i zasady szczegółowe opisane są na sąsiedniej stronie.
3. Na przełomie stycznia i lutego 2020 r. otrzymasz „Książkę do pisania” – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książka jest dostępna wyłącznie w dystrybucji „Tygodnika Powszechnego” – jest to limitowana oferta tylko dla obecnych i nowych Prenumeratorek i Prenumeratorów.

WYDAWCA: TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

PARTNERZY WYDANIA: FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA

Pasaż

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIA W TLE KRZYSZTOF MALKIEWICZ / ARCHIWUM JERZEGO TUROWICZA

HISTORIA

WÓDZ, KTÓRY NIE SPROSTAŁ WYZWANIU



THE HISTORY COLLECTION / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Symon Petlura, zdjęcie niedatowane

Zawierając 100 lat temu sojusz z Polską, Symon Petlura podjął ostatnią próbę ratowania ukraińskiego państwa. Nie udała się – podobnie jak jego wcześniejsze wysiłki.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Był 6 grudnia 1919 r., gdy wódz naczelny wojsk Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR), a od dwóch tygodni jej faktyczny dyktator, przybył do Warszawy. Przyjechał, by szukać tyleż ocalenia, co możliwości kontynuowania walki o niepodległość swego kraju. Dzięki sojuszowi z Polską, Symon Petlura przedłużył agonię Republiki niemal o rok. Ale tylko agonię: na odbudowę ukraińskiego państwa nie było już szans.

Podobno Napoleon Bonaparte nie zwykł zadowalać się formalnymi charakterystykami swych dowódców i zawsze pytał: „Ale czy on ma szczęście?". Nie bez racji: wojna i polityka nie składają się tylko z elementów mierzalnych i przewidywalnych.

Petlura okazał się niezręcznym politykiem i kiepskim wodzem. Znalazł się w niewłaściwym czasie na niewłaściwym miejscu. Ale zabrakło mu też łutu szczęścia. I przegrał, wraz z nim zaś przegrała liberalno-demokratyczna ukraińska tradycja niepodległościowa. A choć po 70 latach Ukraina stała się niepodległa, tradycji petlurowskiej nie udało się odtworzyć.

Myśląc o Petlurze, skupiamy się zwykle na jego ostatniej znaczącej decyzji: zawarciu sojuszu z Rzeczpospolitą i udziale wojsk ukraińskich w wojnie polsko-bolszewickiej. Sojuszu, który chętnie uznajemy za porozumienie równych partnerów. Jednak o równości nie mogło być mowy: zdruzgotane państwo szukało ratunku u silnego, stabilnego już sąsiada. Dla władz kijowskich (wtedy już na wychodźstwie) polski patronat był jedyną szansą przetrwania. Dla Warszawy objęcie tego patronatu było elementem przygotowań wojennych do starcia z bolszewikami. Cennym, ale nie niezbędnym.

Jednak o tym napiszemy kiedy indziej. Dziś skupimy się na drodze życiowej Petlury: od prowincjonalnej Połtawy, przez Kijów i Warszawę, aż do tragicznej śmierci na paryskim bruku. Ta śmierć – i proces, który po niej nastąpił – miała fatalne skutki dla sprawy ukraińskiej.

Z Połtawy do Kijowa

Urodził się w 1879 r., jako trzeci syn Wasyla Petlury, średnio zamożnego połtawskiego przedsiębiorcy (właściciela trzech dorożek). Po nim Olga z Marczenków Petlura urodziła jeszcze dziesięcioro dzieci, z których większość zmarła w dzieciństwie lub młodości. Także losy pozostałych były dramatyczne: II wojny światowej dożył tylko najmłodszy, Oleksandr.

Petlurowie i Marczenkowie pochodzili z licznych na Połtawszczyźnie rodzin pielęgnujących tradycje kozackie. Byli pobożni; dwie z sióstr Symona zostały mniszkami. Przywiązywali wielką wagę do kształcenia dzieci. A przyszło im żyć w mieście wprawdzie prowincjonalnym, lecz zamożnym i kulturalnym – stolicy jednej z najbogatszych guberni ziem ukraińskich.

Młody Symon – jak wielu rówieśników – uczył się w prawosławnym seminarium duchownym (poziom szkoły średniej) i – także jak wielu – opuścił je jako antyklerykał i socjalista. Nie z własnej woli zresztą: został relegowany w 1902 r. za agitację niepodległościową. Już wtedy chciał poświęcić życie sprawie narodowej.

Nie poszedł jednak śladem swego pierwszego mistrza Mykoły Michnowskiego (1873–1924), konserwatysty i nacjonalisty zarazem – pierwszego, który w Imperium Rosyjskim odważył się głosić postulat niepodległości Ukrainy. Nie przyjął jego hasła „Ukraina dla Ukraińców", etnicznej i ekskluzywistycznej koncepcji narodu. Petlura wstąpił do Rewolucyjnej Partii Ukrainy (później Ukraińska Socjal-Demokratyczna Partia Robotnicza). Stał się narodowym rewolucjonistą, gdzieś po drodze także wolnomularzem (w 1919 r. zostanie mistrzem ujawnionej Wielkiej Loży Ukrainy).

Petlura nie akceptował silnej w jego partii tendencji do zjednoczenia, a przynajmniej do ścisłego współdziałania z rosyjską socjaldemokracją (mieńszewikami), o bolszewikach nie wspominając. Przebywając na krótkiej emigracji w austriackim Lwowie, nie przyjął też jednak proniemieckiej orientacji niepodległościowców, a gdy wybuchła I wojna światowa – poparł wysiłek zbrojny Wszechrosji. W tym czasie – jak większość ukraińskich działaczy z Rosji – był jeszcze autonomistą, nie widział szans powstania państwa ukraińskiego.

W wojsku nigdy nie służył, nie odebrał też żadnego szkolenia wojskowego, a tym bardziej dowódczego. Był działaczem społecznym, organizującym i koordynującym wsparcie dla fatalnie wyposażonej carskiej armii. Musiał zyskać nie lada autorytet i popularność, skoro po rewolucji lutowej 1917 r. został przewodniczącym Ukraińskiego Generalnego Komitetu Wojskowego, a parę miesięcy później – szefem resortu obrony w Sekretariacie Generalnym Ukraińskiej Centralnej Rady (UCR), czyli w ukraińskim rządzie autonomicznym.

W wirze wojny domowej

Jako minister Petlura był od początku w nieubłaganym sporze z socjalistami (mniej lub bardziej radykalnymi), dominującymi w Radzie i Sekretariacie, którzy dążyli do rozpuszczenia armii regularnej i zastąpienia jej milicją ludową (formą pospolitego ruszenia). Ale nie potrafił też porozumieć się z niepodległościowcami, silnymi właśnie w szeregach tej armii, nie poparł lipcowego buntu pułku im. Połubotka (zukrainizowanej formacji starej carskiej armii), którego żołnierze żądali natychmiastowego ogłoszenia niepodległości.

Wówczas, latem 1917 r., mógł zapewne stanąć na czele nowego państwa, które miałoby znacznie większe szanse przetrwania niż pół roku później, już po rewolucji bolszewickiej. Najwyraźniej nie był w stanie dostrzec tej szansy. Zabrakło determinacji, odwagi – a może też wyobraźni?

Pod koniec 1917 r. na rodzinnej Połtawszczyźnie Petlura sformował kilka ochotniczych jednostek, które odegrały istotną rolę w stłumieniu bolszewickiego powstania w Kijowie w styczniu następnego roku. W odpowiedzi został... odsunięty od spraw wojskowych i przesunięty „na odcinek" współpracy z samorządami.

Po przewrocie hetmana Skoropadskiego Petlura opowiedział się przeciw niemu, kilka miesięcy spędził w areszcie. Zwolniony w listopadzie 1918 r., ogłosił się wodzem naczelnym Ukraińskiej Republiki Ludowej i wezwał do powstania przeciw hetmanowi. Wraz z innymi działaczami UCR, socjalistami, dla których bliżsi byli rosyjscy bolszewicy niż rodzimi ziemianie.

Powstanie, które rozpętał (prawda: nie sam), zmusiło hetmana do ucieczki z kraju, a jego wojska rozproszyło. A także zburzyło praktycznie wszystko, co udało się zbudować Skoropadskiemu. Zburzyło państwo, na czele którego chciał stanąć Petlura.

Droga do katastrofy

Potem było już za późno. Na wszystko. Ukrainę ogarnęła fala buntów i pogromów, ledwie sklejona armia UNR ↦

↦ rozpadała się w oczach. Atamani – przywódcy lokalnych, często silnych formacji – niechętnie słuchali centralnego dowództwa, niekiedy wręcz przechodzili na stronę bolszewików (a kadrowi oficerowie – na stronę białej armii Denikina). Nie udało się zbudować sił zbrojnych jako systemu: wojsko było bitne, ale głodne, obdarte i źle dowodzone.

Petlura i jego współpracownicy nie byli narodowcami, a tym bardziej nacjonalistami (chyba że uznalibyśmy rosyjski pogląd, zgodnie z którym Ukrainiec świadomy swej odrębności od Rosjan jest z samego tylko tego powodu nacjonalistą). Byli to liberalni socjaliści, niekiedy z tendencjami pacyfistycznymi, widzący rozwiązanie wszystkich problemów w rewolucji socjalnej. Próbowali rządów miękkiej ręki, liczyli na rewolucyjną i narodową świadomość ludu. Tę drugą przeceniali, w tej pierwszej nie dostrzegli destrukcyjnego potencjału, który można było opanować tylko bardzo twardą ręką.

W rezultacie kraj zalała „wolnica": anarchiczna walka wszystkich ze wszystkimi (pogromy miasteczek i dzielnic żydowskich były tylko jednym z jej przejawów), a ukraińska wojna z dwiema Rosjami (czerwoną i białą) ani na chwilę nie przestała być także wojną domową między samymi Ukraińcami. To była droga do katastrofy.

Próba zjednoczenia z Zachodnioukraińską Republiką Ludową (ZUNR) przyniosła w połowie 1919 r. chwilowe wytchnienie, ale Petlura i Jewhen Petruszewycz (przywódca ZUNR, konserwatywny narodowiec) nie byli w stanie porozumieć się właściwie w żadnej istotnej sprawie. W teoretycznie wspólnym państwie nie powstał ani jednolity rząd, ani nawet jednolite dowództwo sił zbrojnych.

14 października 1919 r. w Kamieńcu Podolskim (ówczesnym centrum władz UNR) Petlura przeprowadza akt uroczystej przysięgi na wierność Ukraińskiej Republice Ludowej. Składa ją nie tylko on sam i pozostali członkowie władz, ale także – korpus oficerski i szeregowi żołnierze. Dopiero teraz, po prawie roku walki niezaprzysiężonej armii!

Przysięgi tej nie składała Ukraińska Armia Halicka (siły zbrojne ZUNR) – ona przysięgała wcześniej, jeszcze przed pobiciem jej przez Wojsko Polskie wiosną 1919 r. Jej dowództwo prawdopodobnie już wtedy prowadziło negocjacje z Denikinem: chcieli ratować swoje wojsko, wyniszczone epidemią tyfusu (siły ukraińskie były praktycznie pozbawione dostaw leków). 6 listopada Haliczanie przechodzą na stronę białych, otwierają dla nich front. Denikin ma wolną drogę do Kamieńca Podolskiego.

Katastrofa staje się faktem.

Desperacka próba

Wojska Ukraińskiej Republiki Ludowej, także wygłodzone i wyniszczone tyfusem, nie mogły szukać porozumienia z białą Rosją: dla białych Rosjan „swoi" Ukraińcy (inaczej niż „austriaccy" Haliczanie) byli zdrajcami, których należy zetrzeć z powierzchni ziemi na równi z bolszewikami. Sąsiednia Rumunia nie chciała mieszać się w tę wojnę. Pozostawał jedyny możliwy sojusznik: Polska.

Pod koniec listopada Petlura wysyła do Warszawy poufną misję dyplomatyczną, która uzgadnia zawieszenie broni, stanowiące też zarys późniejszej umowy sojuszniczej. Nikt nie ma złudzeń: ceną porozumienia musi być rezygnacja z ukraińskich roszczeń do Galicji Wschodniej. Na pierwszy sygnał o tym porozumieniu Petruszewycz zrywa unię Lwowa z Kijowem.

Ale alternatywą jest tylko śmierć z bagnetem w ręku lub haniebna ucieczka. Wojska UNR, zgromadzone wokół Kamieńca, nie są w stanie walczyć. 4 grudnia, dwa dni po zawarciu przez jego emisariuszy w Warszawie wstępnego porozumienia, Petlura nakazuje oddziałom jako tako zdolnym do walki ruszyć na wschód, w dywersyjny marsz na tyłach Denikina. Ma nadzieję, że tym razem lokalni atamani przyłączą się do jego armii. W marsz ten, nazwany potem „Pochodem Zimowym", rusza 5 tys. ludzi. Pozostali, w dużej mierze rekonwalescenci, składają broń przed wojskiem polskim. Na mocy warunków zawieszenia broni polscy żołnierze zajmują kontrolowany przez Petlurę skrawek Podola. Ale – już jako sojusznicy. Ukraińcy są internowani, a nie brani do niewoli. Rychło odzyskają broń, znów wrócą do walki.

Umowa warszawska, sfinalizowana wiosną 1920 r., była ze strony Petlury aktem desperacji. Nie pozostawało mu nic innego, jak przyjąć polskie warunki. Ale kampania roku 1920, dla Polski zwycięska, dla Ukrainy skończyła się ostateczną klęską. I nie mogło być inaczej, skoro atamani nie przyłączali się do armii czynnej



UNR, Rzeczpospolita najwyższym wysiłkiem zdołała zaś obronić tylko własną niepodległość przed Rosją bolszewicką. Na więcej brakło nam sił. A Petlura i jego rząd musieli opuścić Polskę, zresztą na mocy klauzul polsko-sowieckiego traktatu pokojowego.

Symon Petlura nie sprostał wyzwaniu, które podjął. Nie potrafił być ani przywódcą demokratycznym, ani dyktatorem, ani wodzem naczelnym. Choć też trudno byłoby wskazać wtedy kogoś lepszego. Przynajmniej nie ufał bolszewikom, nie szukał z nimi porozumienia.

Zamknięty rozdział

25 maja 1926 r. do idącego ulicą Paryża 47-latka podszedł nieco młodszy mężczyzna. Zapytał go o nazwisko, po czym wydobył broń i strzelił siedem razy, z najbliższej odległości. Ostatnie strzały oddawał już do leżącego. Z trudem uniknął linczu.

Zamordowanym był Symon Petlura, od dwóch lat emigrant polityczny we Francji, wciąż najwyższy autorytet ukraińskich niepodległościowców. Jego śmierć zamknęła rozdział zwany dziś Ukraińską Rewolucją Narodową.

Do dziś nie wiemy, dlaczego zamordowano Petlurę. Wersja, że morderca prze-



HISTORIC COLLECTION / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Józef Piłsudski i Symon Petlura na dworcu w Winnicy podczas kampanii 1920 r.

czytał notkę prasową o jego pobycie w Paryżu i postanowił go zabić, motywowany zemstą, jest jakoś do przyjęcia. Ale można wątpić, by przygotowania mogły mu zająć zaledwie kilka dni. Zwłaszcza że nie wiedział nawet, jak Petlura wygląda (kto więc mu go wskazał?).

Z drugiej strony, nie udało się dowieść związków tej zbrodni z sowieckim wywiadem. Spotykane zaś w Polsce dopatrywanie się w zabójstwie Petlury reakcji na powrót Piłsudskiego do władzy w Warszawie jest dyskusyjne – od zamachu majowego minęło raptem 10 dni.

Pośmiertny proces...

Kim był zabójca? Szolem Samuel Schwarzbard (vel Szwarcbard/Szwarcburd) urodził się w 1886 r. w Izmaile (dziś w obwodzie odeskim Ukrainy). Był działaczem anarchistycznym, po rewolucji 1905 r. emigrantem we Francji, później żołnierzem Legii Cudzoziemskiej i regularnej armii Republiki Francuskiej. Ranny podczas I wojny światowej, zdobył wysokie odznaczenie za męstwo. Po demobilizacji ze względu na stan zdrowia... wyjechał w 1917 r. do Rosji, gdzie wstąpił do Gwardii (później – Armii) Czerwonej i do końca 1919 r. brał udział w walkach na Ukrainie. W styczniu 1920 r. znów znalazł się w Paryżu, a pięć lat później otrzymał francuskie obywatelstwo.

Po zabójstwie Petlury Schwarzbard staje przed sądem, ale tylko formalnie. Jest bohaterem wojennym, a jego ofiara – złowrogim „obcym". Jego obronę i związaną z nią kampanię propagandową finansuje francuska partia komunistyczna. Po jego stronie opowiadają się francuskie autorytety moralne z filozofem Henrim Bergsonem na czele. Nie musi się bronić – zresztą nawet nie zaprzecza zarzutowi zabójstwa. Po tygodniu zostaje uwolniony nie tylko od kary, ale i od winy: sąd Republiki Francuskiej uznał w ten sposób, że zabójstwo ukraińskiego emigranta nie jest przestępstwem.

Prawdziwym oskarżonym w tym procesie był Petlura, a zarzutem – pogromy Żydów, za które Schwarzbard miał dokonać zemsty (twierdził on, że w pogromach zginęli jego krewni). Obrońcy Schwarzbarda – *de facto* oskarżyciele Petlury – zarzucali zabitemu bezpośrednią, sprawczą odpowiedzialność za pogromy. Ten zarzut był fałszywy: można tu mówić jedynie o odpowiedzialności pośredniej, wynikającej z nieudolnego kierowania państwem. Wyrok sądu oznaczał *de facto* skazanie ofiary zabójstwa na śmierć cywilną. Propaganda rozciągnęła ten wyrok na ukraińskie dążenie do niepodległości w ogóle.

...i pośmiertne dokonanie

Konsekwencje były dramatyczne. Narodowo-demokratyczny, socjalizujący ukraiński ruch narodowy załamał się w krótkim czasie. Nie dlatego, że zabrakło Petlury, lecz dlatego, że został zniesławiony, skompromitowany. I że paryski wyrok podważył w oczach ukraińskiej emigracji wiarę w wartość zachodniej liberalnej demokracji.

Tymczasem alternatywa istniała: w Europie narastały radykalne nacjonalizmy – już nie o demokratycznym charakterze, jak przed Wielką Wojną. Wkrótce dla Ukraińców (i nie tylko dla nich) opcja niemiecka zacznie się stawać atrakcyjniejsza niż francuska... W przededniu II wojny światowej ukraiński ruch narodowy będzie zdominowany przez faszyzujących szowinistów.

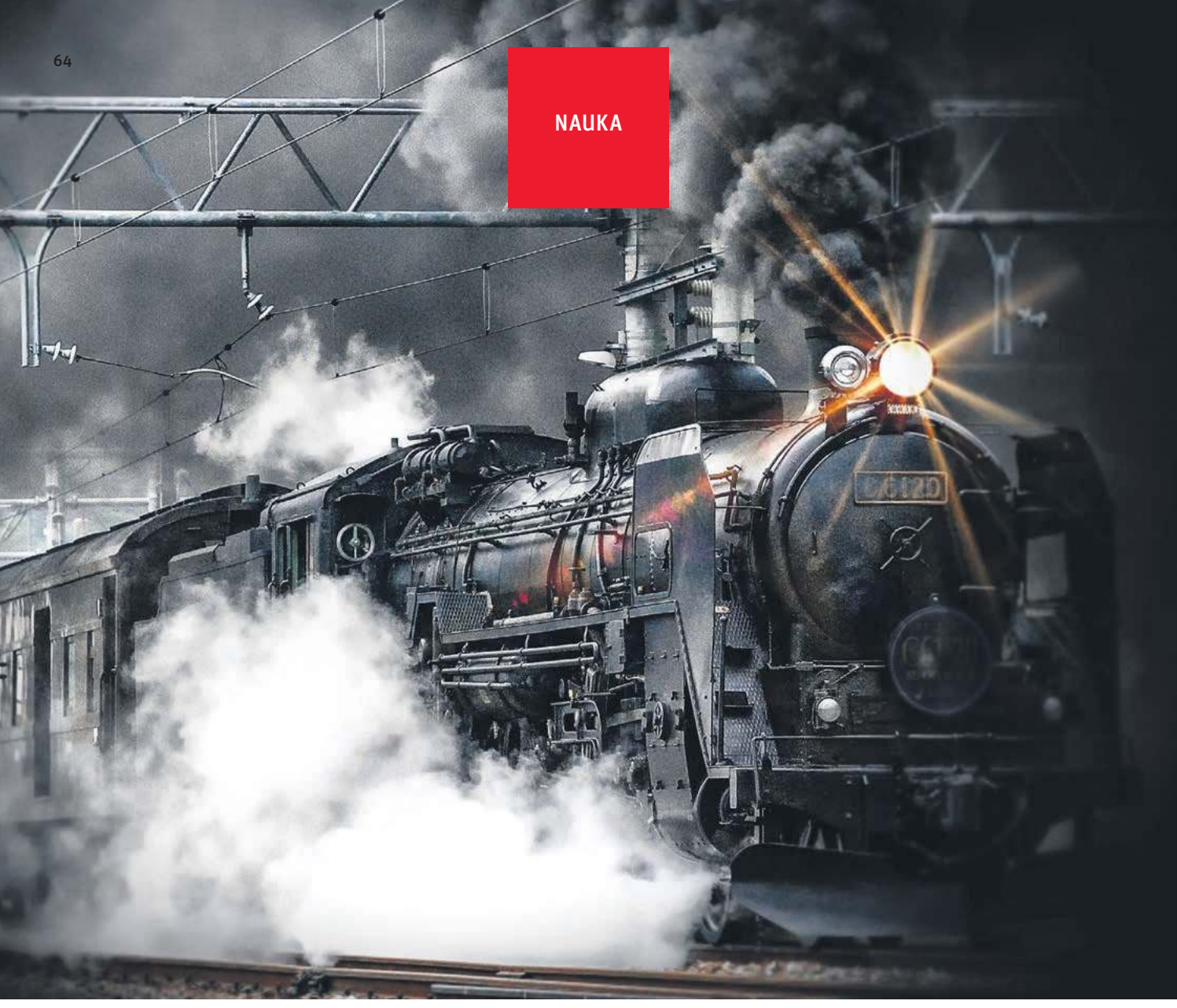
Na taki rozwój wydarzeń wpłynął także rozłam między Naddnieprzańcami i Haliczanami, a następnie wytępienie ukraińskich elit przez władze sowieckie. Na placu boju pozostali ci ostatni, korzystający ze swobód demokratycznych II Rzeczypospolitej: represjonowani, ale nie eksterminowani. Haliczanie, już przed Wielką Wojną znacznie mniej liberalni i socjalizujący, skłaniali się ku „twardym" ideom nacjonalistycznym.

Ten rozłam, którego elementy widoczne są w ukraińskim dyskursie publicznym nawet dziś, był w dużej mierze skutkiem decyzji Petlury z jesieni 1919 r. o rezygnacji z roszczeń do ziem Galicji Wschodniej oraz większości Wołynia – decyzji przez wielu do dziś uważanej za zdradę. Ale – paradoksalnie – ta właśnie decyzja Petlury, potwierdzona potem w polsko-bolszewickim traktacie pokojowym z 1921 r., pozwoliła przetrwać i rozwinąć się Ukraińcom jako społeczności politycznej. Linia graniczna, ustalona w tym traktacie, potwierdziła bowiem przebieg granicy z umowy warszawskiej.

Być może było to największe dokonanie, największa – choć mimowolna – zasługa Symona Petlury.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor jest emerytowanym analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, specjalizuje się w tematyce ukraińskiej. Autor książek i opracowań o dziejach Ukrainy w XIX i XX w.



„Lokomotywy parowe jeżdżą bez pomocy demonów. Entropia – lokalnie – maleje, choć kosztem dostarczanej z zewnątrz energii. Palacz musi się nieźle napocić, dorzucając węgla”.

DEMONY ŻYCIA

Pojęcie informacji będzie kluczowym elementem nowej fizyki. Takiej, która wyjaśni fenomen życia. Jej cień może już nawet widać na horyzoncie.

MICHAŁ HELLER

Demon nie jest zły. Ani nawet złośliwy. W gruncie rzeczy jest trochę naiwny. Zwłaszcza jeśli jego ambicje mierzyć jego wiedzą i umiejętnościami – bo potrafi bardzo niewiele. Wie, jak zmierzyć prędkość nadlatującej cząstki i potrafi odpowiednio szybko uchylić zasuwę, by cząstkę przepuścić do sąsiedniej komory.

Jeżeli cząstka porusza się wolniej niż wyznaczona prędkość krytyczna, nie robi nic; pozwala cząstce odbić się od zamkniętej zasuwy i pozostać w swojej komorze.

Wywrotowa działalność

Chociaż może nie doceniłem przebiegłości demona, gdyż skutki jego działalności

są drastyczne. Gdyby nie demon, ciśnienie gazu w obu komorach, przy otwartej zasuwie, wyrównałoby się i układ osiągnąłby stan równowagi, niezależnie od tego, w której komorze ciśnienie na początku było większe. Tak nakazuje prawo fizyki – druga zasada termodynamiki. Zgodnie z tą zasadą entropia układu (czyli miara stanu jego nieuporządkowania – więcej w ramce) powinna rosnąć, aż do osiągnięcia stanu równowagi (równego ciśnienia w obu komorach). Tymczasem demon sprawił, że zasada ta została przezwyciężona (nie złamana, gdyż demon podlega jednak prawom fizyki): ciśnienie w jednej komorze jest większe niż w drugiej. Tę różnicę można wykorzystać do wykonania pracy, na przykład do przesunięcia tłoka. Wyobraźmy sobie lokomotywę parową, w której cylindrach siedzą złośliwe (a jednak!) demonki i prowadzą swoją wywrotową działalność.

Ale przecież lokomotywy parowe jeździły (i ciągnęły za sobą sznur wagonów) bez pomocy demonów. Entropia – lokalnie – malała, choć kosztem dostarczanej z zewnątrz energii. Palacz musiał się nieźle napocić, dorzucając węgla. Lokalnie – bo w skali globalnej, to znaczy w układzie „lokomotywa – reszta świata", entropia jednak wzrastała. Czy tu jednak również nie działał jakiś demon? Musiał on przecież wziąć skądś energię, przy jej pomocy wytworzyć różnice ciśnień w cylindrze, by w ten sposób poruszyć tłok – najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Spójrzmy na starą, poczciwą lokomotywę – ile w niej rurek, kotłów, zaworów, pokręteł i innych urządzeń. Demonowi na imię „zespół inżynierów", który to wszystko zaprojektował i uruchomił.

Działalność demona jest wszakże znacznie bardziej wyrafinowana niż kunszt i pomysłowość naszych inżynierów.

Niezwykle wydajnymi „maszynami antyentropijnymi" są organizmy żywe. Mamy więc prawo podejrzewać, że w tym obszarze demon jest szczególnie twórczy. Znany fizyk i autor, Paul Davies w swojej najnowszej książce „The Demon in the Machine" (czyli „Demon w maszynie", jej lektura była inspiracją do napisania tego artykułu) podjął ten problem. Półtora wieku temu szkocki fizyk, James Clerk Maxwell, w liście do Petera Taita powołał do życia demona, który wkrótce na dobre usadowił się w podręcznikach fizyki. Pora, by dokładniej przyjrzeć się działalności demona w nowym środowisku współczesnej fizyki.

Istota życia to nie tylko niezwykle skomplikowany splot chemicznych reakcji, lecz również ściśle sprzężona z nimi informacja. Dotychczas wyobrażano sobie, że informacja, owszem, odgrywa ważną rolę w życiowych procesach, że jest zakodowana w genach i stamtąd steruje różnymi procesami. Teraz okazuje się, że nie tylko. Informacja niejako krąży w całym organizmie; jest sprzężona z chemicznymi reakcjami i dzięki temu sprzężeniu wymusza porządek. Jak pisze Davies: „Biologiczna informacja jest czymś więcej niż tylko zupą bitów, przenikającą materialną zawartość komórek i ożywiającą je – to by się niewiele różniło od witalizmu. Raczej wzorce informacji kontrolują i organizują chemiczną aktywność w taki sposób jak program komputerowy kontroluje działanie komputera. A więc wewnątrz fermentu skomplikowanej chemii ukryta jest sieć logicznych operacji".

Nie ulega wątpliwości, że mini-demon Maxwella działa w żywych organizmach zarówno na poziomie komórkowym, jak i na poziomie całego organizmu. Życie jest procesem antyentropijnym, a demon Maxwella jest specjalistą od zmniejszania entropii. Strategia, jaką posługuje się demon, jest istotnie związana z manipulowaniem informacją. Jak pisze Davies: „Organizmy musiały doprowadzić do perfekcji gromadzenie i przetwarzanie informacji, w przeciwnym razie ugotowałyby się na śmierć we własnym cieple". W istocie, to nie jest jeden demon, lecz miliony małych demonków, które otwierają i zamykają zapadki w wielu różnych procesach, jakie dzieją się na poziomie molekularnym.

Oczywiście, na poziomie nano i niżej obowiązują te same prawa fizyki co na poziomie makroskopowym, ale środowisko w skali komórek jest drastycznie odmienne. Każdy nano-demonek jest ustawicznie atakowany przez termiczny chaos otaczających cząsteczek (głównie wody, która stanowi większość środowiska komórkowego). Taki chaos nie może nie być destrukcyjny, ale stanowi również szansę dla demona, który działa na chwiejnej granicy pomiędzy destrukcją a twórczością i najwidoczniej potrafi robić użytek z energii wydobywanej z termicznego chaosu.

Jak wymazywać informację?

To, że istnieje ścisły związek między informacją a ciepłem, nie ulega wątpliwości. Rolf Landauer, jeden z pionierów nowoczesnej informatyki, wyliczył, że wymazanie jednego bitu informacji z pamięci komputera (w pokojowej temperaturze) produkuje 3×10^{-21} dżula ciepła. Jest to wielkość niezmiernie mała, ale zsumowana po wielkiej liczbie procesów obliczeniowych staje się wielkim problemem, tym bardziej że rzeczywiste komputery nie są doskonale wydajne i produkują znacznie więcej ciepła niż wynosi owo teoretyczne minimum, zwane dziś granicą Landauera. To dlatego nasze komputery grzeją się i wymagają chłodzenia. ↦

ART-TOWER / PIXABAY

Duch i materia

ENTROPIA to jedno z trudnych dzieci świata fizyki. Istnieje kilka definicji entropii, a każda ukazuje je z innej strony. Tym razem powinna nam dopomóc tzw. definicja statystyczna Boltzmanna. Pomyślmy o zbiorze elementów, które możemy uporządkować na wiele sposobów, choćby o wszystkich literach alfabetu. Istnieją takie konfiguracje, które można zrealizować tylko na jeden sposób: np. układ alfabetyczny (a,ą,b,c,ć...). Inne dają większą dowolność – pomyślmy np. o konfiguracji dającej poprawne gramatycznie zdanie w języku polskim (przykład: „O, mógłże sęp chlań wyjść furtką bździn?!"). Są wreszcie konfiguracje bardzo dowolne, np. zupełnie nieuporządkowane ciągi liter. Entropia danego układu to miara tego, na jak wiele sposób można zrealizować „ogólny typ" reprezentowany przez ten układ. Największą entropię ma więc taka konfiguracja („makrostan"), którą można zrealizować poprzez największą liczbę konkretnych układów („mikrostanów"). Gdy w dwóch sąsiednich pomieszczeniach cząstki mają taką samą średnią prędkość, układ ten ma większą entropię niż wtedy, gdy w jednym ↦

↦ Komputer gromadzi tylko wyniki swoich operacji (obliczeń), natychmiast wymazując wszystkie obliczenia pośrednie, dzięki którym wynik otrzymał. Gdyby tego nie robił, jego pamięć szybko by się zapełniła i komputer przestałby działać. Stanowi to istotne ograniczenie zdolności obliczeniowej komputerów. I jednocześnie źródło ogromnych wydatków na chłodzenie.

Jak sobie demony życia radzą z tą nadprodukcją ciepła? Wiemy już, że demony działają na chwiejnej granicy między chaosem a uporządkowaniem i minimalizują efekty drugiej zasady termodynamiki przez przekształcanie chaotycznych ruchów cieplnych komórkowego środowiska w bity informacji. Davies – fizyk zauważa, że kwantowy demon mógłby stosować analogiczną, ale znacznie bardziej efektywną, strategię walczenia z ciepłem, przekształcając termiczny chaos środowiska, niszczący kwantowe splątanie cząstek (właściwość, dzięki której cząstki w pewnych warunkach „czują się na odległość") w kubity informacji (kubit to kwantowy odpowiednik bitu). O potężnej wydajności takiego mechanizmu niech świadczy fakt, że kwantowy komputer, wykorzystujący jedynie 270 splątanych cząstek, mógłby przetworzyć o rząd wielkości więcej informacji niż konwencjonalny komputer, który wykorzystywałby do tego celu 10^{80} niesplątanych cząstek, czyli tyle cząstek, ile – jak się ocenia – znajduje się w obserwowalnym wszechświecie.

Czy zanosi się na przełom w naszym rozumieniu życia? Rewolucji w fizyce zapowiadano już wiele. Czasem jednak **rewolucję można przeoczyć, nie zauważyć, że już się dzieje.**

Byłoby dziwnym, gdyby demony przeoczyły taką okazję zwalczania entropii! Ale naukowa rzetelność nakazuje wyhamować entuzjazm. Na razie są tylko nieźle umotywowane przypuszczenia, ale brakuje twardych, empirycznych dowodów.

W każdym razie związek informacji z ciepłem ma znaczenie podstawowe. Nie bez powodu mówi się, że informacja jest ujemną entropią. Ciepło wiąże się z rozpraszaniem energii, czyli z wzrostem bałaganu, a informacja z porządkiem (każdy sensowny napis sprowadza się do ułożenia liter w uporządkowany ciąg). Landauer ukuł powiedzenie, że „informacja jest fizyczna". Oczywiście, jest fizyczna w tym sensie, że zawsze wymaga nośnika: ciągu liter, zapisu na twardym dysku...

Ale ta sama informacja może być zapisana na różnego rodzaju nośnikach. Skopiowanie informacji z jednego nośnika na drugi nie zmienia jej samej. Informacja posiada więc pewnego rodzaju autonomiczny rodzaj istnienia. Czy jest więc czymś fizycznym, trochę podobnym do energii, czymś, co może powodować wymierne skutki w fizycznym świecie? Kwestia jest nadal dyskutowana, ale Davies nie zawahał się napisać, że dałby sobie głowę uciąć na rzecz odpowiedzi twierdzącej. Jego zdaniem „informacja podlega pewnym uniwersalnym regułom, wykraczającym poza konkretny, fizyczny *hardware*, w którym bity są urzeczywistnione".

Nowe w fizyce życia

Jeszcze stosunkowo niedawno wydawało się, że gdy tylko zostanie odczytany cały genom człowieka, będziemy wiedzieli wszystko o programie, który steruje naszym życiem i, być może, naszymi decyzjami. Dziś, już przeszło od 15 lat, ludzki genom mamy odczytany, a jego „zeskanowanie" w przypadku konkretnego człowieka staje się coraz tańsze. Niewątpliwie dowiedzieliśmy się wiele o sobie, ale jesteśmy mocno rozczarowani. Informacja zawarta w genach to zdecydowanie nie wszystko, a nawet chyba nie większość tego, czegośmy się spodziewali. Reszta

---

↦ z nich jest chłodniej: ten drugi przypadek jest bardziej szczególny, można go zrealizować na mniej sposobów.

WITALIZM głosił, że życie różni się od tego, co nieożywione, obecnością pewnej siły, energii czy tajemniczej substancji, krążącej niczym ożywiający duch w materii. Ta życiowa substancja powinna mieć inną naturę od składników materii nieożywionej i podlegać innym prawom. Dziś wiemy, że ziemskie życie opiera się na związkach węgla (związkach organicznych), ale rządzą nimi dokładnie te same prawa, co związkami nieorganicznymi. Udana synteza związków organicznych i nieorganicznych, a potem odkrycie rozmaitych biochemicznych mechanizmów komórkowych pogrzebało witalizm, jednak niektórzy twierdzą, że odradza się on dziś w nowej postaci. Bowiem życie różni się od nie-życia nie tylko stopniem złożoności, ale także obecnością informacji, która jest pewną nową jakością w fizycznym świecie.

Poza opisanym w artykule **DEMONEM MAXWELLA** fizycy stworzyli jeszcze jeden eksperyment myślowy, którego głównym bohaterem jest pokrewna istota. Chodzi o tzw. **DEMONA LAPLACE'A**, który zna dokładne położenie oraz pędy każdej cząstki we wszechświecie oraz potrafi wykonywać nieskończenie skomplikowane obliczenia. Zgodnie z klasyczną fizyką taka hipotetyczna istota byłaby zdolna odtworzyć przeszłe oraz przewidzieć przyszłe trajektorie ruchu wszystkich cząstek – miałaby więc nieograniczoną wiedzę o przeszłości i przyszłości wszechświata.

Ten eksperyment myślowy pojawia się w dyskusjach dotyczących determinizmu, czyli tego, czy wszystkie zjawiska w przyrodzie – a więc także ludzkie zachowania i wybory – są konsekwencją praw przyrody i „stanu początkowego" wszechświata. Jeśli tak, to w świecie nie ma miejsca na przypadek, losowość czy – według niektórych filozofów – wolną wolę. Mechanika kwantowa i teoria chaosu kwestionują jednak możliwość istnienia takiego demona.

©℗ ŁK, ŁL

(tak zwana informacja epigenetyczna) krąży w naszych organizmach w postaci „strumieni informacji", które przenikają nasze tkanki, komórki, organelle, łańcuchy białkowe, neurony i połączenia między nimi. Te wszystkie części naszego organizmu możemy eksperymentalnie badać, rozkładać na elementy, śledzić, jak funkcjonują. Informacja jest w tym wszystkim istotna, ale pozostaje niewidoczna. „Tworzywo (*stuff*) widzimy, bitów nie widzimy". To informacja sprawia, że coś nie jest tylko materialnym ciałem, lecz żyje. Informację również można badać, choć innymi metodami niż dotychczas stosowane w biologii.

Oczywiście, informacje zawarte w genach i „krążące" w organizmie nie są od siebie niezależne. Tworzą jeden, zwarty system. Z pewnością wiele informatycznych procesów, dziejących się w organizmie, jest w jakiś sposób zaprogramowanych lub kontrolowanych przez informację genetyczną, ale na pewno nie na zasadzie ścisłego zdeterminowania. Lokalny „przepływ informacji", na przykład w komórce lub w neuronie, jest wrażliwy na swoje środowisko; musi odpowiednio reagować na jego bodźce. I to nie tylko na środowisko wewnętrzne. Także na środowisko zewnętrzne – świat, w którym osobnik żyje i w którym żyją również inne osobniki (środowisko społeczne).

W 2008 r. Paul Nurse, laureat Nagrody Nobla z biologii, opublikował w „Nature" programowy artykuł. Do oddziaływania biologii i informacji wprowadził jeszcze trzeci element – logikę. Jest to nieunikniony krok. Każdy programista wie, że nie da się napisać najprostszego programu bez zastosowania logiki. Informacją rządzi logika. Jeżeli chcemy odkryć prawa, które sterują „krążeniem informacji" w organizmach żywych, musimy odwołać się do logiki, i to do logiki tak wyrafinowanej, jak wyrafinowane jest życie.

Czy zanosi się na przełom w naszym rozumieniu życia? Paul Davies zdecydowanie twierdzi, że tak, ale zauważa, iż choć już dokonaliśmy znacznego postępu, ciągle jednak znajdujemy się na początku drogi ku „nowej fizyce życia". Znamy kawałki układanki, a trzeba dotrzeć do zasad organizujących działanie całości.

„Biologiczna informacja urzeczywistnia się w materii, ale nie jest czymś materialnym". Informacja, kształtująca procesy w żywym organizmie, nie działa wbrew prawom fizyki, ale zasad, którymi się rządzi, nie można wyprowadzić z tych praw. Davies uważa, że „aby w sposób właściwy włączyć materię żywą do fizyki, potrzeba nowej fizyki".

Rewolucji w fizyce zapowiadano już wiele... Czasem jednak rewolucję można przeoczyć, nie zauważyć, że już się dzieje.

© MICHAŁ HELLER

Cytaty pochodzą z książki Paula Daviesa „The Demon in the Machine. How Hidden Webs of Information Are Finally Solving the Mystery of Life" (Allen Lane – Penguin Books, 2019). Wydawnictwo Copernicus Center Press przygotowuje polski przekład tej książki.



NAJLEPSI TRACĄ WSZELKĄ WIARĘ

ANTHONY MCCARTEN, SCENARZYSTA FILMU „DWÓCH PAPIEŻY":

To wykraczało poza wszelkie granice.
Pisać dialogi dla papieży? Żyjących? Co ja wiem?
Ale taka jest przecież moja praca
– jestem specjalistą od bezczelności.



DAGMARA ROMANOWSKA: Abdykacja papieża Benedykta XVI w 2013 roku zaskoczyła wszystkich. W filmie „Dwóch papieży" spogląda Pan na nią z ciekawej perspektywy. Co doprowadziło Pana do tego pomysłu?

ANTHONY MCCARTEN: Urodziłem się w katolickiej rodzinie. Chociaż nie jestem praktykującym katolikiem, to Kościół jest wciąż w moim krwiobiegu, więc problemy, które poruszam w filmie, są mi bliskie.

Pomysł przyszedł do mnie cztery lata temu. Byłem w Rzymie, kiedy siostra poinformowała mnie o śmierci kuzynki i poprosiła, żebym – jeżeli jestem blisko jakiejś kaplicy – zapalił świecę ku jej pamięci. Poszedłem na plac św. Piotra, gdzie papież Franciszek akurat koncelebrował mszę. Plac był wypełniony po brzegi. Wyczuwało się wręcz sympatię, którą się cieszy.

Oto nowy papież – „agent zmiany", z progresywnymi ideałami, przekonany o tym, że chociaż instytucja Kościoła musi dbać o tradycję, to z chwilą, gdy przestanie się zmieniać, przestanie służyć ludziom, którym służyć powinna. Ale przecież jest też drugi papież – *papa emeritus*, żyjący w odosobnieniu, z dala od zgiełku mediów. Konserwatysta i tradycjonalista, który abdykując podjął najbardziej nietradycjonalistyczną decyzję. Zacząłem zastanawiać się, dlaczego – czy wiedział, że jego następca obierze zupełnie inną niż on drogę?

Elementy układanki zaczęły się ze sobą łączyć i w mojej głowie pojawił się dialog – nie tylko pomiędzy tymi dwoma dostojnikami. Raczej dialog, który toczy się w dzisiejszym świecie – w Europie, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych. Dialog pomiędzy obozami progresywnym i konserwatywnym. Te grupy coraz bardziej się od siebie oddalają. Nie słuchają siebie nawzajem – słychać wręcz o schizmie.

„Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze" – pisał w „Drugim przyjściu" William Butler Yeats. Bez odzyskania tego środka nie ma mowy o żadnej optymistycznej wizji przyszłości.

O tym właśnie ma przypominać „Dwóch papieży". Razem z Fernandem Meirellesem, reżyserem, chcemy pokazać, że niezależnie od tego, jak bardzo nasze poglądy mogą być odległe, zawsze można znaleźć porozumienie. Należy go szukać. Konfrontacja przeciwstawnych poglądów ma tu charakter dialektyki platońskiej. Zderzenie idei u Platona służyło syntezie.

I dochodzeniu do prawdy. Ale nie słuchamy się – z ekranu pada nawet kwestia: „Czasami najtrudniej jest słuchać".

Moja ulubiona. Jako społeczeństwo przeżywamy olbrzymi kryzys „niesłuchania się". Straciliśmy tę moc, umiejętność, i nie potrafimy jej odzyskać. Przy czym samo słuchanie nie wystarczy. To,



PETER MOUNTAIN / NETFLIX

Anthony Hopkins jako Benedykt XVI i Jonathan Pryce jako kardynał Bergoglio w filmie „Dwóch papieży”

co słyszymy, musimy jeszcze przyjąć do siebie, zabsorbować i zasymilować. Często udajemy, że słuchamy, aby natychmiast odrzucić słowa, które do nas skierowano. Skutkiem tego jest już tylko podział, gniew, nawet przemoc.

Ideę dialogu niszczą media i algorytmy. Żyjemy w bańkach informacyjnych.

Jeżeli słuchasz tylko tego, w co sam wierzysz, a na każdego, kto się z tobą nie zgadza, reagujesz agresją, oblewasz twarz kwasem, to nie ma przyszłości dla nikogo z nas. Musimy pracować wbrew algorytmom. Musimy odzyskać, albo wręcz na nowo zbudować „środek”.

Jaką rolę Pana zdaniem może odegrać w tym zadaniu Kościół?

W jego łonie spotykają się dwie szkoły myślenia. Wedle jednej – Kościół powinien utrzymać dystans, nie zmieniać się, być monolityczny jako instytucja, która reprezentuje niezmienną naturę Boga. Wedle drugiej Kościół powinien być dynamiczny – wychodzić naprzeciw potrzebom swoich wiernych.

Dlaczego?

Ponieważ świat jest dynamiczny. Ale sam jestem zdania, że odpowiedź leży pośrodku. Każdy Kościół, który będzie zmieniał się wraz z podmuchami wiatru, nie stanie się odpowiedzią na tajemnice wieczności. Tak widzę słabość Kościoła Anglii – nie reprezentuje dla mnie tego, co trwałe, tego, co przyciąga mnie do Kościoła katolickiego.

Ale – z drugiej strony – i tu dostrzegam pytania. Ujmując to obrazowo: czy słusznym jest założenie, że „mieliśmy rację na początku i nie musimy w ogóle się zmieniać”? Odnoszę wrażenie, że Franciszek otworzył okno w pokoju, w którym od lat panował zaduch. Mam 58 lat i dopiero wraz z pojawieniem się Franciszka poczułem z ulgą powiew świeżego powietrza w Kościele. Tak, potrzebujemy świeżych idei. I to się dzieje, choć nie bez oporu i sprzeciwu. Postrzegam Franciszka jako niezwykłego światowego przywódcę. ↦

Ale jednocześnie z szacunkiem podchodzi Pan do idei, które reprezentuje Benedykt XVI.

Rozpoczynając pracę, miałem wyrobione już wysokie mniemanie o Franciszku, ale – przyznaję – nie wiedziałem zbyt wiele o Benedykcie XVI. Jeżeli już, to byłem do niego nastawiony cynicznie. Jako dramaturg, który przygotowuje debatę, musiałem wyposażyć swoich bohaterów w jak najmocniejsze, równo warte argumenty. Musiałem więc wejść w świat i poznać myśl Benedykta XVI. Była to dla mnie niezwykle ważna lekcja, dzięki której zacząłem szanować to, za czym opowiadał się przez całe swoje życie i posługę. Wcześniej tych wartości nie dostrzegałem.

A jednak to Benedykt XVI złamał tradycję. W jednej ze scen w usta Franciszka wkłada Pan słowa, że ten krok może zniszczyć papiestwo jako instytucję. Sądzi Pan, że możemy już dziś ocenić efekty tej decyzji, czy może jest na to za wcześnie?

Mam ambiwalentny stosunek do decyzji Benedykta XVI. Patrząc wstecz, myślę, że była konieczna. Z drugiej strony – mam nadzieję, że to ostatnia rezygnacja na kolejne 700 lat. Mam również nadzieję, że Franciszek, chociaż mówił o takiej możliwości, nie pójdzie tą drogą, pomimo ustanowionego przez Benedykta XVI precedensu. Integralną częścią papiestwa jest dla mnie to, że papież pełni swoją posługę aż do śmierci. To wyróżnia władzę papieską na tle innych wybieralnych przywódców, premierów i prezydentów, którzy po kilku latach oddają swoje obowiązki i zrzekają się odpowiedzialności.

Jeżeli Kościół ma reprezentować to, co wieczne, boskie, również w papieżu musi być coś boskiego i wiecznego. Inaczej władza papieska może zostać pozbawiona swojej wyjątkowości i autorytetu.

Wziął Pan na swoje barki olbrzymią odpowiedzialność. Dialogi w filmie przez wielu widzów będą rozumiane jak rzeczywisty głos papieży. Granice między fikcją i prawdą mogą się zamazać.

To wykraczało poza wszelkie granice. Pisać dialogi dla papieży? Żyjących? Co ja wiem? Ale taka jest przecież moja praca – jestem specjalistą od bezczelności.

Zawsze stara się Pan nawiązać kontakt ze swoimi bohaterami – jeżeli żyją. Jak było w przypadku Franciszka i Benedykta XVI?

Uznałem, że gdybym zadzwonił do Watykanu, nie przebiłbym się, więc tym razem nawet nie próbowałem.

Gdyby jednak była taka możliwość, o co by ich Pan zapytał?

Z Franciszkiem przede wszystkim chciałbym porozmawiać o grzechu, jego roli w kształtowaniu nas, o mierzeniu się z nim i akceptowaniu go. O sile, która płynie z przyznania się do tego, że jesteśmy ułomni i popełniamy błędy, na których jednak się uczymy. Benedykta XVI zapytałbym o jego wiarę w tradycję. O jej siłę, która stała się budulcem jego konserwatyzmu. Mam własne przemyślenia na temat tego, co mogliby mi odpowiedzieć, poparte poszukiwaniami i przygotowaniami do pracy, lekturą encyklik i wypowiedzi obu hierarchów. Refleksje te starałem się przekazać w filmie. Ale tak, gdybym mógł z nimi wypić filiżankę herbaty i porozmawiać, to właśnie o tych zagadnieniach.

Grzech i odkupienie to istotne kwestie poruszone w „Dwóch papieżach". Swoich bohaterów wysyła Pan do spowiedzi. Przy czym przedstawia Pan widzom wyznanie Franciszka, Benedykta XVI – jedynie sygnalizuje.

Jednym z założeń filmu było to, żeby bohaterowie pogodzili się ze swoją przeszłością i ze swoimi grzechami. Nie mogłem nie pokazać tego okresu życia Franciszka, który związany jest z dyktaturą wojskowej junty w Argentynie. W przypadku Benedykta XVI kryzys dotyczy przede wszystkim teraźniejszości – ale w tym przypadku skargi dotyczące krzywd wyrządzonych przez Kościół zmieniłyby całkowicie charakter tego filmu. Nie o to mi chodziło, chociaż niektóre z zarzutów, np. dotyczące molestowania, przewijają się w „Dwóch papieżach". Uznałem jednak, że muszę dać tu przestrzeń widzom – aby oni wypełnili ją swoim gniewem i wątpliwościami.

Dlatego, gdy do spowiedzi przystępuje Benedykt XVI, głos cichnie. Moim zdaniem to efektywniejsze, a zarazem bardziej inkluzywne rozwiązanie. To przestrzeń, którą widz wypełnia osobistym doświadczeniem.

Spowiedź Franciszka ukazuje długą drogę, jaką przeszedł od młodego duchownego po papieża, którego dziś znamy. To papież, który słucha, wychodzi do ludzi.



Takie sprawia wrażenie, chociaż nie zawsze taki był. W swoich poszukiwaniach odnalazłem go jako dość egocentrycznego i surowego młodego człowieka. Popełniał błędy, ale nauczyły go one tego, że musi się zmienić. Wygląda na to, że udało mu się to osiągnąć, co jednocześnie sprawia, że dla dramaturga staje się tym ciekawszą postacią. Niewielu prominentnych liderów przeszło drogę prawdziwej przemiany. Z chwilą objęcia swojego stanowiska najczęściej obejmują pozycję obronną na resztę swojego życia.

Według Pana najlepszymi przywódcami są ci, którzy nie chcą władzy.

Jeszcze raz przywołam słowa Yeatsa: „Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych / Kipi żarliwa i porywcza moc". Czy nie widzimy tego dookoła? Tych pełnych porywczej mocy liderów, którzy doprowadzają nas do szaleństwa. A wątpiący milczą albo mówią za cicho. Robią za mało? Młodzi są teraz na Trafalgar Square i protestują z Extinction Rebellion, żeby ratować planetę. A inni?

Zdejmuje Pan papieży z piedestału, „uczłowiecza", wyposaża w humor.

Na tym polega moja praca, żeby ożywić/uczłowieczać postaci, niezależnie



PETER MOUNTAIN / NETFLIX

Jonathan Pryce jako Franciszek i Anthony Hopkins jako Benedykt XVI

od tego, czy są to osoby prawdziwe, czy fikcyjne. Jestem niczym XIX-wieczny portrecista. Najpierw dokładnie studiuję swój obiekt, potem zaczynam malować. Moim podstawowym obowiązkiem jako scenarzysty jest jak najrozleglejsze i najbardziej szczegółowe poznanie bohaterów – nie tylko ich poglądów, biografii, ale też sposobu chodzenia, mówienia, gestykulacji. Zdobycie wiedzy na temat tego, czy piją kawę, czy herbatę, fantę, a może czerwone wino. Dopiero wtedy mogę usiąść do pisania i podjąć próbę ich jak najuczciwszego przedstawienia na ekranie.

Nigdy nie staram się uczynić czegoś specjalnie zabawnym, ale też nie przekreślam humoru. Nie da się bez niego zbudować realistycznego portretu. Nie znam społecznych interakcji, w których go w ogóle nie ma lub przynajmniej nie pojawia się jakaś jego próba. Wiemy, że żart bliski jest Franciszkowi. Benedykt XVI raczej dystansuje się od niego. Pomyślałem, że mogę się trochę w tej przestrzeni pobawić.

Benedykt XVI naprawdę posiada zegarek, który liczy jego kroki i przypomina, żeby „szedł dalej" („keep going")?

Oczywiście.

Te słowa najpierw nas bawią, a pod koniec filmu zyskują wymiar metaforyczny. Zastanawiałam się, czy mają już Państwo jakiś odzew z Watykanu? Czy odbył się tam jakiś pokaz?

Staramy się. Wiele kwestii, szczególnie dotyczących protokołu, konsultowaliśmy z osobami z wewnątrz Stolicy Apostolskiej. Ale nie, oficjalnie żadna opinia o samym filmie do nas nie dotarła. Rozmawiałem jednak z duchownymi, którzy widzieli sceniczną wersję – od sztuki „The Pope", wystawionej w Royal & Derngate Theatre w Northampton rozpoczęła się moja praca nad „Dwoma papieżami". Mówili, że to dla nich ważna produkcja, ponieważ „jest odzwierciedleniem dialogu, który toczy się w Kościele".

Po jednej z projekcji festiwalowych podszedł do mnie pewien Włoch i powiedział: „Uratował pan Kościół katolicki". „To interesujące – odpowiedziałem. – Dlaczego tak pan uważa?". „Dookoła jest tyle gniewu wobec błędów i potknięć tych ludzi. Nadał pan temu nowy kontekst, sprawił, że znowu ich pokochaliśmy".

Musiał Pan trafić na reżysera, z którym tak samo będzie Pan myślał o tekście. Dlaczego Fernando Meirelles?

Gdy przyniosłem sztukę teatralną do swojej agencji, usłyszałem, że to świetny materiał na film. Nie dość tego, dowiedziałem się, że jest taki producent – Dan Lin, który chce nakręcić film o Franciszku i rozmawiał już na ten temat z Fernandem Meirellesem, ale nie ma jeszcze scenariusza... Od tej chwili wszystko potoczyło się naturalnie. Gdy przedstawiałem projekt w Netfliksie, to już z Danem i Fernandem „na pokładzie". Fernando kocha ludzi i jest jedynym znanym mi reżyserem, który otwarcie mówi, że jeżeli nie zrealizuje kolejnego filmu, to nic nie szkodzi, bo ma swój ogródek i może w nim sobie popracować.

Bez Jonathana Pryce'a i Anthony'ego Hopkinsa „Dwóch papieży" nie byłoby aż tak angażującym filmem. Czy od początku widział ich Pan w rolach Franciszka i Benedykta XVI?

Kiedy przedstawiałem swój pomysł Netfliksowi, zabrałem ze sobą dwa zdjęcia: Pryce'a i Hopkinsa, chociaż żaden z nich o tym nie wiedział, żaden nie słyszał, że nad czymś takim pracuję. „Może Bóg pozwoli, żeby to oni zagrali. Może się zgodzą" – myślałem, a nigdy wcześniej coś takiego mi się nie przydarzyło. Genialni aktorzy, w odpowiednim wieku. Jonathan Pryce przypomina Franciszka fizycznie – do tego wręcz stopnia, że w dniu wyboru Franciszka przybiegły do niego jego dzieci z okrzykiem: „Tato, zostałeś papieżem!". Anthony Hopkins potrafi być z kolei wcieleniem ciepła, co pozwala widzom inaczej spojrzeć na papieża kojarzonego z wizerunkiem chłodnego intelektualisty.

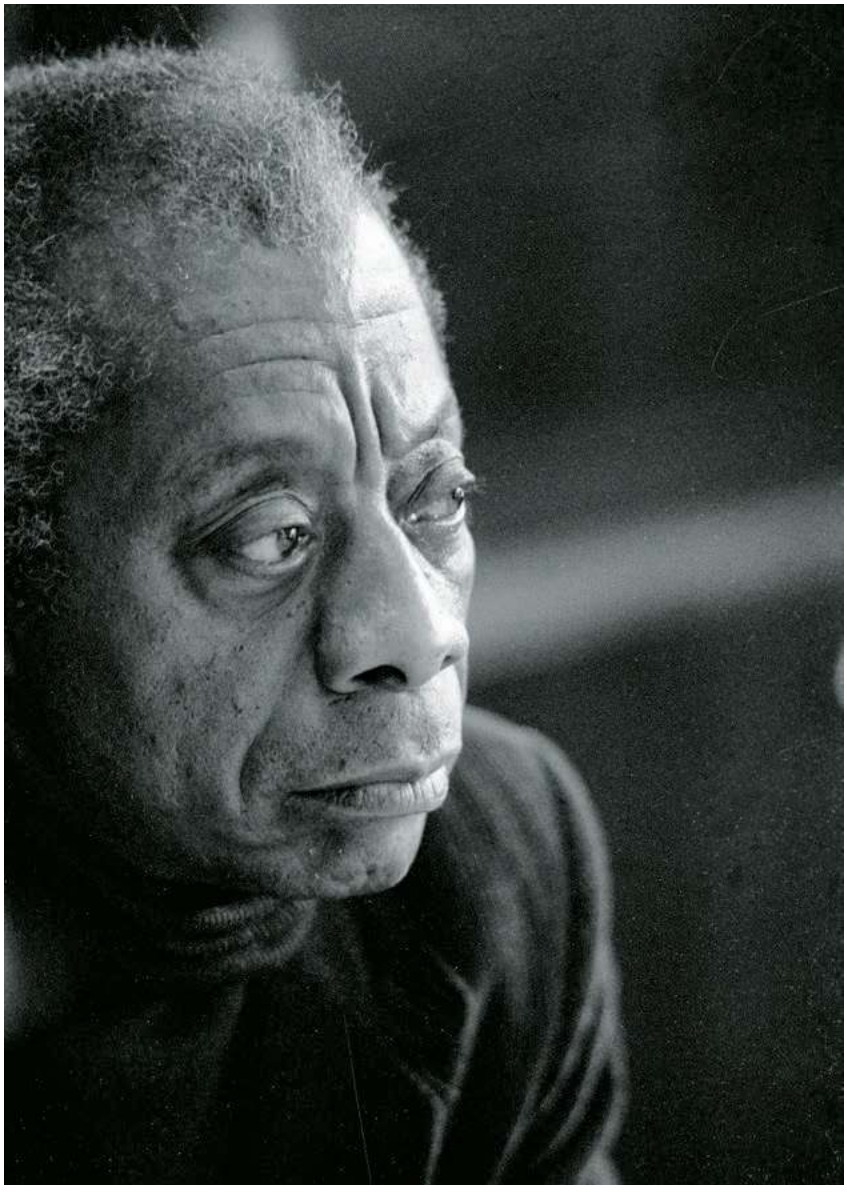
© Rozmawiała
DAGMARA ROMANOWSKA (ONET.PL)



AXELLE / BAUER-GRIFFIN / GETTY IMAGES

ANTHONY MCCARTEN jest scenarzystą i pomysłodawcą filmu „Dwóch papieży" (premiera kinowa 13 grudnia, od 20 grudnia na platformie Netflix). Trzykrotnie nominowany do Oscara, filmowy portrecista Winstona Churchilla („Czas mroku"), Stephena Hawkinga („Teoria wszystkiego") oraz Freddiego Mercury'ego („Bohemian Rhapsody").

Cytaty z wiersza Yeatsa w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka



YURCHENKO / SPUTNIK / EAST NEWS

James Baldwin, 1986 r.

Podpalacz jako strażak

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Jamesem Baldwinem targał dylemat: trwać przy sprawie czarnych czy opisać Amerykę jako całość? Kiedy odkrywa, że te cele się nie wykluczają, musi uznać, że podąża ścieżką wydeptaną przez innych.

Cel jasno sobie wyznaczył. Chciał zostać pierwszym wspólnym pisarzem czarnych i białych Amerykanów. Literatura afroamerykańska miała wyjść z getta i przestać być ciekawostką w postępowych kręgach intelektualnych. Aby to osiągnąć, musiała stanąć blisko życia, które ciągle miesza społeczne i polityczne barwy.

Dlatego już w pierwszym głośnym eseju „Powieść protestu dla każdego" James Baldwin odcina się od zapoczątkowanej przez „Chatę wuja Toma" Harriet Beecher Stowe tradycji upominania się o prawa czarnych poprzez obłudną, jego zdaniem, troskę o ich zbawienie i próby „przykrojenia wszystkich Amerykanów do wymiaru kompulsywnego, bezbarwnego gościa imieniem Joe". Esej ten znalazł się w pierwszym pełnym tłumaczeniu na polski „Zapisków syna swego kraju" (1955), które właśnie trafiło do naszych księgarń.

W przełomowym dla jego kariery zbiorze krytyka artystycznych prób „wybielenia" Afroamerykanów staje się pretekstem do wiwisekcji ich zbiorowej duszy. „I nie ma, jak sądzę, Murzyna, który by żył w Ameryce i nie czuł – przelotnie lub przez dłuższy okres (...) – zwykłej, nagiej i niezaprzeczalnej nienawiści; który by nie chciał rozkwasić pewnego dnia każdej białej twarzy, jaką napotka, zgwałcić – by zemścić się jak najokrutniej – ich kobiet, skruszyć ciał wszystkich białych ludzi i upokorzyć ich, by znaleźli się tak nisko jak ten proch, w który jego samego wdeptano i wciąż się wdeptuje" – grzmi w „Many Thousands Gone".

Jednak żeby pisać dla wszystkich, pisarz nie może zatracać się w nienawiści i rozliczaniu cudzych grzechów. Zamiast tego ma stać się czujnym kronikarzem współbycia. Zdaniem Wacława Sadkowskiego, wieloletniego redaktora „Literatury na Świecie" i promotora Baldwina w Polsce, pytanie, które stawia zarówno w powieściach, jak i eseistyce, brzmi następująco: czy zbratanie się jest możliwe? Odpowiedź, jakiej udziela, jest negatywna, ale niepozbawiona nadziei na to, że kiedyś się zmieni.

Kwestia murzyńska

W PRL-u Baldwin ma szczęście do cenzury i prezentacja jego prozy zaczyna się wcześnie. W 1965 r. ukazuje się dokonany przez Daniela Passenta wybór esejów „Następnym razem pożar" (niektóre z nich w nowym tłumaczeniu znajdą się w „Zapiskach syna tego kraju") oraz wybitne opowiadanie „Dziś rano, dziś wieczór, tak prędko". To ostatnie jest rozegraną w trzech aktach opowieścią o strachu drążącym czarnoskórego człowieka, który osiągnął bardzo wiele dzięki temu, że opuścił Amerykę. Teraz ma ją odwiedzić z urodzonym w Paryżu synem. Boi się, że wprowadzi chłopca w nieznaną mu przestrzeń pogardy wobec takich jak on, a sam zmieni się na powrót z cenionego śpiewaka w zgiętego w pas pariasa. W ojczyźnie jego szczęście nie miałoby prawa

się wydarzyć. Jego kobieta nigdy nie dostrzegłaby w nim mężczyzny, którego mogłaby kochać, a on nie byłby w stanie widzieć w niej kogoś sobie równego. Nigdy nie mieliby dziecka. Nie, to nie jest antyrasistowski manifest, lecz cichy lament.

W raczej programowych przedmowach i posłowiach do polskich wydań z lat 60. Baldwin bywa nazywany głosem ruchu murzyńskiego w społeczeństwie Zachodu, trybunem kwestii murzyńskiej w okrutnym świecie białych. Inaczej niż mianem „Murzyn" Baldwina w owym czasie się nie określa. To słowo, które w jego prozie naznacza bohaterów, jest znakiem ich upokarzającej kondycji społecznej i krzykiem o godność, w ówczesnej Polsce jest przezroczyste. Czasy refleksji nad dyskryminacją poprzez język dopiero nadejdą. Na razie Murzyn to Murzyn – biedny, wyzyskiwany, ale religijny mieszkaniec Ameryki. A murzyńska literatura – choćby nieideologiczna – daje mocne alibi dla antyamerykanizmu.

W nowym tłumaczeniu esejów Amerykanina słowo „Murzyn" też występuje – ale tłumacz, Mikołaj Denderski, czuje się zobligowany do wyjaśnienia tej decyzji translatorskiej. Jest ona słuszna. W Ameryce, o której Baldwin pisze, to słowo jest w powszechnym użyciu, tak przez białych, jak i czarnych – przynależy do czasów, które tych drugich bolą. Podczas lektury „Zapisków syna tego kraju" słowo „Murzyn" wciąż powinno boleć. Zastępowanie go bardziej neutralnymi określeniami oznaczałoby cenzurowanie tekstu. Co ważne, Baldwin nigdy nie widział się w roli rzecznika kwestii murzyńskiej, bo odrzucał jej faktyczne istnienie. Przekonuje, że jest tylko kwestia tych, którzy widzą w Murzynie problem społeczny zamiast ludzkiego losu: „Murzyn w Ameryce nie istnieje naprawdę poza ciemnością naszych umysłów".

Zajmuje go też kwestia gejowska, ale do jej dekonstruowania podchodzi z mniejszą żarliwością niż do spraw rasowych. Nie ukrywa swojej biseksualności, lecz stara się, aby jego życie intymne nie było przedmiotem publicznej dysputy. Zresztą bolą go nie tylko homofobiczne docinki, ale wszelkie próby redukowania czarnych Amerykanów do ich rzekomo monstrualnego popędu seksualnego: „Dla mnie obsceniczne jest to, że dla białego człowieka jestem narządem płciowym, do którego na całe nieszczęście dowieszono człowieka".

Ma nawet pretensję do podziwianego Jeana Geneta, że ten czyni z homoseksualizmu artystyczny gest. O ile Baldwin zacięcie walczy z rasizmem, o tyle na homoseksualność uwrażliwia, sam musząc najpierw ją oswoić. Zwłaszcza druga powieść, „Mój Giovanni" (1956, pol. wyd. 1991), nazywana „białą" (żaden z bohaterów nie jest ciemnoskóry, a akcja toczy się w Paryżu), przynosi niewstydliwe obrazy męskiego seksu, które zostają zderzone z wyparciem. W kolejnych utworach homoseksualizm stanowi po prostu jeden z wymiarów ludzkiej miłości oraz przyczynę zakładania zarówno przez czarnych, jak i białych ciasnych masek w konserwatywnym świecie normalsów.

Orientacja seksualna jest być może jednym z powodów, dla których Baldwin, szykowany na kaznodzieję, już jako siedemnastolatek wie, że się do tego nie nadaje. Mimo to religijna retoryka będzie jego orężem na długie lata. Jak się okaże, dość zawodnym. Chce być „czarnym misjonarzem wśród białych pogan w Ameryce", ale staje się pupilem środowisk akademickich i postępowych mediów.

„Biały establishment zaakceptował Baldwina, chyba wbrew jego woli – pisze w 1972 r. Peter S. Prescott, krytyk literacki „Newsweeka" – Każda antologia literatury angielskiej dla studentów pierwszych lat zawiera jego eseje, a pisarz polecany studentom pierwszego roku nie może być niebezpieczny. Baldwin jest »pewny«. Mówił, ale nic z tego nie wynikło". Ma tego świadomość, kiedy trzy lata przed śmiercią pisze przedmowę do kolejnego wydania „Zapisków" i ubolewa, że w stosunkach białych i czarnych Amerykanów „pod względem moralnym nie zaszła żadna zmiana, a zmiana moralna to jedyna zmiana rzeczywista".

A jednak kropla drąży skałę. W maju 1963 r. na zaproszenie Roberta Kennedy'ego, ówczesnego prokuratora generalnego, Baldwin przybył do jego apartamentu wraz z grupą czarnych artystów i aktywistów. Mieli dyskutować o nieśmiertelnej kwestii murzyńskiej. Skończyło się na wielkim rozczarowaniu zaproszonych, słuchających komunałów ze strony zatroskanego polityka, próbującego obietnicami odległej w czasie stabilizacji udobruchać swoich gości. Na początku XXI w. spotkanie to przeszło do anegdoty – to podczas rozmowy z Baldwinem Kennedy miał powiedzieć, że za 40 lat czarny Amerykanin może zostać prezydentem. Niewiele się pomylił.

Syn swego ojca

Na świat przyszedł w Harlemie w 1924 r. Jego matka opuszcza uzależnionego kochanka, wkrótce wiąże się z robotnikiem i samorodnym kaznodzieją, Davidem Baldwinem. James ma ośmioro przyrodniego rodzeństwa, ostatnie przychodzi na świat w dniu śmierci ojczyma, w 1943 r. Ojczym, o którym mówi zawsze „ojciec", jest człowiekiem złamanym przez rasizm i biedę. Zabija go gruźlica i choroba psychiczna. Łączy ich trudna relacja zbudowana na oczekiwaniu, że syn wejdzie w buty ojca. Ten zaczyna gardzić rodzicem, jego położeniem społecznym i niemocą zmiany losu. Bigoteria, homofobia, antyintelektualizm i niezachwiana wiara w społeczny determinizm – od tego ucieka Baldwin i podobni mu wrażliwi chłopcy z klasowych nizin. W eseju „Getto w Harlemie" wypunktowuje mielizny ludowej religijności czarnych Amerykanów i ich zbiorowego rozumu. Piętnuje zwłaszcza powszechny w ówczesnym Harlemie pokrętny antysemityzm. Z jednej strony los Żyda staje się dla Afroamerykanina symbolem jego własnego cierpienia i tułaczki, z drugiej – Żyd jest biały, a więc też odpowiada za mękę czarnych.

Po latach wybacza ojcu i rozlicza się z samym sobą. W „Zapiskach autobiograficznych" przyznaje, że był ofiarą przyjmowania kwestii murzyńskiej za oczywistość, „bękartem Zachodu", któremu przyszło żyć w świecie ucywilizowanym przez białych, krainie doskonałej sztuki i brutalnego prawa. Raz ciska szklanką z wodą w kelnerkę, która beznamiętnie wygłasza formułkę: „Nie obsługujemy Murzynów". Biały przyjaciel myli tropy, żeby policja nie aresztowała Baldwina. Dopiero emigracja do Francji pozwoli mu uświadomić sobie własny kompleks: „Zostałem zmuszony uznać coś, co zawsze przed sobą ukrywałem, ↦

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



JH / EAST NEWS

James Baldwin (pierwszy z prawej) podczas demonstracji ku czci czterech ofiar zamachu bombowego w Birmingham (Alabama), Nowy Jork, 22 września 1963 r.

↦ (...) że nienawidzę białych ludzi i boję się ich. Nie oznaczało to bynajmniej, że kochałem czarnych; wręcz przeciwnie – gardziłem nimi, być może dlatego, że spośród nich nie wyszedł Rembrandt".

Do szkoły średniej w Bronksie chodzi z Richardem Avedonem, przyszłym fotografem „Vogue'a". W 1964 r. wydadzą album z współczesnymi twarzami Ameryki, opatrzony gorzkim tekstem Baldwina. Uczy się w Actors' Studio u Elii Kazana, ale nie czuje, by aktorstwo było jego powołaniem. W 1948 r. wyjeżdża do Europy, aby zostać pisarzem. W Ameryce „nikt mi (...) nie powiedział, że Aleksander Dumas był Mulatem. Nikt mi nie powiedział, że Puszkin był czarny" – mówi w rozmowie z poetką Nikki Giovanni.

Artysta/aktywista

Kiedy dociera do Paryża, mieszka tam już głos czarnej literatury: Richard Wright, autor „Syna swego kraju" (1940). Nad Sekwaną Baldwin tworzy pierwszą powieść „Głoś to na górze" (1953, pol. wyd. 1966), w której wyraźnie słychać echa rodzinnego domu. Historia emancypującego się w rasowo podzielonym i heteroseksualnym świecie Johna Grimesa, pasierba kaznodziei, zostaje przez krytykę przyjęta jako zapowiedź tego, że wkrótce spod pióra młodego pisarza wyjdzie arcydzieło. Jednak ono nie przychodzi, a kolejne powieści są oceniane coraz gorzej.

Baldwin jest jednym z tych autorów, którzy całe życie pisali tę samą powieść, z podobnym bohaterem, który uczy się poruszać w gęstej rzeczywistości rasowych podziałów, a sztuka staje się dla niego enklawą, w której na ulotną chwilę te społeczne zasieki przestają obowiązywać. Akcja „Innego kraju" (1962), najpoczytniejszego utworu pisarza, toczy się w artystowskich kręgach Nowego Jorku, a sugestywnych scen miłosnych w niej nie brakuje. Krytykom zabrakło jednak jasnego opowiedzenia się po jednej ze stron rasowego konfliktu, a Baldwinowi zarzucano granie pod białą publiczkę. W „Innym kraju" ranią się wszyscy, niezależnie od koloru skóry, ale najbrutalniejsi są czarni. „Chwilami (...) chciałabym zmienić się w olbrzymią pięść i zetrzeć ten cholerny kraj na proszek" – peroruje Ida Scott, początkująca pieśniarka, zanim zdradzi białego kochanka. Gdyby nie nonszalancko potraktowana warstwa literacka, byłaby to być może najbliższa arcydziełu powieść Baldwina, dlatego właśnie, że jest tak nieprogramowa. Jednocześnie pokazuje w dojmujący sposób, że w kraju, jakim była ówczesna Ameryka, nie ma nadziei na miłość „bezbarwną", niezależną od pigmentu skóry.

Podobnie w „Powiedz mi, jak dawno odszedł pociąg" (1968) Leo Proudhammer, aktor i aktywista, rezygnuje z miłości oddanej mu białej aktorki i wiąże się z czarnym bojownikiem Christopherem. Tej powieści Baldwina wytykano z kolei ostentacyjną polityczność.

Następna fabuła, sfilmowana w ubiegłym roku przez Barry'ego Jenkinsa, „Gdyby ulica Beale umiała mówić" (1974), jest odpowiedzią na zarzuty o polityczną dwulicowość. Fonny, rzeźbiarz-samouk, zostaje niesłusznie oskarżony o gwałt na Portorykance, wytypowany jako sprawca przez białego policjanta, któremu zdążył zajść za skórę. Jego położenie jest jawnym błędem amerykańskiego systemu sprawiedliwości, i to błędem przez ten system przewidzianym. Fonny może jednak liczyć na bezgraniczne wsparcie narzeczonej Tish i jej bliskich.

I ta powieść nie podoba się krytykom, zaskoczonym szlachetnością i naiwnością głównych bohaterów, tak różną od postaw wcześniejszych protagonistów pisarza. W obronę bierze ją Joyce Carol Oates, przekonana tym, jak autor kreśli racje i uczucia dziewiętnastolatki. Szczególnie wiarygodnie wypadają sceny erotyczne pisane z jej perspektywy. W ogóle portrety silnych kobiet oraz opisy najbardziej intymnego wymiaru miłosnych relacji są mocną stroną twórczości Baldwina. Sensualność w odpowiedniej proporcji krzyżuje się z cielesnością, a pożądanie z miłością. To, co kiedyś mogło szokować, dziś błyszczy na tle wulgarności, kiczu albo świętoszkowatości innych powieściowych „momentów".

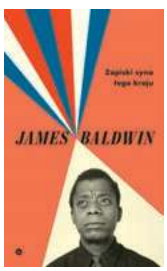
W 1957 r. wraca do Ameryki. Jedzie do Little Rock, gdzie desegregacja w szkołach przebiega w asyście Gwardii Narodowej. Bierze udział w najważniejszych marszach w historii ruchu czarnych Amerykanów. Eseje zebrane w tomie „Następnym razem pożar" (1963) narażają go na zarzut o szerzenie stereotypów o białych Ameryka-

nach. W 1966 r. tytułuje tekst o brutalnej pacyfikacji Harlemu „Do wszystkich zainteresowanych: raport z oblężonego terytorium". Na początku lat 70. przewiduje nadejście nowego holokaustu, wymierzonego w czarnych. Jednak kiedy ukazuje się jego rozmowa z nobliwą antropolożką Margaret Mead, „A Rap on Race", zostaje odebrana jako refleksja czysto intelektualna i nienadążająca za aktualnymi arenami rasowej rywalizacji.

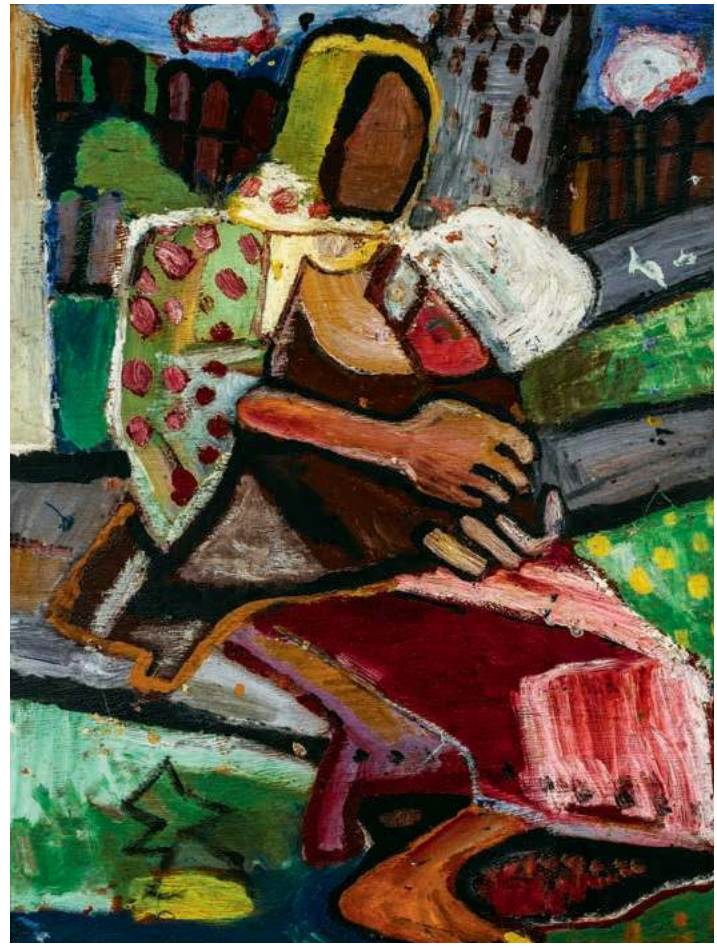
Solidaryzuje się z Czarnymi Panterami, a w 1972 r. ukazuje się „List otwarty do mojej siostry, panny Angeli Davies", będący wsparciem dla więzionej wówczas radykalnej aktywistki. Baldwin podsyca pożar, ale wyraża nadzieję, że można go ugasić, kiedy nie tylko biali nie będą poniżać czarnych, ale też czarni przestaną nienawidzić białych. Podkreślanie gotowości do zbratania jest czymś, co biali liberałowie przyjmują z otwartymi ramionami, rozumiejąc tę ideę bardzo powierzchownie, a zagorzali wojownicy o sprawę nie rozumieją. „Nie proponuje żadnych nowych rozwiązań problemu relacji rasowych w Ameryce. Jego podstawowe rozwiązanie jest tak stare jak Biblia i tak proste jak Kazanie na Górze" – ironizuje guru krytyków Nick Aaron Ford.

Umiera 1 grudnia 1987 r. na chorobę nowotworową. Ostatnie lata spędza głównie w Saint-Paul-de-Vence na francuskiej riwierze. Tak, Europa daje mu artystyczną i osobistą wolność. Jednak nie wybacza jej tego, że wymyśliła niewolnictwo, że to ona urodziła białą Amerykę. We Francji nie dano mu zapomnieć, że jest czarnym Amerykaninem. Obchodzenie się z nim z podejrzliwą ostrożnością, jak z nieświeżym jajkiem, dobitnie opisuje w „europejskiej" części „Zapisków". To nie w Ameryce, lecz w Paryżu był aresztowany za rzekomą kradzież hotelowego prześcieradła, to we francuskim więzieniu był traktowany jak ochłap człowieka. Jeśli „Zapiski" mogły być alibi dla antyamerykanizmu, to na pewno nie mogą być alibi dla Europy.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK



James Baldwin, **ZAPISKI SYNA TEGO KRAJU**, *przeł. Mikołaj Denderski, Karakter, Kraków 2019.*



MATEUSZ SZCZYPIŃSKI / PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

Leopold Lewicki, Kobieta z dzieckiem, 1930-35

Idzie młodość

PIOTR KOSIEWSKI

Połączył ich nie tylko bunt wobec systemu nauczania. Nie mniej ważny był sprzeciw wobec sytuacji społecznej i politycznej.

Pierwsza Grupa Krakowska, stworzona przez studentów krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, w większości dwudziestoparolatków, działała zaledwie kilka lat.

Los z wieloma jej członkami obszedł się okrutnie. Stanisław Osostowicz zginął podczas oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. Mojżesz Schwanenfeld prawdopodobnie został zamordowany w getcie lwowskim w 1942 r. Jonasz Stern, tam też osadzony, przeżył rozstrzelanie, wydostał się spod sterty ciał. Do końca życia odwoływał się w swej twórczości do Zagłady. Henryk Wiciński zmarł na gruźlicę w 1943 r. w szpitalu w Krakowie. Franciszek Jaźwiecki, więzień m.in. Auschwitz i Gross-Rosen, schorowany zmarł w 1946 r. Sasza Blonder zginął w wypadku we Francji trzy lata później.

Istotna część dorobku członków Grupy została zniszczona podczas wojny. A jednak stała się jedną z wielkich legend polskiej sztuki.

KRAKÓW Muzeum Narodowe w Krakowie przypomina ponad 300 dzieł Grupy Krakowskiej, obrazów, rysunków, grafik i rzeźb, projektów kostiumów i scenografii teatralnych – wpisanych w ówczesne konteksty ↦



MATEUSZ SZCZYPIŃSKI / PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

Powyżej: Eugeniusz Waniek, Jarmark, 1936 r.
Na sąsiedniej stronie: Jonasz Stern, Zabudowania miejskie, 1932 r.
Poniżej: Maria Jarema, Macierzyństwo (Matka i dziecko), ok. 1932 r.



JOANNA RUDNIAŃSKA

↦ artystyczne, polityczne i społeczne. Jednocześnie jest to wystawa o Krakowie i miejscowej Akademii. To w niej studiowali przyszli członkowie Grupy Krakowskiej.

Grupa artystycznie była zaskakująco niejednorodna. Często zanurzona w tradycji. Jej członkowie wiele zaczerpnęli od swoich profesorów, z którymi równocześnie walczyli. Przede wszystkim, jak podkreśla kuratorka wystawy Anna Budzałek, to im zawdzięczają swój warsztat artystyczny, nawet sposób kładzenia farby. Przy czym poszczególni jej członkowie odwoływali się do bardzo różnych źródeł – od ekspresjonizmu po kubizm i surrealizm.

W większości pozostali też wierni figuracji. Po język abstrakcji sięgali nieliczni z nich, jak Sasza Blonder, którego obrazy przypominają skomplikowane układanki. I ostatecznie w rzeźbie, a nie w malarstwie czy grafice, okazali się chyba największymi nowatorami, poruszając się na granicy między figuracją a abstrakcyjnymi formami. Prace Marii Jaremy, Henryka Wicińskiego czy niesamowita „Kompozycja muzyczna" (1934-35) Leopolda Lewickiego to jedne z największych osiągnięć polskiej rzeźby w ubiegłym stuleciu.

Jonasz Stern pisał po latach o ich wczesnych fascynacjach, dobrze wydobywając niejednorodność Grupy: „[fascynowaliśmy się] poetyką Chagalla, dramatycznością Picassa, porządkiem Légera, ostrością polityczną Grosza, charakterem i formą nowoczesnego teatru Piscatora". A wśród polskich artystów ważni byli Mieczysław Szczuka, Henryk Stażewski i Władysław Strzemiński czy Leon Chwistek. „Nasza praca artystyczna rozwinęła się w klimacie idei tych artystów, często bardzo różniących się od siebie – podkreślał Stern – ale torujących drogę nowej wizji świata i związanych z postępowym ruchem społecznym".

MŁODZI W czasie studiów byli chwaleni, często nagradzani. Jednak się zbuntowali. Połączył ich sprzeciw wobec tradycjonalistycznych metod studiów i konserwatywnej wizji artysty i sztuki. O powstaniu Grupy zadecydowały ostatnie tygodnie roku akademickiego 1931/32. 18 czerwca 1932 r. otwarto doroczną wystawę prac studentów.

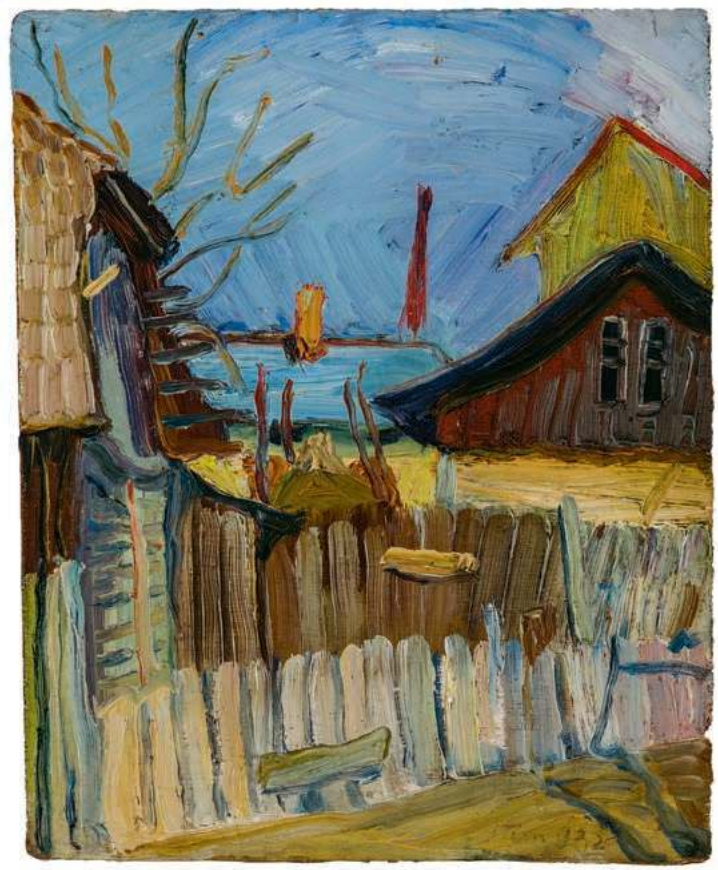
Prace m.in. Lewickiego czy Osostowicza uznane zostały za niestosowne. Podejrzane okazały się nie tylko dzieła o problematyce politycznej i społecznej, ale też... przedstawienie maciory z prosiętami (uznano je za ubliżające dla wykładowców ASP). Władze uczelni we współpracy z policją usunęły te prace z wystawy. Doszło do rewizji mieszkań i aresztowania siedmiu studentów. 9 listopada Leopold Le-

wicki, Stanisław Ostostowicz i Franciszek Jaźwiecki zostali relegowani z uczelni, a ich kolegom udzielono nagan bądź zawieszono ich w prawach studentów.

W listopadzie 1932 r. usunięci z ASP pokazali swe prace w Domu Artystów przy pl. Świętego Ducha. Na wernisażu Ostostowicz mówił: „Zamierzamy wyprowadzić sztukę z dotychczasowego błogostanu pracowni Szanownych Panów Bakałarzy, gdzie ona drzemie w dymach kopcących z tradycyjnych trójnogów. Sztuka przyszłości musi się zetknąć z nurtem społecznych zagadnień zasilających jej żyły wiecznie świeżą krwią". Podkreślał: „Jestem zadowolony, że mnie wylali z Akademii (...) to bluff oficjalny i bujda, nieprawda i ogłupianie z góry". I dodawał: „zwyciężyłem na całej linii". W kolejnym roku we Lwowie zostaje zorganizowana pierwsza wystawa Grupy Krakowskiej. Potem dochodzi do dwóch następnych: w Liceum Krzemienieckim (1934) oraz Domu Plastyków w Krakowie (1935).

Połączył ich nie tylko bunt wobec systemu nauczania. Nie mniej istotny był sprzeciw wobec sytuacji społecznej i politycznej. Pod Wawelem pamiętano o zamieszkach z 6 listopada 1923 r., buncie robotników pacyfikowanym przez policję i wojsko; po obu stronach zginęły 32 osoby. Wielki kryzys tylko pogłębił konflikty. Wielu przyszłych założycieli Grupy Krakowskiej związało się z Komunistycznym Związkiem Młodzieży Polskiej i trafiło do Komunistycznej Partii Polski lub przynajmniej z myślą lewicową sympatyzowało. Kolejne wydarzenia – fale protestów przetaczające się przez cały kraj w 1933 r. czy krakowskie strajki w Fabryce Czekolady „Suchard" SA oraz w Polskich Zakładach Gumowych „Semperit" w marcu 1936 r. zakończone wiecem z udziałem 10 tys. osób i starciami z policją – sprzyjały radykalizacji artystów oraz podziałom wewnątrz Grupy.

Grupa łączy też aktywność artystyczną z działalnością propagandową, popularyzatorską i polityczną. Dla wielu wszystkie te sfery są równie istotne. Protestują przeciwko korupcji artystów i instytucji artystycznych oraz cenzurze sztuki. „Grupa Krakowska wyraża solidarność z walczącymi o swoje prawa masami pracującymi, awangardą postępu społecznego, stojąc w szerokim froncie ludowym" – piszą artyści w deklaracji wydanej w 1935 r. Są przesłuchiwani, aresztowani. Szymon Piasecki zostaje skazany na półtora roku więzienia. Stern trafia do Berezy Kartuskiej.



MATEUSZ SZCZYPIŃSKI / PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

INNA SZTUKA Wystawa dobrze pokazuje zaangażowanie polityczne Grupy, ale też społeczny wymiar ich twórczości artystycznej. Zwrócenie uwagi na zwykłych ludzi, niepochodzących z klas nieuprzywilejowanych. Tych z „gorszych" dzielnic wielkich miast, ale przede wszystkim z Polski prowincjonalnej, małomiasteczkowej. „Reprezentowaliśmy prowincję – nieokrzesaną, głodną, żarliwą, nie zblazowaną mieszczańskimi manierami, nie związaną koneksjami z krakowskim Olimpem" – wspominał po latach Stern.

Przedstawiają protesty robotnicze, ubogich, bezdomnych. Życie codzienne przedmieść miast, tanie bary, jadłodajnie, targowiska, ale też kino, przedstawienia plenerowe.

Jest w ich pracach miejsce także na religijność: Jaźwiecki maluje procesję, Waniek przedstawia wnętrze krakowskiej katedry. Ale przede wszystkim pokazują polską prowincję. Ososowicz pozostawił po sobie widoki Krzemieńca, Blonder – Czortkowa.

Nie mniej ważne było wychodzenie poza tradycyjne ramy sztuki. Wierciński szuka nowej formuły pomnika, czego przykładem jest obecny na wystawie projekt dla Łodzi z 1929 r. Również Maria Jarema już po wojnie projektuje zaskakujący pomnik Chopina w formie fontanny, który został zrealizowany dopiero w 2006 r. na krakowskich Plantach.

Coraz większe zaangażowanie polityczne, aresztowania, wreszcie usunięcie w 1937 r. ze Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków kończy działalność pierwszej Grupy Krakowskiej. Dwadzieścia lat później powstaje kolejna. Wśród jej założycieli są przedwojenni członkowie ugrupowania: Maria Jarema, Adam Marczyński i Jonasz Stern, ale też m.in. Tadeusz Brzozowski, Tadeusz Kantor, Jadwiga Maziarska, Jerzy Nowosielski czy Erna Rosenstein. Druga Grupa Krakowska stała się najbardziej wpływowym środowiskiem w polskiej sztuce II połowy XX wieku. A jej poprzedniczka – założycielskim mitem powojennej awangardy.

© PIOTR KOSIEWSKI

IDZIE MŁODOŚĆ! I GRUPA KRAKOWSKA,
Muzeum Narodowe w Krakowie – Kamienica Szołayskich, wystawa czynna do 5 stycznia 2020 r., Kurator Anna Budzałek.

Morskie opowieści



ANITA PIOTROWSKA

Nowy film Roberta Eggersa jest równocześnie czarno-białym horrorem, baśnią dla dorosłych, legendą marynistyczną oraz czarną komedią.

Nic dobrego nie może się wydarzyć, kiedy dwóch mężczyzn zostaje uwięzionych w gigantycznym fallusie" – powtarza w wywiadach Robert Eggers, reżyser „The Lighthouse". Mowa o XIX-wiecznej latarni morskiej, choć tak naprawdę pułapkę w jego filmie stanowi całe skaliste wybrzeże przylądka Forchu w Nowej Szkocji, gdzie dwóch odciętych od świata latarników walczy z mściwymi mewami i własnymi ciałami, ze sztormem i własnym obłędem. A staroświecki, niemal kwadratowy format kadru sprawia, że widz czuje się uwięziony razem z nimi – pośród przeciągłych odgłosów syren mgłowych i lepkich fantazji o mitycznych syrenach. Wśród rubasznych morskich opowieści i „wysokich" kulturowych tropów.

Co kryje w sobie owa latarnia? Dlaczego starszy mężczyzna broni młodszemu wstępu na jej szczyt? Akcja „The Lighthouse" tak naprawdę rozgrywa się w cieniu wspomnianego fallusa, w zapuszczonej, wilgotnej części mieszkalnej, gdzie „nowy", niejaki Ephraim Winslow, usługuje starszemu o nazwisku Tom Wake, krząta się po obejściu i trzyma wachtę, dorzucając do latarniowego pieca. Między młodym, milczkowatym wagabundą z podejrzaną przeszłością a starym, gadatliwym wilkiem morskim toczy się nieustająca gra o władzę.

Ale mroczna i cudaczna zarazem aura filmu sugeruje, że chodzi o coś znacznie więcej niż jakieś samcze przepychanki w stylu krótkometrażowych „Ssaków" Romana Polańskiego (1962). Pańsko-niewolnicza dialektyka ma tu wyraźnie seksualne podłoże, choć równie dobrze można by skleić te skazane na siebie nawzajem postacie w jedną, bardziej skomplikowaną całość bądź doszukiwać się w nich rozmaitych inkarnacji czy projekcji. Albo, jak chce sam reżyser, znowu sięgnąć po mitologię, żeby zobaczyć w Tomie i Ephraimie ubrane w wiktoriański kostium ponadczasowe figury Proteusza i Prometeusza. A wszystko to w przebraniu cokolwiek groteskowej morskiej gawędy o szorstkiej męskiej przyjaźni, zawieszonej w ciężkich oparach whisky.

Film Eggersa, będący równocześnie czarno-białym horrorem, baśnią dla dorosłych, legendą marynistyczną i czarną komedią, nawiązuje luźno do autentycznych zdarzeń i otwiera się na lektury wszelkiego kalibru. Skłania ku temu chociażby operatorski geniusz Jarina Blaschke, oszczędnie rzeźbiącego światłem, zapatrzonego w niemieckich ekspresjonistów i wczesną fotografię. Ów formalny naddatek przebija również w złowrogiej warstwie dźwięków oraz w rozbudowanych dialogach, których scenarzyści, Eggers i jego brat Max, uczyli się podobno od Hermana Melville'a, Roberta Louisa Stevensona czy H.P. Lovecrafta. Jeśli dodamy do tego pijacko-poetyckie tyrady dawnego matrosa, łączące sprośny marynarski żargon z frazą na kształt Szekspira czy Miltona, efekt będzie cokolwiek brawurowy – jak gdyby ktoś postawił w salonie bogato zdobiony, acz mocno zardzewiały nocnik, do tego jeszcze pełny. Rekwizyt ów odgrywa zresztą istotną rolę w „The Lighthouse", a w jednej ze scen przywiewa nawet skojarzenia z „Big Lebowskim" braci Coenów.

Albowiem wszystko tu pracuje na mocny stylistyczny efekt. W beznadziej-

TP *Kluby „TP" zapraszają na spotkania*

OLSZTYN, piątek, 6 grudnia, godz. 17.00
„Hospicjum w centrum życia". Gośćmi będą: Katarzyna Jabłońska, prof. Krystyna de Walden-Gałuszko, dr Elżbieta Szałkiewicz, ks. Paweł Zięba.
Miejsce: WBP, sala konferencyjna 3 (ul. 1 Maja 5, wejście od parkingu).

WARSZAWA, czwartek, 12 grudnia, godz. 18.00
„Od solidarności po iluzję" – „Etyka solidarności" ks. J. Tischnera.
Gościem będzie: Anna Karoń-Ostrowska.
Miejsce: sala KIK, II piętro (ul. Freta 20/24A).

WROCŁAW, środa, 11 grudnia, godz. 17.00
„Najważniejszy wrzesień świata", autorskie spotkanie z Markiem Rabijem – autorem reportażu o Rohingach, redaktorem „Tygodnika Powszechnego".
Miejsce: Klub Literacki „Proza" (ul. Przejście Garncarskie 2).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „The Lighthouse”

nym oczekiwaniu na tender, czyli statek zaopatrujący, który umożliwi bohaterom dalsze przetrwanie na miotanym wichrem odludziu, nawiedzają ich sny, pijackie wizje i duchy zmarłych na morzu marynarzy mieszkające w okolicznych mewach. O tym, że Eggers ma ucho i oko wyczulone na lokalne bajędy, przekonaliśmy się już przy okazji jego znakomitego debiutu – „Czarownicy. Bajki ludowej z Nowej Anglii” (2015) – w którym połączył temperament opowiadacza strasznych historii z etnograficzną żyłką. Rzecz osadził w pierwszej połowie XVII w. niedaleko swego rodzinnego New Hampshire, w społeczności purytanów, w bliskim otoczeniu natury, tamtejszych wierzeń i przesądów. Amerykański reżyser (rocznik 1983) został wówczas namaszczony na mistrza niezależnego i lekko „przekręconego” horroru, a dziś potwierdza swoje powołanie, tym razem z wykorzystaniem gwiazdorskiej obsady, choć warto dodać, że z równie skromnym budżetem.

Na ekranie spotykają się nie tylko dwa aktorskie pokolenia, ale wręcz dwie ikony: Willem Dafoe i Robert Pattinson. Odrażający, brudni, zarośnięci, w klaustrofobicznej atmosferze i skrajnie nieprzyjaznych warunkach pogodowych, wypełniają sobą całą przestrzeń filmu. Odstawiają przy tym aktorski pojedynek, w którym, podobnie jak między dwójką bohaterów, nieważni są ostateczni zwycięzcy, bo liczy się temperatura interakcji, a tego w „The Lighthouse” nie brakuje. Powoli (to słowo należałoby bardzo mocno podkreślić) narastające szaleństwo czy zmienna dynamika psychologiczna skłaniają raczej do ironicznej kontemplacji niż do emocjonalnego przeżywania, co w przypadku tradycyjnie rozumianego kina grozy nie byłoby zapewne komplementem. Eggersowi chodzi jednak przede wszystkim o smakowanie tajemnicy, o podsycanie niewiadomego, aluzyjnego, dziwnego, a nie o suspens zakończony rozładowaniem napięcia. I wszelkie seksualne skojarzenia też byłyby tu jak najbardziej na miejscu. ©

THE LIGHTHOUSE – *reż. Robert Eggers. Prod. Kanada/USA 2019. Dystryb. UIP.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [7 – 13 XII]

1. Europejskie Nagrody Filmowe

Gala, TVN Fabuła, 7 XII, 19.00

32. edycja „europejskich Oscarów” odbędzie się w Berlinie. Wśród nominowanych, obok takich tytułów, jak „Ból i blask” Pedro Almodóvara, „Zdrajca” Marca Bellocchia czy „Faworyta” Jorgosa Lantimosa, znalazł się „Oficer i szpieg” Romana Polańskiego, opowiadający o sprawie Alfreda Dreyfusa, typowany w kilku kategoriach. Obejrzymy bezpośrednią transmisję z tego wydarzenia.

2. Pamięć ekstremalna



Dokumentalny, reż. Janet Tobias, Claus Wehlisch, USA 2018, Canal+ Dokument, 7 XII, 23.10

Zapamiętywanie stało się dziś dyscypliną sportową. Pochodzący z różnych krajów bohaterowie filmu przygotowują się do „igrzysk pamięci”. W jaki sposób są w stanie przyswajać tak wielkie ilości danych? Okazuje się, że nie jest to wyłącznie kwestia wrodzonego geniuszu. Dokument przybliża techniki, które pozwalają na rozwijanie sportów umysłowych.

3. Uczciwy człowiek



Dramat, reż. Mohammad Rasoulof, Iran 2017, Ale kino+, 8 XII, 17.45

Irańczycy też mają swoje kino moralnego niepokoju. Reżyser filmu „Rękopisy nie płoną” opowiada tym razem o zesłanym na prowincję intelektualiście, który próbuje przestrzegać moralnych zasad na przekór panującemu wokół skorumpowanemu systemowi. Film jest zarówno oskarżycielską metaforą państwa, jak i niejednoznacznym portretem jego mieszkańców.

4. Diego



Dokumentalny, reż. Asif Kapadia, Wielka Brytania 2019, vod.pl

Po Ayrtonie Sennie i Amy Winehouse brytyjski dokumentalista wziął na warsztat kolejną biografię „przeklętą”. Portretuje Maradonę w kluczowym dla niego momencie, kiedy po sukcesach w SSC Napoli staje się bohaterem skandali i finansowych przekrętów. Historia spektakularnego upadku argentyńskiego piłkarza opowiedziana została w dużej mierze za pomocą nieznanych dotąd archiwaliów.



Nominowani oraz laureat Nagrody w Filharmonii Łódzkiej, 24 listopada 2019

Poszerzanie widzenia

„Humanistyka jest niezwykle ważna, dlatego nie możemy funkcjonować w oderwaniu od reszty społeczeństwa" – mówił profesor Grzegorz Ziółkowski, odbierając Nagrodę im. Tadeusza Kotarbińskiego.

Nagroda im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Prof. Tadeusza Kotarbińskiego, istniejąca już od pięciu lat, przyznawana jest autorowi wybitnej pracy naukowej z zakresu nauk humanistycznych wydanej w poprzednim roku kalendarzowym. Powołana została, aby przypomnieć o kluczowej roli humanistyki nie tylko w życiu społecznym i kulturalnym, ale również naukowym. W rzeczywistości zdominowanej przez logikę rynkową niestety coraz częściej stawia się na rzeczy mające łatwe i bezpośrednie zastosowanie dla bieżącej rzeczywistości – przez co pomija się inne sfery życia, kluczowe dla rozwoju człowieka i całej cywilizacji.

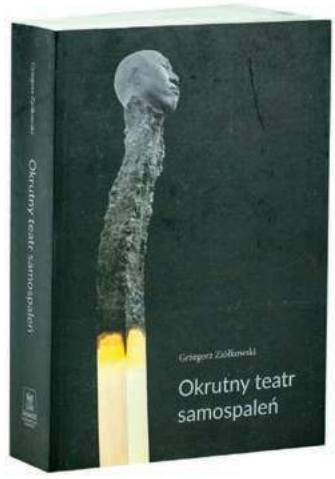
Uniwersytet Łódzki, powołując swoją nagrodę, postanowił to zmienić. Dlatego też nie może dziwić wybór patrona, pierwszego rektora uczelni, profesora Tadeusza Kotarbińskiego – człowieka, dla którego humanistyka to nie tylko wąska dyscyplina naukowa, ale przede wszystkim rodzaj wrażliwości, bez której każda nauka zatraca swój sens. To rozumienie humanistyki – jako podstawowego języka dla opisu kondycji człowieka i jego świata – stoi właśnie u podstaw myślenia jury Nagrody. Taka humanistyka jest nam dziś niezwykle potrzebna, gdyż pozwala na kształtowanie otwartego społeczeństwa, dając jednocześnie narzędzia do krytycznego odbioru rzeczywistości.

Od momentu powstania Nagrody udało się stworzyć również inną nieocenioną wartość – ogólnopolskie środowisko wybitnych humanistów, którzy w przyszłości wyznaczać będą kierunki rozwoju tej nauki. W tym celu właśnie powstało Kolegium Refleksji Humanistycznej im. prof. Tadeusza Kotarbińskiego, które spotyka się regularnie, aby debatować o największych wyzwaniach stojących przed polską nauką i akademią.

W tym roku Nagrodę przyznano po raz piąty i otrzymał ją profesor Grzegorz Ziółkowski za książkę „Okrutny teatr samospaleń. Protesty samobójcze w ogniu i ich echa w kulturze współczesnej", wydaną przez Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zgłoszono w sumie 76 pozycji, z których Kapituła wybrała pięć prac finałowych. Zwycięzca został ogłoszony 24 listopada podczas uroczystej gali w Filharmonii Łódzkiej i otrzymał nagrodę pieniężną w wysokości 50 000 zł.

„Ta Nagroda jest przypomnieniem o znaczeniu roli kulturoznawców, historyków, teatrologów i innych badaczy oraz badaczek zajmujących się humanistyką. Wszystkie te osoby odgrywają kluczową rolę w naszym życiu, gdyż poszerzają zakres naszego widzenia, wyostrzają nasz wzrok na rzeczy fundamentalne. Ale to także przypomnienie dla całego środowiska akademickiego, że nasza praca jest ważna i nie możemy funkcjonować w oderwaniu od reszty społeczeństwa" – mówił prof. Ziółkowski. ©℗ MS

MATERIAŁ PROMOCYJNY



MACIEJ ANDRZEJEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

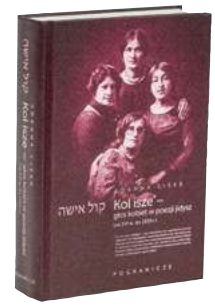
KSIĄŻKA PROFESORA ZIÓŁKOWSKIEGO poświęcona jest zjawisku skrajnej formy protestu, czyli samospaleniu, a także wybranym dziełom sztuki, które o tym opowiadają. Ta forma niezgody na rzeczywistość, wiążąca się z ciężkim samookaleczeniem, a często śmiercią, jest w swojej naturze także formą spektaklu – czymś przeznaczonym do oglądania (na żywo bądź z odtworzenia). Prof. Ziółkowski skupia się przede wszystkim na tej formie ekspresji, gdzie poprzez skrajne cierpienie zadawane ciału przez ogień komunikowana jest radykalna moralna niezgoda na łamanie podstawowych wartości w życiu społecznym i politycznym.

Grzegorz Ziółkowski **OKRUTNY TEATR SAMOSPALEŃ. PROTESTY SAMOBÓJCZE W OGNIU I ICH ECHA W KULTURZE WSPÓŁCZESNEJ**
Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2018

POZOSTALI NOMINOWANI DO NAGRODY:



Andrzej Franaszek
HERBERT. BIOGRAFIA
Znak
Kraków 2018



Joanna Lisek
KOL ISZE – GŁOS KOBIET W POEZJI JIDYSZ (OD XVI W. DO 1939 R.)
Fundacja Pogranicze
Sejny 2018



Magdalena Matysek-Imielińska
MIASTO W DZIAŁANIU. WARSZAWSKA SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA – DOBRO WSPÓLNE W EPOCE NOWOCZESNEJ
Fundacja Bęc Zmiana
Warszawa 2018



Zuzanna Zbróg i Piotr Zbróg
KONSTRUOWANIE REPREZENTACJI SPOŁECZNEJ ZAPOŻYCZEŃ DO KOŃCA WIEKU XVIII
Universitas
Kraków 2018

LAUREACI POPRZEDNICH EDYCJI NAGRODY:

2015: prof. JAN STRELAU (SWPS) za książkę „Różnice indywidualne. Historia–Determinanty–Zastosowania”
2016: dr hab. EWA KOŁODZIEJCZYK (PAN) za książkę „Amerykańskie powojnie Czesława Miłosza”
2017: dr hab. DOROTA SAJEWSKA (IKP UW) za książkę „Nekroperformans. Kulturowa rekonstrukcja teatru Wielkiej Wojny”
2018: prof. ANDRZEJ FRISZKE (PAN) za książkę „Sprawa Jedenastu. Uwięzienie przywódców NSZZ Solidarność i KSS KOR 1981–1984”

TADEUSZ MARIAN KOTARBIŃSKI (1886–1981) był polskim filozofem, logikiem i etykiem, twórcą etyki niezależnej oraz reizmu – poglądu będącego wersją nominalizmu, według którego jedynie konkretne rzeczy istnieją realnie. Przedstawiciel lwowsko-warszawskiej szkoły filozoficznej, po II wojnie światowej przeniósł się do Łodzi, gdzie został współtwórcą Uniwersytetu Łódzkiego i jego pierwszym rektorem. Jednym z jego najwybitniejszych dzieł jest „Traktat o dobrej robocie” z 1955 r., poświęcony prakseologii (teorii sprawnego działania). W latach 30. XX w. aktywnie sprzeciwiał się antysemityzmowi, protestując m.in. przeciwko wprowadzeniu gett ławkowych. Do dziś uchodzi za autorytet moralny oraz wzór niezależności myślenia.

NAGRODA IM. PIERWSZEGO REKTORA UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO
Prof. Tadeusza Kotarbińskiego

UNIWERSYTET ŁÓDZKI

JAN

Klata:
Souvenir



Życie w internetach fascynuje do rozpuku, do imentu, do dna den, dbają o to zmyślne demony zwane teraz dla niepoznaki algorytmami. Algorytmy wiodą na manowce, spotykamy je na rozdrożu, podsuwają nam przed oczy rzeczy, których po prostu nie da się odzobaczyć. Na przykład ozdoby bożonarodzeniowe z barakami Auschwitz i drutem kolczastym. Do nabycia również brama obozu i tory. Można sobie zawiesić na choince w Wigilię i podzielić się opłatkiem, dajmy na to. Wystarczy kliknąć i kupić porcelanowe dekoracje na Amazonie... W formie gwiazdek, dzwonków... Można również poczekać do sylwestra i otworzyć piwo porcelanowym przyrządem do kapsli, przyozdobionym – wypisz, wymaluj – wedutą najsłynniejszego obozu koncentracyjnego. Mam nieodparte wrażenie, że wszystkie owe pamiątkowo-bożonarodzeniowe gadżety wykonała rękodzielnie Niewidzialna Ręka Rynku, pracująca dla najbogatszego człowieka świata, szefa Amazona, samego Jeffa Bezosa.

Muzeum Auschwitz zaprotestowało, niezapomnianych ozdób nie można już kupić (przynajmniej na Amazonie), ale mnie nasuwa się szereg pytań, nie może się ów szereg powstrzymać, więc się nieodparcie nasuwa. Kto zamówił coś takiego? Kto coś takiego zaprojektował? Kto coś takiego wykonał? Odpowiedź „Chińczycy" nie wchodzi w grę, przecież nie można wszystkiego zwalać na Chińczyków, nie przesadzajmy z trumpizmem (choć Rocky rządzi). I ostatnie pytanie: ile sztuk Amazon zdążył sprzedać? Kto sobie to zamierza powiesić na choince?!

Oczywiście niefortunne gadżety z Auschwitz są częścią dostępnej na Amazonie kilkudziesięcioelementowej serii turystycznej z największymi atrakcjami Polski (załapały się nawet wrocławskie krasnale), no ale akurat w dobie Auschwitz Tour nie zdumiewa, że obóz znalazł się między fontanną Neptuna a Syrenką. I żeby nie było żadnych wątpliwości – w końcu pamiątka na całe życie – na niektórych świątecznych gwiazdach z drutem kolczastym widnieje wyraźny napis: „Kraków, Poland". A powinno być: „Tu byłem, Jeff Bezos". ©

Lektor:
Nieśmiały demon



▪ *Jun'ichirō Tanizaki*
MIŁOŚĆ GŁUPCA
Przeł. Nikodem Karolak.
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2019, ss. 272

Początek XX wieku, 28-letni inżynier Jōji Kawai poznaje 15-letnią Naomi, kelnerkę z kawiarni w tokijskiej dzielnicy Asakusa. Urzeczony jej wdziękiem, nieśmiałością i dziewczęcą, nieco europejską urodą, która przypomina mu słynną aktorkę Mary Pickford, postanawia się nią zaopiekować i sfinansować jej edukację. Trochę jak w „Pigmalionie" George'a Bernarda Shawa – jednak akcja powieści Tanizakiego, wydanej w 1924 roku, rozwinie się zupełnie inaczej niż we wcześniejszej o 12 lat sztuce Shawa. Kawai nie jest profesorem Higginsem, a już Naomi zupełnie nie przypomina szlachetnej i zdolnej, choć niewykształconej kwiaciarki Elizy Doolittle. To raczej kolejny wariant modernistycznej kobiety demonicznej, w którą stopniowo – i dosyć szybko – przemienia się wzruszająco dziecinna i naiwna z pozoru nastolatka, gdy już zamieszka ze swoim opiekunem, a później mężem w wynajętym specjalnie domku. Opowieść Kawaiego – bo to on relacjonuje historię dziwnego związku – stanowi studium namiętności podszytej sadomasochizmem, prowadzącej do zamiany ról i całkowitego uzależnienia. Kiedy narrator wyrzuca Naomi z domu, nie mogąc już znieść jej swobodnego życia i kłamstw, szybko się okazuje, że nie może bez niej żyć. Naomi w końcu wraca, teraz jednak to ona podyktuje warunki... W tle mamy wątek spotkania japońskiej tradycji z europejskością, która fascynuje oboje bohaterów: stąd eksperymenty Naomi z fryzurami, makijażem i strojami, stąd lekcje angielskiego u starej pani Harrison i lekcje tańca u hrabiny Szlemskiej. Jun'ichirō Tanizaki (1886–1965), wybitny prozaik, a także tłumacz na współczesny japoński klasycznego dzieła z XI wieku, „Genji-monogatari" damy Murasaki Shikibu, nie jest już u nas nieznany. Po polsku wydano kilka jego książek: „Dwie opowieści o miłości okrutnej", „Niektórzy wolą pokrzywy", „Tajemną historię pana Musashiego", esej „Pochwała cienia". Przed rokiem wznowiono „Dziennik szalonego starca" (1962), dzieło przedśmiertne, w którym powraca wątek emocjonalnego uzależnienia i masochistycznej gry – jej partnerami są tym razem 77-letni Tokusuke i jego piękna synowa Satsuko, niegdyś tancerka rewiowa. W „Dzienniku..." jest to jednak gra prowadzona przez obie strony w pełni świadomie, bez jakichkolwiek złudzeń, którymi karmił się nieszczęsny – choć w sumie szczęśliwy! – Kawai. ©℗

PAWEŁ

Bravo: *Zanim dopadnie was Neapol*



„Tekst nie może być godzien miana literatury, jeśli nie wspiera się na strategii pisania, która stawia sobie za cel pokazywanie niespójności. Żadne z naszych uczuć nie jest jednoznaczne, ale żeby przetrwać, staramy się usunąć na bok to, co wydaje nam się zbędne albo nas zaburza. Literatura ma obowiązek tak nie robić, chyba że postanowi być z tych, które służą pokrzepieniu". Na pewno pokrzepienia próżno szukać u Eleny Ferrante, która wygłosiła te zdania w wywiadzie z okazji ukazania się jej najnowszej powieści (tytuł przełożyłbym jako „Skłamane życie dorosłych", choć polski wydawca być może zechce to zrobić inaczej). Wywiadzie – to za dużo powiedziane: jak wiedzą miliony jej czytelników i czytelniczek, za tym pseudonimem skrywa się postać konsekwentnie unikająca bezpośredniego kontaktu z dziennikarzami.

Zatem nie wywiad, lecz pisemne odpowiedzi na szereg pytań nadesłanych przez jedną z czołowych gazet. Dowodem na siłę osobowości tej autorki jest to, że nawet w tak zapośredniczonej sytuacji potrafi wyrazić rzeczy idące potem za człowiekiem, dzwoniące w głowie. „Nie czytałam Lyotarda" – tłumaczy złośliwie zapytana przez pretensjonalnych redaktorów, dlaczego jej nowa bohaterka, dorastająca dziewczyna z lat 90., nie zachowuje się tak „jak osoba, która dojrzewała w epoce końca historii i wyczerpywania się tradycyjnych narracji". Otóż to: książki Ferrante rodzą się w niewiedzy, że wewnętrzne sprzeczności uczuć, zawikłanie we własną cielesność, dziwne rozdarcia społecznego świata... to tylko jakaś ironiczna gra w przebieranki, za którymi jednak próżno szukać „prawdziwej" twarzy.

Za maskami, które opadają dorosłym, w nowej powieści Ferrante kryją się całkiem nieironiczne twarze. Ból, który sprawia ich odkrywanie, jest na pewno prawdziwy.

Bohaterka jej książki „nie polega już na nikim, kto chce jej wmówić, jaki jest właściwy sposób życia, myślenia, czytania, czuje się uwiedziona przez nieprzewidywalność". Zostawię was i ja z nieprzewidywalną – na razie – przyjemnością, która was czeka, kiedy powieść zostanie spolszczona; mam nadzieję, że nastąpi to szybko, więc nie będę niczego awansem streszczał. A jeśli powiem: nie spodziewajcie się wielkiej pociechy, za to mnóstwa świdrujących scen, piekących jak zdarte na asfalcie kolano, to niczego ważnego nie zdradzę, znacie te melodie z tetralogii o genialnej przyjaciółce, która rozsławiła na całym świecie Neapol.

Właśnie, Neapol – dzięki tym powieściom to malownicze, ale zarazem koszmarnie zabiedzone, wulgarne, przykre w obcowaniu miasto staje się symboliczną przestrzenią dla nas, którzyśmy nie czytali Lyotarda i nadal skaczemy bez większej refleksji na główkę w kolejne dni. Z poczuciem, że to wszystko dookoła i w nas jest źle poustawiane, ale ta codzienność jest jedyną „narracją", alternatywnej księgi życia nie będzie. Czasami, gdy idę ulicami Krakowa i błogosławię ten fakt, bowiem wydają mi się szczytem urody i wdzięku dostępnego w obecnych granicach Polski, nagle dochodzi gdzieś z boku świadomości odgłos, zapach, widok, które plugawią tę rzeczywistość – a wewnętrzny głos syczy: pod tą powłoką skrywa się Neapol, miasto cienia cię dopadnie, nawet gdybyś wyjechał tysiące kilometrów od Wezuwiusza.

Nie znam innej na to rady niż powrót do bezpośredniego doświadczenia ciała i jego najprostszych potrzeb. Jedzenie jest jedną z nich, dla wielu z nas otoczoną dziś większą liczbą tabu niż seks, jednak sam pozwalam sobie jeszcze na wszystko. Na gluten, laktozę i mięso. Czyli np. na pizzę, którą zjadamy redakcyjnie w ogromnych ilościach, od kiedy koło naszej siedziby zaczął działać mały lokal sprzedający – zwyczajem, o którego ojcostwo kłócą się Rzym z Neapolem – kawałki pizzy z wielkich prostokątnych blach. Grubszej niż normalna – musi wszak wytrzymać długie podgrzewanie, bardziej więc też „mięsistej" w górnej warstwie, co pozwala dać więcej składników i poszaleć piekarzowi (kucharzowi? Nie znoszę potwornego słówka „pizzer"). W takim miejscu jest bardzo ciepło od pieca, co oznacza, że co najmniej do marca będę tam często siedział, czekając na swoją porcję i na wiosnę. Będąc w Krakowie, koniecznie zajrzyjcie na róg Wiślnej i Gołębiej. Może poczujecie smak dni tych, którzy co tydzień pracują dla was nad nowym numerem i nie mają czasu na Lyotarda. ©℗



ANTONI BRAVO

Sezon przedświątecznych posiedzeń nad piernikami wraz z adwentem otwarty. Przepis na typowe miodowe pierniczki każdy ma swój. Tymczasem tej zimy bardzo was namawiam, żeby spróbować choć raz zrobić i udekorować ciastka przypominające „spekulosy", korzenne herbatniki, które w Polsce rozpropagował pewien niemiecki dyskont. Całkiem dobry przepis znalazłem u Yotama Ottolenghiego, choć ten autor raczej kojarzy się z Południem. Szykujemy zestaw przypraw: 2 łyżki cynamonu, po 2 łyżeczki mielonego kardamonu i anyżku tłuczonego w moździerzu, po 1,5 łyżeczki mielonego białego pieprzu i imbiru, łyżeczka mielonych nasion kolendry, po pół łyżeczki gałki i mielonych goździków. Mieszamy w słoiczku – starczy na parę wypieków. W misce łączymy: 3,5 łyżeczki mieszanki z 450 g mąki oraz łyżką proszku do pieczenia i pół łyżeczki soli. W osobnej misce ucieramy 250 g masła z 300 cukru trzcinowego, dolewamy 50 ml rumu (to bardzo ważne!) i łączymy z sypkimi składnikami. Mieszamy cierpliwie, aż powstanie ciasto odchodzące od ścian miski. Chłodzimy 30 min. Wałkujemy na placek o grubości 3–4 mm, wycinamy dowolne kształty. Można posmarować przed pieczeniem lekko ubitym białkiem albo zostawić „gołe" do dekorowania później. Pieczemy 12 min w 200 stopniach.



BROŃ MASOWEGO WRAŻENIA

WŁODEK DEMBOWSKI „PAPRODZIAD”, MUZYK:

Na osiedlu wołali na mnie Liga Ochrony Przyrody. Kiedy ktoś deptał mrówki, wzywałem milicję.

ADAM ROBIŃSKI: Lubiłeś biologię w szkole?

WŁODEK DEMBOWSKI „PAPRODZIAD”: Tylko momentami. Moje szkolne zainteresowania dotyczyły głównie wuefu. Lubiłem pobiegać za piłką, wyhasać się, pobudzić endorfinki.

Z tej biologii cokolwiek zostało Ci w głowie?

Pantofelek. Mchy, glony i porosty. Ciałka zieleni.

Wychowałeś się na blokowisku. Tam chyba też z przyrodą nie miałeś zbyt wiele do czynienia?

Warszawski Ulrychów zawsze kojarzył mi się z wielkimi termitierami, w których hoduje się ludzi. Takich, którzy dzielą czas między bloki, pracę i pobliskie centrum handlowe. I w wolnych chwilach zwracają swoją energię w postaci pieniędzy wydawanych w marketach. Ale prawdę mówiąc, dookoła tego osiedla jest dużo działek, parków. Lasek na Kole, cmentarze, więc wbrew pozorom przyrody jest całkiem sporo. A że najciemniej jest zawsze pod latarnią, to być może dzięki betonowemu blokowisku rozkwitła we mnie tęsknota za przyrodą.

Czyli pojedyncze drzewo gdzieś tam między blokami otoczone było kultem?

Można powiedzieć, że ja się wychowałem na drzewie. Był taki okres, że jak wychodziłem na podwórko, to od razu właziłem na drzewo. Nie schodziłem z niego nawet na siku.

Pamiętasz, co to było za drzewo?

Miałem kilka ulubionych. Bardzo lubiłem okoliczne wierzby płaczące, bo ich gałęzie fajnie się rozwidlały, można się było na nich bujać jak na lianach. Przy szkole miałem jabłonkę, a w jej koronie coś na kształt krzesełka lub leżaczka z gałęzi. Jak na nią wlazłem, to rozpierając się rękami mogłem się rozsiąść i sobie dyndać nogami. Mimo ADHD w życiu codziennym tam nabierałem spokoju. Był jeszcze szpaler mirabelek, które rosły przy boisku. Tam odbywała się wielopoziomowa zabawa w berka, od rana do nocy.

Czyli plemię drzewołazów nie było jednoosobowe?

Pewnie! To były czasy, gdy większość dzieciaków skakała po drzewach. Nie mieliśmy tylu wypasionych placów zabaw, co dzieci teraz.

Masz jeszcze jakieś inne miejsca, z którymi czujesz się tak mocno związany?

Szybko, bo jak miałem cztery i pół roku, trafiłem na wakacje do Kazimierza Dolnego. Miasteczko, park krajobrazowy, kraina tysiąca wąwozów, no i Wisła, w której od małego się kąpałem. Co za miejsce! Bajkowe, na zupełnie przeciwnym biegunie w stosunku do szarego blokowiska. Nagle okazało się, że świat może mieć zupełnie inne oblicze. Więc właściwie wychowałem się na dwie nóżki. A do Kazimierza wracam regularnie do dziś, nie tylko w związku z festiwalem Kazimiernikejszyn, który tam organizuję.

Pozostałeś jednak warszawiakiem.

Od wielu lat mieszkam na Żoliborzu. W porównaniu z tym moim ulrychowskim małpim gajem mamy tu takie sanatorium. Cichutkie, przyjemne, eleganckie. Nabyliśmy z żoną ogródek działkowy, jeździmy sobie na to nasze ROD-os na Kępie Potockiej. Trenujemy przypominanie sobie, że marchewka nie wyrasta na zapleczu supermarketu. Poza tym przez te wszystkie lata uprawiam „warszawską turystykę ekstremalną”. Kiedyś w jej ramach pełzaliśmy po industrialnych, opuszczonych zakamarkach miasta. Teraz przenieśliśmy się w rewiry przyrodnicze. Szukamy zapomnianych przez człowieka enklaw przyrody. Miejsc, w których natura po cichu przejmuje to, co kiedyś jej miasto wydarło.

Co to za miejsca?

↦

PAWEŁ BAJEW

↦ Jest ich mnóstwo. Dawniej dużo czasu spędzaliśmy na praskim brzegu Wisły. Teraz stał się tak modny, że trzeba było przenieść się gdzieś indziej. Lubimy odludzia, miejsca dzikie.

Brzmi hipstersko.

To jest wręcz prahipsterskie. Więc nie będę zdradzał konkretnych miejsc. Polecam otwartość na różne dziwne ścieżki, które często mijamy, i na które nie zwracamy zwykle uwagi. Zaułki, dziury w płotach. To one zwykle prowadzą do takich enklaw. Trzeba sobie odpalić w głowie taką specjalną aplikację, powstaje fajna gra miejska. Życie w mieście staje się bardzo urozmaicone.

Powiedziałeś kiedyś: „Chciałem być pisarzem, mama widziała we mnie aktora, a zostałem Paprodziadem, więc tak pomiędzy". Dlaczego pisarzem?

Bo od małego widziałem, że mam lekkość w piórze. Już w liceum tworzyłem jakieś formy literackie. Moje opowiadanie wydrukowała „Fantastyka". Wszystko wskazywało na to, że mam szansę rozwinąć się w tym kierunku.

O czym było to opowiadanie?

Jak teraz czytam swoje stare rzeczy, takie sprzed piętnastu, dwudziestu lat, to widzę zalążki zainteresowania rzeczami, którymi żyłem później. Przyrodą, filozofią, życiem w środku cywilizacji, która zmierza w jakimś przedziwnym kierunku. Było w nich też dużo poczucia humoru i dystansu do otoczenia. Coś pomiędzy utopią a dystopią.

A potem poszedłeś na filozofię.

Na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego głównie rozśmieszałem swój rocznik. Mimo wszystko wytrzymałem tam prawie trzy lata.

Czyli nie zostałeś filozofem?

Moja mama twierdzi, że nie, bo brakuje mi papierka. Ja uważam, że byłem filozofem, jeszcze zanim poszedłem na te studia. I dalej nim jestem. Ale mama ma dwa fakultety i wierzy w konieczność zdobywania tych metek od systemu. Rozumiem to i szanuję.

Mama jest polonistką.

Myślę, że głównie dzięki niej poszedłem w pisanie. Z filozofii pamiętam kilka kwestii, które znacząco na mnie wpłynęły. Po pierwsze metafizyka, która dała mi zupełnie nowe spojrzenie na przestrzeń, na byt i na życie. Zrozumiałem, że można patrzeć na nie w sposób abstrakcyjno-logiczny. Czułem, że otwiera się przede mną jakiś portal.

Druga sprawa to metodologia i logika. Zawsze byłem noga z matmy, a mimo to wszystko mi się w głowie poukładało. Udało mi się bez poprawek skończyć pierwszy rok filozofii, mimo że logika była na naprawdę wysokim poziomie. Do tej pory ma duży wpływ na moje teksty, które są często skomplikowane, czasami wręcz nieodczytywalne, a jednak są w nich ukryty sens i logika. Jak człowiek się w nie zagłębi w oparciu o odpowiednie wzory, które bardziej czuję, niż pamiętam, to mimo tej całej abstrakcji zobaczy, że to się trzyma kupy.

W pewnym momencie życia napisałeś tekst piosenki: „Asfaltowa życia droga / Śródblokowa, śródtynkowa / Nie musi być wcale sroga / A może być wręcz odlotowa / Wystarczy zdobyć się na skok / I wykonać pierwszy krok / Wyjścia plan z między ścian / Na zielony łąki łan". Pamiętasz, co miałeś wtedy w głowie?

Po maturze, na zajęciach z malarstwa na zaocznym studium, kazano nam namalować obraz. Temat był dowolny. Namalowałem wielkie kłosy trawy, a pomiędzy nimi robaczki, mrówkę, ślimaka. Parę miesięcy później zacząłem chodzić na próby zespołu, który miał się potem przekształcić w Łąki Łan. Wszedłem do zespołu razem z tą moją chęcią mówienia o świecie poprzez metaforę przyrody. Choć nie ukrywam, że łąkę traktowaliśmy kiedyś mocno imprezowo. Trawa nie zawsze była tą stepową. Również taką do palenia. Ale to już minęło, od lat nie mówię już o niczym innym jak tylko o przyrodzie.

Ale dlaczego akurat łąka?

Któryś z filozofów napisał kiedyś, że człowiek to pole egzystencjalne. Pewnie stąd mi się to wzięło. Poza tym łąka to coś pięknego, bogatego, różnorodnego. Dzięki prostej metaforze można dotrzeć do wielu zakamarków umysłu. Zresztą jeszcze w podstawówce, w jednym z pierwszych w życiu wierszy, zastanawiałem się nad tym, jakie problemy mają różne małe zwierzątka w czasie deszczu. Bo mnie się wydawało, że każda kropla z nieba to dla nich Armagedon.

Chciałeś rozwijać nad nimi parasol?

Na osiedlu wołali na mnie Liga Ochrony Przyrody! Jak graliśmy w piłkę na betonowym boisku, musiałem najpierw pościągać z niego rosówki, które wylazły po deszczu. Nie pozwalałem deptać mrówek przy krawężnikach. Kiedy ktoś to robił, wzywałem milicję. To chyba spacery z tatą zaszczepiły we mnie taką wrażliwość na mniejsze żyjątka. Prosty chłopak z Pragi, harpagon, a miał w sobie mnóstwo miłości dla przyrody. Karmiliśmy sikorki, wiewiórki. Mama też zabierała mnie na wycieczki, ale to tata opowiadał o przyrodzie w sposób bajkowy i tajemniczy.

Więc gdy powstał Łąki Łan, wiedziałeś, że chcesz z niej zrobić lejtmotyw waszej twórczości?

Kiedy już kolektyw uznał, że to dobra nazwa dla zespołu, przez jakiś czas słyszałem pretensje, że piszę tylko o tym. Chłopaki z zespołu mówili: „Czy Budka Suflera śpiewa tylko o budkach suflera? Weź, napisz o czymś innym". Cały czas próbuję.

Kiedy wrzuciliście na YouTube'a „Ibizę", jeden z singli z nowej płyty, której premiera w listopadzie, komentarze pod teledyskiem szły w przeciwną stronę: jak to, najpierw opowiadacie, jak ważne są lasy, a tu nagle impreza i szaleństwo?

Ludzie mają różne oczekiwania. A na łące rosną różne roślinki. Są maki, są osty. Być może „Ibiza" jest właśnie takim ostem? Taka muzyka też nam w duszy gra. Zresztą Ibiza jest metaforą, daleką, ale jednak, zjawiska, które nazywa się ruchem ku życiu. Energia, która jest w świecie, może nas prowadzić albo do depresji i śmierci, albo do życia. Możemy się nią

napełniać, aktywować ją w sobie, a potem dzielić się nią z innymi. Kiedy zwracamy na to uwagę, jesteśmy fajniejsi i dla siebie, i dla otoczenia. Zarówno jako jednostki, jak i cała cywilizacja. A że śpiewamy o tym w sposób imprezowo-abstrakcyjny? Przecież zawsze byliśmy zespołem imprezowym. Tym zasłynęliśmy.



AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

WŁODEK „PAPRODZIAD" DEMBOWSKI (ur. 1980) jest muzykiem i tekściarzem; członek m.in. zespołów Łąki Łan, Dziady Kazimierskie i November Project. W listopadzie ukazała się nowa płyta Łąki Łan, „Raut".

Na scenie od zawsze występujecie w przebraniach. Jesteście kolektywem owadów.

Spektakl rządzi się swoimi prawami. Jeśli jesteśmy zespołem, który w zabawowy sposób śpiewa o filozofii przyrody, to ważne, by anturaż był z tym przekazem spójny. Zasilał wprowadzanie słuchacza do krainy naturalnej. Bez naszych strojów czy konewki, z której na scenie piję magiczny eliksir, ten świat nie mógłby w pełni zaistnieć. Nie potrafilibyśmy śpiewać tych piosenek w zwykłych bluzach i pepegach.

To co ma zostać słuchaczowi w głowie po wysłuchaniu płyty czy koncertu?

Na pewno trochę coś innego po koncercie niż po płycie. Bo koncert to jednak impreza, na którą ludzie przychodzą, żeby się wybawić, wyhasać, rozluźnić i wyrzucić z siebie traumy i smutki. Przekaz, który dostają, czasem bezpośrednio, czasem podprogowo, może mieć wpływ na ich życie. Ma ich uwznioślać, kierować ku życiu, a nie śmierci. Nie dzielimy się ze sceny swoimi smutkami, pretensjami, żalami czy najbardziej plugawymi aspektami nas samych. Wolimy wysyłać te fajniejsze emocje, żeby one do nas wracały, a ludzie wychodzili z koncertów radośni. Od lat dostajemy sygnały, że to działa.

Ale nie boisz się, że poważny przekaz ubrany w humorystyczną warstwę wizualną może po prostu zginąć?

Gdybym się bał, to bym tego nie robił. Jak się człowiek czegoś boi, lepiej żeby się tego nie dotykał.

Nie jesteście odbierani jako kabareciarze?

Długo tak było. Ale z tą wiedzą, którą oferujemy, wcale nie jest łatwo się przebić. Ona nie jest popularna. Dlatego proponujemy wesołkowatą otoczkę. Gdybym był filozofem z krwi i kości i pisał o tym zupełnie poważne książki, pewnie nikt by ich nie czytał. A nasza rozrywkowa petarda i bajkowe wykonanie mają szanse do ludzi dotrzeć. Trzeba rzucać nasiona wszędzie, gdzieś coś z nich na pewno wyrośnie.

To jak brzmiałby „Manifest Paprodziada"?

Co wewnątrz, to na zewnątrz: nasza duchowość – człowieka i cywilizacji – jest na takim etapie, jaki obrazuje to, co robimy z naszą planetą. Oczywiście wszelkie doraźne posunięcia i decyzje, które mają wpływ na środowisko, są bardzo ważne, ale najważniejsze zmiany zachodzą w środku. Musimy się rozwijać jako cywilizacja poprzez ewolucję jednostek – kiedy to się stanie, w sposób automatyczny przestaniemy szkodzić środowisku. Inaczej możemy zmuszać się do różnych proekologicznych rozwiązań, ale wciąż będziemy się tylko oszukiwać. Dopóki nie zrobimy ze sobą porządku na poziomie duchowym, nieporządek będzie z nas ciągle wyłaził i otaczał plastikową panierką.

Czujesz się ekologiem?

Nie wiem, co dziś znaczy to słowo. Jest już tak wyświechtane, że baranieję na jego dźwięk. Ekopożyczki też jeszcze nie wziąłem. Dla mnie równowaga między ekologią duszy i myśli a ekologią w przyrodzie są nierozerwalne. Kiedy tej równowagi w czyimś działaniu nie widzę, to się wycofuję.

Czasem się jednak angażujesz. Wystąpiłeś w utworze Vienia, w którym mowa o plastiku.

Pewnie. Uczestniczyłem w wielu akcjach sprzątania, sadzenia, rozmawiania z ludźmi. Za każdym razem dodaję jednak, że obrażanie, agresja, pretensje i kłótnie są tak samo złe jak wycinanie drzew czy strzelanie do dzików.

Czyli raczej nie przykułbyś się do drzewa, żeby powstrzymać jego ścięcie?

A kto się przykuje do mnie? Przykuwam się do samego siebie, do swojej rodziny i do swojego przesłania. Ale zrobię wszystko, by wspierać ewolucję świadomości przyrodniczej. By chociaż jedno drzewo na tej planecie pozostało. Chociaż i tak uważam, że tam na górze Tata ma dla nas jakiś plan, i co by nie było, będzie miło. Bo ten świat jest doskonały, choć być może na tym etapie jeszcze tego faktu nie dostrzegamy. Wciąż jesteśmy dziećmi w szkole.

Jesteś wierzący?

Tak. Świadomość chrystusowa jest taką moją afirmacją, w którą wierzę. Trzymam kciuki, byśmy do niej dojrzeli, wtedy przestaniemy być dziećmi i dorośniemy.

W utworze „Lass" – również z nowej płyty – śpiewasz: „Lasu doradza mi, Lasu nawraca". Szukasz Boga w przyrodzie?

Ja go tam znalazłem! Spójrz na liść kwiatka tu na parapecie. Święta geometria na każdym kroku.

To jest slogan stary jak świat, a my ciągle nie potrafimy tego dostrzec. Ja się dzięki temu nawróciłem. Kiedyś byłem zdeklarowanym antyklerykałem. Dzięki poszukiwaniom ↦

i przyrodniczym inspiracjom stałem się radosnym, bogobojnym katolikiem. Chodzę do kościoła, spowiadam się, odmawiam różaniec.

To co konkretnie daje Ci przyroda? Ten „Lasu”?

Przede wszystkim poczucie, że we wszechświecie istnieje harmonia. Że wszystko jest zgodnie z planem, pomimo że na poziomie ludzkim mamy problemy z jego zrozumieniem i akceptacją. Po drugie czuję, że kiedy idę między drzewa, wszystko ze mnie spływa. Napięcia, które gromadzą się w życiu codziennym. Wystarczy, że chwilę pobędę w lesie, i las tę złą energię natychmiast ściąga i transmutuje.

Opowiedz mi jeszcze o swoim języku.

To język polski.

Wykonawcy czasem się skarżą, że polski jest przaśny i wolą śpiewać po angielsku.

Ja innego nie znam. Za to w polskim czuję się d’Artagnanem.

Traktujesz język jak plastelinę: „Co w trawie piszczy, pieści liści, szeleściście z ciszy czyści”.

Jak można go tak nie traktować? Jak się dostaje jakiś dar, to trzeba go wykorzystać na sto procent. To takie językowe *zero waste*.

> W zabawowy sposób śpiewamy o filozofii przyrody. Nasz anturaż ma wprowadzać słuchacza **do krainy naturalnej**. Bez konewki, z której na scenie piję magiczny eliksir, ten świat nie mógłby w pełni zaistnieć.

Powiedziałeś kiedyś, że Twoje teksty są jak zaklęcia, mantry.

Nie tylko moje. Wszystkie słowa są zaklęciami. Słowo staje się ciałem, a ludzie chlapią na lewo i prawo co popadnie, zapominając o tym, jaką dysponują mocą. Język to broń masowego rażenia albo masowego wrażenia. Staram się z pokorą i pełną świadomością tego, czym się zajmuję, w sposób rozważny i odpowiedzialny używać tej mocy.

Jest coś, czego byś z językiem nie zrobił?

Na pewno bym go sobie nie obciął, jak van Gogh ucha. Poza tym nie przeklinam. No, staram się nie przeklinać, choć czasem ten ulrychowski gen dobrze się we mnie czuje. Jak trzeba, potrafię się przaśnie wyrazić, ale nie szukam takich rozwiązań. Język ma być świętością.

Ale często prowokujesz. Śpiewasz: „Co to jest za stan, kiedy pała łan”.

Bo trzeba świrować, żeby nie zwariować. Bez poczucia humoru nie ma co do mnie w ogóle podchodzić. Ludzie całkiem poważni umierają jeszcze za życia. Mnie humor przy życiu trzyma.

Dlatego wymyśliłeś Paprodziada? Żeby Ci więcej uchodziło na sucho?

Moją pierwszą ksywą był Księżul Sporysz. Potem rozstałem się na chwilę z Łąki Łanem. Wróciłem już jako Paprodziad. Wszyscy w zespole mieliśmy pseudonimy sceniczne, na szczęście nie obsceniczne. Poczułem, że Paprodziad to moje *alter ego*.

Jesteś bardziej Papro, czy bardziej Dziad?

Jak coś jest bardziej, to nie ma równowagi. A równowaga jest ważna. Dziad reprezentuje szukanie życiowej pokory i otwartość na ludzi, nieważne czy to szef korporacji, czy bezdomny spod dworca. Obu trzeba traktować tak samo. Z kolei Papro to aspekt przyrodniczy i dzielenie się emanującymi z natury znaleziskami.

Gdy się dziś człowiek zajmuje przyrodą, to wchodzi w całe spektrum ponurych tematów związanych z kryzysem klimatycznym czy wielkim wymieraniem gatunków. Nie jest trochę tak, że śpiewając o pszczółkach i kwiatkach zaklinasz rzeczywistość?

Jako artysta mogę tylko poprzez afirmację nawoływać do ochrony owego łona, w którym wszyscy żyjemy. Miejsca, które daje nam życie. Z drugiej strony jestem przeciwnikiem fanatyzmu i nie chcę popadać w związku z tym w jakieś szaleństwo, bo to jest ciągle tylko łono i nie wiem, jaki Tatuś ma wobec niego plan, ale na pewno jakiś ma.

Czyli jesteś przeciwnikiem działalności wywrotowej?

Z przewrotów popieram tylko te w przód i przez bark. Ewentualnie jeszcze osobiste, wewnętrzne.

Bo pomyślałem, że człowiek, który śpiewa o lesie, chodzi boso, a w telefonie nie ma internetu, to taki wywrotowiec na miarę antropocenu.

Ale dla mnie na pierwszym miejscu zawsze będą ludzie. Nie chcę stawać przeciwko jakimkolwiek ludziom, bo oni też są naturą. Ich świadomość ewoluuje. Być może na razie jest na takim etapie, że najchętniej bym tego kogoś zamknął albo ukrzyżował, ale tego nie zrobię, nawet nie będę pierwszy rzucał kamieniami. Czy to w Kaczyńskiego, czy w Tuska. To wszystko są moi bracia w jełopianie... (*śmiech*).

Rany, jak czasem coś palnę, to mi brakuje słów. Ale człowiekowi zagraża przede wszystkim on sam. Dopóki nie uporządkuje sobie wnętrzności, zawsze będzie szukał przyczyny na zewnątrz. Wrogów mamy na zewnątrz tylko wtedy, gdy w jakimś skrawku jesteśmy wrogami dla siebie sami.

Czyli jesteś w kwestiach ziemskich raczej optymistą?

Jestem po prostu optymistą. Optymizm jest jednym z filarów mojej wiary. To kwintesencja chrześcijańskiej filozofii. Widząc cały ból i problemy tego świata, z jednej strony staram się jakoś na nie reagować, pomagać, a z drugiej ciągle uczę się je akceptować. Traktować wszystko jako lekcję, która jest sposobem na to, byśmy mogli wzrosnąć. To mi daje poczucie spokoju i umiejętność, by z uśmiechem iść przez życie. I jeszcze się tym dzielić. © Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług



WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

STANISŁAW

Mancewicz: *O zwyczajnej miłości*



Parę dni temu wyjęliśmy ze skrzynki pocztowej uroczysty list od firmy dostarczającej usługi telefoniczne. Zaczynał się od wzruszającego dowodu pamięci, jakim jest zawsze zwrócenie się do kogoś po imieniu. „Stanisławie" – zwróciła się do nas bez zbędnych ozdobników owa firma, choć rzec trzeba, że nie przypominamy sobie żadnej okazji, która by to usprawiedliwiała. Nawiasem mówiąc, jest to nowość, bowiem przez lata tego typu przesyłki zaczynały się – każdy to wie – zawsze od powitania w stylu „Panie Stanisławie". W tradycji polszczyzny owa forma narodziła się i była stosowana przez cywilizowanego dziedzica wobec fornala, bądź to – jak kto woli – furmana, i uchodziła za dowód pogłębionych poglądów demokratycznych w feudalnym świecie polskiego przedwojnia. A zatem mamy zauważalną zmianę, co zapewne oznacza jeszcze większe zbliżenie, wynikające być może z tego, że prezes firmy dostarczającej usługi telefoniczne pamięta nas mgliście z polowania na kuropatwy. Być może uczestniczyliśmy w nim jako członek nagonki płoszącej ptaki, a być może wystąpiliśmy tam jako sympatyczny wyżeł bez rodowodu. Nie o tym jednak chcielibyśmy dziś sobie gwarzyć, bowiem w liście owym znaleźliśmy detal jeszcze bardziej frapujący, a jest to – jakże by inaczej – okazyjna oferta na usługi telefoniczno-internetowe o szokującej nazwie LOVE STANDARD.

Jeśli dobrze rozumiemy angielski, oferowana nam miłość ma mieć wymiar zwykły, i że – to domysł – w swym wachlarzu propozycji firma ta ma i inne natężenia kochania, ale na ich przedstawienie zapewne sobie naszą odrażającą szarością nie zasłużyliśmy. Naturalnie chcielibyśmy wiedzieć, czy firma telekomunikacyjna ma na myśli miłość fizyczną, czy platoniczną. Tak czy owak, LOVE STANDARD jest naszym zdaniem próbą żartu ze Stanisława, który ma i swoje lata, i swoje „w tym zakresie" mniemania. W sensie platonicznym możemy wiele przełknąć, możemy podyskutować nawet z konsultantem firmy telekomunikacyjnej, jeśli jednak idzie o miłość fizyczną, to LOVE STANDARD jest przedświąteczną i oczywistą próbą poniżenia człowieka, zwłaszcza człowieka ambitnego, w wieku, w którym – jak ktoś to ładnie ujął – wyobrażenia nie idą już w parze z możliwościami. Wiele spraw możemy odpuścić, ale są granice, a co za tym idzie – ofertę LOVE STANDARD Stanisław uznać musi za przykrą, by nie rzec: urągającą godności, a więc do odrzucenia.

Cała ta historyjka jest znakomitym pretekstem do wyrażenia kilku uwag nie tyle o charakterze osobistym, co uniwersalnym. Oto świetnie wiemy, jak duże mamy w kraju kłopoty z sensem dwu ważnych słów, chodzi o wspomnianą tu miłość i o normalność. Już samo ich wypowiedzenie, nawet szeptem, przynosi każdemu uczucie komfortu. Jest jakoś tolerowalne w ofercie na nowy telefon, bowiem i miłość, i normalność są dobrami wymarzonymi, zwłaszcza gdy idzie o koszt i jakość zwyczajnego telefonowania. Gdy jednak owe pojawiają się w przemówieniu publicznym, są gorsze od dowolnego zestawu inwektyw, kłamstw, są powodem szyderstw, wywołują maniakalne reakcje, są bowiem znakiem najgorzej pojętej słabości i nie mieszczą się w języku kryminalistów, który wszedł tu do powszechnego użycia, od lewa do prawa i od góry do dołu. W języku tym miłość jest wyklęta.

Miłość – to pamiętamy – pojawiła się ongiś w politycznym przemówieniu i jest do dziś znakomitym pretekstem do wyrażania nienawiści. Normalność zaś jest pretekstem do siania propagandy, która, co wiemy, jest przecież tym skuteczniejsza, im jest od normalności bardziej oderwana. Słowem, oba te słowa nabrały w polszczyźnie zdumiewającego ciężaru, o czym należy na co dzień pamiętać, należy je stosować ostrożnie i tylko w gronie ludzi zaufanych. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ



REKLAMA

Teatr im. J. Słowackiego **w Krakowie**

dom machin | mos scena | dom rzemiosł teatralnych



Szekspir/Wyspiański
Hamlet
reż. Bartosz Szydłowski



Bertolt Brecht
Kariera Artura Ui
reż. Remigiusz Brzyk



Yasmina Reza
Bóg mordu
reż. Marek Gierszał

STYCZEŃ W TEATRZE SŁOWACKIEGO



Charles Bukowski
O kotach
reż. Tomasz Cyz

PREMIERA 17.01.2020



Dorota Masłowska
Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną
reż. Paweł Świątek

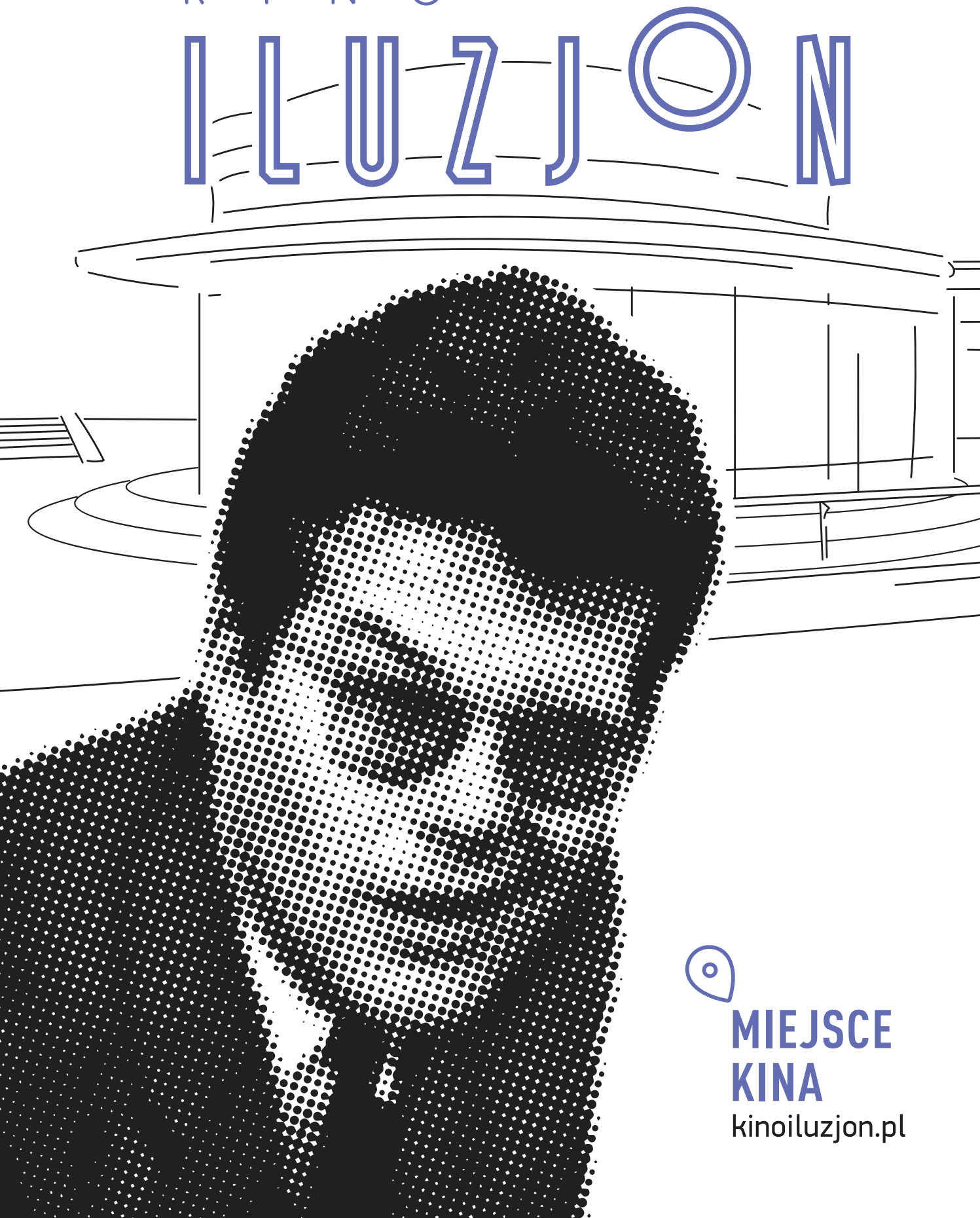


Iga Gańcarczyk, Daria Kubisiak
Turnus mija, a ja niczyja
Operetka sanatoryjna
reż. Cezary Tomaszewski

REKLAMA

KINO

ILUZJON



MIEJSCE KINA

kinoiluzjon.pl